



MARIUSZ

CZUBAJ

OKOŁO PÓŁNOCY

MARIUSZ
CZUBAJ

OKOŁO PÓŁNOCY



Copyright © by Mariusz Czubaj, MMXIX

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Motto

Część pierwsza. Śmierciorysy

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

Część druga. Kontra

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

[27.](#)

[28.](#)

[29.](#)

[30.](#)

[31.](#)

[32.](#)

[33.](#)

[34.](#)

[35.](#)

[36.](#)

[37.](#)

[38.](#)

[Dawno temu w Warszawie](#)

Na pewno tego, cośmy tu wyczyniali, nie uważał za muzykę. My właściwie też. Nie uważaliśmy tego wyłącznie za muzykę, było to raczej coś jakby świat. Jak przed Chrystusem i po Chrystusie. Co było przed jazzem, tego nawet nie pamiętałem.

(Josef Škvorecký, Tchórze, przeł. Emilia Witwicka)

Część pierwsza. Śmierciorysy

1.

Miała na sobie prostą, jasną sukienkę i rozpięty płaszcz. Na chwilę zdjąłem okulary przeciwsłoneczne, osadziłem je na głowie i wtedy nasze spojrzenia się spotkały. Skrzyżowały się odrobinę za długo jak na panujące okoliczności. Usta poruszyły się i wygięły w łuk w bezwiednym odruchu, a być może nikłym uśmiechu, jakim witamy przelotnego znajomego. Odwróciła głowę, ale coś mówiło mi, że jest za późno.

Uśmiech, a tym bardziej spojrzenie, nie wróżyły nic dobrego. Założyłem okulary. Tłum żałobników sunął powoli i sennie, jakby poddany zbiorowej hipnozie. Tylko od czasu do czasu kimś wstrząsnął szloch, a ktoś inny głośniejszym westchnął, wyprowadzając kondukt z pogrzebowego transu, który nieraz widziałem.

Jestem ekspertem w tym zakresie. Pogrzeby to moja specjalność. Jeśli knajpy i kluby, wypełnione zgiełkiem muzyki, śmiechem dziewczyn, gęstą mgłą dymu z papierosów, zapachem wódki i spoconych ciał, są moim przytuliskiem, to cmentarz stał się moim drugim domem. Gram na pogrzebach i jestem dość wziętym w tym względzie artystą. A jeśli wziąć pod uwagę instrument, na jakim gram, być może jedynym w swoim rodzaju. Skrzypek i trębacz to na takich uroczystościach postaci oczywiste i opatrzone, podobnie jak śpiewaczka wykonująca *Ave Maria*, ale kontrabasista, dźwigający na plecach tę swoją skorupę, nieodmiennie budzi zdumienie. Pamiętam, gdy łamaną angielszczyzną tłumaczyłem to kontrabasiście Dave'a Brubecka. Murzyn unosił krzaczaste brwi, śmiał się, klepał mnie po plecach potężną łapą i powtarzał jedno: *necrojobs, necrojobs*. Nauczyłem się tego słowa, spodobało mi się może dlatego, że ludzie go nie rozumieli. Tak. Jestem specjalistą od nekrodrobów. I muszę przyznać, że kontrabas brzmi między nagrobkami jak należy, a głębokie tony i wydobywane smyczkiem dźwięki, dobywane jakby spod powierzchni, sprawiają, że ziemia drży, jakby na chwilę ożywali zmarli i podawali rękę nowo przybyłym. W czarnym garniturze, jednym z trzech, jakie mam, a jesienią i zimą w ciemnym granatowym płaszczu, jestem elementem cmentarnego krajobrazu. Kilka lat temu usłyszałem, że to nie względy estetyczne ani ekscentryzm żałobników decydują o mojej popularności. Nie będę jednak o tym mówił. O miejsce można by się spierać, ale czas na to zupełnie teraz niewłaściwy.

Dziś nie dźwigałem na plecach futerału, podczas ostatniej drogi grać mieli inni, znacznie lepsi i ważniejsi, sama śmietanka dżezu, i było to zrozumiałe. Po drodze zepsuł się autobus, cudem złapałem taksówkę i dotarłem do Boromeusza spóźniony. Był kwadrans po jedenastej. Utknąłem przy drzwiach, między jakimiś hipisami w ciemnozielonych kurtkach a kelnerem z „Kameralnej”. Lekko ukłonił mi się Czesiek Rekin, wzięty warszawski alfons, a towarzysząca dama szepnęła mu coś do ucha. Trzymałem w rękach bukiet, ale nie byłem pewien, czy w panującym ścisłości kwiaty przetrwają do końca uroczystości.

Myślałem o tym i wtedy rozległy się organy. Wystarczyło kilka taktów i wiedziałem, nie musiałem go nawet widzieć, że tak może grać tylko jeden z nas. A potem, gdy skończył się wstęp, dziewczyny zaczęły śpiewać *Kołysankę*. Trzaskower grał, wokaliza krążyła między nawami, a w kościele zrobiło się tak elektrycznie, że niemal widziałem tańczące iskry.

Miał talent, jebaniutki. Miał oceany i Himalaje talentu. A ci, którzy mówili, że w Ameryce poszedł w chałturę i że się skończył jako dzezmen, mogli mu skoczyć. Cwaniacy. Świat jest pełen takich mądrali i zazdrośników. To, co tam napisał, było sednem piękna i kwintesencją smutku. Towarzyszka alfonsa zanosła się płaczem, a mój bukiet wiądał coraz bardziej.

Wreszcie kondukt ruszył alejkami, które znałem jak własną kieszeń. Szliśmy między klonami i akacjami, zawiewał wiosenny wiatr, a blade słońce nie było natarczywe. Znam wiele cmentarzy. Nie wiem, dlaczego przypomniał mi się ten w Katowicach przy Archikatedrze Chrystusa Króla. Może dlatego, że wówczas też nie grałem. I było równie tłoczno, i jeszcze więcej znanych twarzy. Ale wtedy, gdy odprowadzaliśmy Zbyszka, był styczeń i siarczysty mróz. Zapamiętałem jedno zdanie: „To kto następny?”. To pytał Bobek Kobiela. Znalaliśmy się jeszcze z Wybrzeża, z czasów „Bim-Bomu”, odwiedzałem go w Sopocie, mieszkał na Świerczewskiego, Zbyszek na tej samej ulicy. A wtedy na cmentarzu popatrzyłem na niego uważnie, może zbyt uważnie. I za długo. Sam nie wiem.

Staliśmy. „Żadne słowa nie są w stanie wyrazić tego, co czujemy”. Wychyliłem się. Trzaskower poprawiał kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli, wystający spod zapiętego płaszcza, a może chciał go po prostu poluzować. Janusz majstrował przy ustniku saksofonu. Tomek nerwowo pocierał czoło. Ani żeśmy się zorientowali, jak zaczął łysieć. Mignął mi któryś z partyjnych oficjeli, minister chyba, ale nie jestem pewien. Starsi państwo, może rodzice zmarłego, i młody chłopiec. „Okrucieństwo losu i fatalny splot wydarzeń zabrały polskiemu filmowi Andrzeja Munka i Zbyszka Cybulskiego, polskiemu jazzowi Krzysztofa. Te trzy absurdalne, niepotrzebne śmierci są do siebie bardzo podobne, tak jak podobni sobie byli oni”.

– Przecież to nie może być prawda. Tacy ludzie są niedotykalni. – Znałem tę kobietę w chuście na głowie. „Hawajka”. Barmanka z „Hybryd”, która niejedno widziała i niejednemu nalewała. – Nietykalni – szepcząc, poprawiła się.

Nie ma ludzi nietykalnych. Wiedziałem o tym aż za dobrze. Tak jak w moim pokoleniu nie było urodzonych pod szczęśliwą gwiazdą, bo gdy wokół leżą rozkładające się trupy przyjaciół i ludzi, z którymi niedawno rozmawiało się, umawiało, snuło plany, nie ma gwiazd szczęśliwych. Zwyczajnie. Ale wszystko wskazywało, że jemu akurat się uda. Pamiętam, jak ledwo wiązał koniec z końcem, a potem tę wymarzoną lambrettę, garbusa, w którego upchaliśmy się we czterech z kontrabasem, co jest mistrzostwem świata, a wreszcie bmw 2000, luksusowe cacko, za którym wszyscy oglądali się na ulicach Warszawy. A gdy pojechał do Ameryki, liczne grono zawistników życzyło, żeby powinęła mu się noga. A potem, kiedy dotarły wiadomości o wypadku, nikt nie traktował ich poważnie. Ot, fantastyczne plotki z Fabryki Snów. A gdy sprawy przybrały poważniejszy obrót, wszyscy byli pewni, że się wyliże. Nikt nie chciał uwierzyć, że Zośka przywiozła go do Warszawy i że nieprzytomny leży na Oczki. Piłem piwo, to było w „Hybrydach”, a obok siedziało kilku głupekowatych poetów, kabareciarz o zawsze słusznych poglądach oraz jakaś młodzieżowa aktywistka. Tylko ze względu na jej wdzięki tam jeszcze tkwiłem, gdy wpadł Leszek. Znajomy dziennikarz, zbieracz i roznosiciel wszelkich miejskich plotek i pogłosek, a przy okazji zaprzysięgły miłośnik dżezu. Stał przy stoliku i płakał. Popatrzył na mnie i już wiedziałem, co się stało.

Ukryty w liściach kasztanowca ptak zaczął śpiewać i niemal w tej samej chwili rozległ się dźwięk trąbki. Przez chwilę brzmieeli unisono, a potem trąbka załkała i wzniosła się wyżej. Odezwał się

perkusyjny talerz i spłoszony ptak wzbił w powietrze. Trąbka zakaszłała jak suchotnik w ostatnim stadium choroby, dołączyły saksofony i przypomniałem sobie, że słyszałem już coś całkiem podobnego półtora roku wcześniej. Było to requiem, chyba tak to się nazywało, poświęcone Coltrane'owi. Gdy Trane niespodziewanie umarł, też nikt nie chciał uwierzyć, traktując to zrazu jak ponury żart. Bogowie przecież nie umierają.

Rozejrzałem się, ale dziewczyny w jasnej sukience już nie było. Stałem za drzewem i długo czekałem, aż wszyscy sobie pójdą. Gdy zrobiło się pusto, podszedłem i położyłem bukiet przywędłych kwiatów. Wziąłem garść ziemi i sypnąłem na grób.

Wracałem na Pragę, żeby się przebrać. W „Hybrydach” zaplanowano stypę, ale do wieczora było dużo czasu. To miała być zamknięta impreza, ale zarazem zwyczajne wspominki, bez grania, bo komu w takiej chwili chciałoby się grać. Zrobiło się ciepło, a może po prostu było mi gorąco. Koszula uwierała mnie, poluzowałem krawat i rozpiąłem górny guzik. Moja dłoń pachniała ziemią z Powązek i wiosną. Czasami, gdy wracałem nocą z klubów po graniu, trafiał się jeszcze powiew wiatru przypominający o zimowych ostatkach. Za dnia jednak czuło się wyraźnie, że przyroda wykonała kolejny obrót.

Jeszcze trzy dni i będzie maj. Zanim się obejrzę, skończy się rok, a wraz z nim lata sześćdziesiąte. Ostatnio jakby czas przyspieszył. Tyle że zaczął przypominać pociąg bez maszynisty. Rozpędził się, zgarnął wielu po drodze, w tym kilku kolegów, paru moich idoli, i nic nie wskazywało, żeby miał się zatrzymać.

Na Targowej zajrzałem do budki pana Kazia. Dwaj, których znałem z widzenia, mocno już na fleku, rozprawiali żywo o ostatnim meczu ligowym.

– Eleganckiś pan dzisiaj – zauważył Kazio. Podał mi piwo. – Zanurzyłem usta w piance. – Grane było?

Pokręciłem głową.

– No tak, tego potwora pan nie dźwigasz. Ale mina za to jak z cmentarza.

– Bo stamtąd wracam.

Zamilkł. Tamci dwaj też ucichli. Przez chwilę trwaliśmy tak wszyscy w milczeniu.

– Znałem? – zapytał właściciel budki.

– Chyba nie. To kolega. Muzyk.

Wytarł ręce w koszulę. Przez okno budki wpadały promienie słońca.

– Na pierwszego maja prawdziwa wiosna przyjdzie. – Ściszył głos: – Znowu będą mieli dobrze podczas pochodu.

Pociągnąłem łyk z kufła.

– Myślałem, że pan dołączy.

– No coś pan! – obruszył się. – Ja na pochodzie? Takiego wała. – Wykonał charakterystyczny gest.

– Mam tu coś akuratnego na smutki – powiedział pan Kazio.

Widziałem, jak wyjmuje z szafki butelkę z czerwoną kartką. A potem nalał dwa kieliszki.

2.

Włóczyłem się bez szczególnego celu, jakbym chciał odwlec ten moment, kiedy trzeba będzie wkroczyć do klubu, do jego piwnicznej, zwykle najbardziej radosnej i zatłoczonej części, która dziś, w ten wieczór, zamieni się w jaskinię bóleści. Jak zwykle ktoś się upije, a ktoś inny porzyga, ale i picie, i ta podróż do Rygi odbędą się na smutno. Podobno w akcie konsolacji jest coś z instynktu stadnego. W chwili zagrożenia przypominamy sobie o naszym pochodzeniu, o pradawnej przeszłości, jak wtedy, gdy tłoczmy się przy ognisku. Albo na partyjnej masówce. Tyle że ja nie jestem zbyt stadnym zwierzęciem, często chodzę własnymi ścieżkami, a jeszcze mniej lubię, gdy stadka łączą się w większe stada, bo wtedy nieszczęście gotowe.

Wysiadłem z tramwaju, poczułem chłód od Wisły i uznałem, że ubrałem się jednak nie najlepiej. Powrót do domu nie miał już jednak sensu. Z kieszeni granatowej marynarki, którą przed wyjściem przezornie skropiłem wodą „Śmigusówką”, a zrobiłem to tylko po to, żeby współpasażerowie odsunęli się na odpowiednią odległość, wyjąłem paczkę carmenów i zapaliłem. Po lewej stronie, na dole, miałem Mariensztat, na górze świętą Annę wspartą na skarpie i bernardyńską dzwonnice, po prawej majaczyły ruiny zamku, którego szczątki niedawno uprzątnięto. Gdy pierwszy raz od czasu powstania znalazłem się po tej stronie, pamiętam, wiozła nas wtedy ciężarówka z zamontowanymi prowizorycznie deskami do siedzenia, i to wszystko zobaczyłem, a właściwie zobaczyłem, że prawie nic już nie ma, byłem pewien, że to koniec tego miasta. Nie tylko ja tak wtedy myślałem.

Na Krakowskim Przedmieściu zajrzałem do Partumiarni. Z czystej ciekawości. Andrzeja, mistrza ceremonii, tego domorośłego, wiecznie przygarbionego filozofa ulicy, nie było, może to i dobrze, bo zaczęłaby się kolejna, beznadziejna i niemająca końca dysputa. Za to w jego przytułku kwaskowaty zapach niestrawionego wina mieszał się z lepką atmosferą artystycznego onanizmu. Brodac z opaską na blond włosach opadających do ramion opowiadał coś dwóm siksom, których ze względu na wiek nie powinni tu wpuścić, a tym bardziej obsłużyć. Z przejściem perorował o Jacksonie Pollocku, wtrącając co kilka zdań angielskie słówko. Uwolnienie zmysłów, dotarcie do głębi, do prawdziwego „ja”, action painting i podobne pierdoły. Ktoś, może Namysł, a może ktoś inny, pokazywał mi płyty amerykańskich dżezmenów, którzy upodobali sobie tego Pollocka, i nie powiem, coś w tym było i miało sens, anarchistyczna dzikość i wściekłość, jak wtedy, gdy grasz free, a może coś innego. A poza tym porobiło się. Byłe długowłosey pętał z bębenkiem i kadzidełkiem ma teraz większe wzięcie niż porządny dżezmen.

Minąłem uniwersytet i skrzywiłem się. Zacząłem się zastanawiać, czy jedna paczka carmenów wystarczy na dzisiejszy wieczór. I czy u Wandy i Kuryła organizują własne wspominki. Byłem już na Nowym Świecie. W „Piotrusiu” kilku doliniarzy, nie miałem złudzeń co do ich fachu, dzieliło się fantami, nic sobie nie robiąc ze spojrzeń innych gości. A na skrzyżowaniu Jerozolimskich i Kruczej kierowała ruchem zgrabna milicjantka; ktoś po drugiej stronie ulicy krzyknął i pozdrowił mnie.

Zwykle, gdy idę do „Hybryd”, wybieram inną drogę. Dochodzę wtedy do placu Trzech Krzyży, mimowolnie przypominam sobie tramwaj, taki bez kół i szyb, który stał przy ruinach kościoła i był pierwszą powojenną garkuchnią i restauracją, i czuję, jak mnie ssie i głód ustępuje dopiero koło

Hożej.

Dziś szedłem inaczej. Gdy mijałem „Szanghaj”, przyspieszyłem kroku. Chciałem w ten sposób odegnąć przeszłość, ale bolesny skurcz nie odpuszczał. Wspomnienia wczepiły się, wgrzyły w ciało, stały się częścią mnie, podobnie jak orientalne zapachy. Byłem tu z nią wiele razy, bo z jakiegoś powodu, może ze względu na snobistycznych rodziców, polubiła to azjatyckie żarcie, które dowożono do restauracji dwa razy w miesiącu. Przyszliśmy tu ostatni raz dwa tygodnie przed jej wyjazdem. To był lipiec ubiegłego roku, z nieba lał się żar, a z kuchni dobiegały odgłosy skwierczącego tłuszczu. To była nasza pożegnalna kolacja, a może, łudziłem się jeszcze, wcinając chińską potrawkę i jak zwykle męcząc się z pałeczkami, spotkanie ostatniej szansy, chociaż szans żadnych nie było. Nie chciała jechać do mnie, odwiozłem ją grzecznie do domu, pożegnaliśmy się niezręcznie, w pół zdania, i było po wszystkim. Przyrzekłem sobie, że już nigdy nie wejść do tej knajpy. I że się nigdy nie zakocham.

Myślałem jeszcze o tym wszystkim, wpatrując się w witrynę sklepu muzycznego na placu Konstytucji. A potem wspomnienia odpłynęły, bo pojawiły się inne. Teraz tych instrumentów, różnych firm i rozmaitej jakości, było pod dostatkiem, a pamiętałem, co działo się zaraz po wojnie. Sprzęt pożyczano się z ognisk muzycznych, na upragniony instrument czekało się tygodniami, niemiecki weltklang był dla saksofonisty szczytem marzeń, a perkusiści odkupowali sparciałe skóry, byle było na czym grać. Mój uśmiech odbił się w szybie. Pomyślałem o naszym perkusiście, Tomku. I o tym, jak zobaczył, że Amerykanie grają na syntetycznych naciągach. „Syntetyczne”, „syntetyczne”, powtarzał nakręcony. „Rozumiesz, człowieku, syntetyczne”. A potem kupił na Różycu kilogramy piłeczek do ping-ponga, zaczął je topić, smród niósł się niemiłosierny, żeby wyprodukować własną syntetyczną membranę i podłożyć ją pod skórę. A dym był taki, jakby znów płonęła Warszawa. Perkusiści to szaleńcy. Bez dwóch zdań.

Doczłapałem się do placu Zbawiciela, chciało mi się pić, ale powstrzymałem się. Po prawej od kościoła stał automat z wodą. Ktoś zdradził nam taki myk. Trzeba było solidnie uderzyć dwadzieścia centymetrów nad otworem na drobne, wtedy woda nalewała się sama i bez płacenia. Święta, cudowna woda ze Zbawiciela. Kilka razy skorzystaliśmy z Namysłem z tego patentu, na przykład wtedy, gdy na wielkiej bani wymontowaliśmy kamienną donicę i zanieśliśmy do niego, bo on tu mieszkał o krok. Dziś dałem spokój i skierowałem się pod kościół.

Zwykle o tej godzinie już go nie było, ale nie dziś. Nikt nie wiedział, jak faktycznie nazywał się Quasimodo. Garbus pojawił się tuż po wojnie i trwał przy tych murach do dzisiaj, przepowiadając przyszłość, a datki zbierał do tego samego od lat pudełka po miętówkach. Mijały dni i miesiące, jedno oko Kwaziego, bo tak go nazywaliśmy, zaszło bielmem, a gdy zaczął narzekać na bóle w kościach, zorganizowaliśmy mu prawdziwy perski dywanik. Wynieśliśmy go w czasie jakiegoś wernisażu i teraz Kwazi, jeszcze w zimowym futrze i na latającym dywanie, wyglądał jak pasterski pies pilnujący owieczek.

– Co słyhać, Dziadku? – zagadnąłem. Wrzuciłem drobne do pudełka po miętówkach.

Uniósł powiekę zdrowego oka.

– Słyszałem, że wasz kolega umarł. – Kwazi zachrypiał. – Ten najślawniejszy.

Westchnąłem.

– Wszystko wiesz, dziadku. Ano był i umarł.

Nagle pomyślałem, że nigdy nie zadałem Kwaziemu pytania, które wydawało się zupełnie oczywiste. Sięgnąłem po papierosy, chciałem go poczęstować, ale odmówił.

– Przy świątyni nie palę – wysapał.

– Słuchaj, dziadku... A kto jeszcze umrze? A może inaczej – poprawiłem się – kiedy ja umrę?

Chwilę świdrował mnie tym swoim rentgenowskim spojrzeniem.

– Niedługo będą strzelać – powiedział. – Ale wtedy nie umrzesz. A potem z ciepłego kraju przyjedzie człowiek ubrany na biało i odmieni tę ziemię. Wtedy też jeszcze nie umrzesz. Znowu będą strzelać, ale nic się nie bój. Zabiją księdza, ale ty będziesz żył jeszcze długo. A potem ludzie przestaną ze sobą rozmawiać. Będą pozdrawiali się kciukami uniesionymi do góry albo w dół, o tak... – Wysunął brudny paznokieć ku niebu. – Ale wtedy już nie będziesz żył.

– Skoro świat ma tak wyglądać, to może i lepiej, że mnie nie będzie.

Znów sypnąłem drobnymi.

– Znaczą, czasy będą niespokojne. Dziadku, a mógłbyś powiedzieć, czy zanim to wszystko nastąpi, wygram w Krajowej Loterii Pieniężnej? Albo czy mógłbyś dać mi typy na Wielką Warszawską?

– O szczęście to musi każdy sam zadbać. Jak ja. – Uderzył się palcem w pierś. – Mnie nic do tego. Ale wiesz co? – Poruszył się niespokojnie na dywaniku. – Umrze dziewczyna... Młoda.

– Jaka dziewczyna?

Nie odpowiedział.

Powtórzyłem pytanie, ale nie wiem nawet, czy je usłyszał. Zaczął rzeźnić, a potem rozkasłał się na dobre, jakby miał wypluć oba płuca.

Gdy przestał charczeć, okryłem go szczelniej futrem. A potem pożegłowałem w stronę „Hybryd”.

3.

„I wtedy zrobił mi śniadanie. Jedliśmy jajka na miękko i kanapki z dżemem”. „Nigdy nie jadał dżemu, to musiał być ser”. „Dżem, pamiętam dobrze. Żaden ser”. „Ser”. „Mówią, że to ten alkoholik go zabił”. „Ten pisarz”. „Roman go zabił”. „Żaden Roman. Zośka”. „Po co go tu przywoziła? Z Ameryki? Ale podobno mnóstwo nawiozła”. „Po to pojechała”.

Było jak zwykle. Duszno od wspomnień, kumulacji czasu przeszłego, przekrzykiwania się pamięcią. A przede wszystkim podkreślania własnej istotności, bo jak ktoś napisał, żywi zawsze mają rację przeciwko umarłym. Tyle że ten pisarz też już nie żyje, więc to trochę się nie liczy, a przynajmniej śmierć nieco unieważniła ten ponury aforyzm. Piłem wódkę, popijałem piwem, ktoś podsunął mi pod nos resztki czegoś, co jakiś czas temu, może w Wielkanoc, przypominało śledzia. Z baru dostaliśmy korniszony.

– Dasz papierosa? Nie wziąłem ze sobą.

Dałem.

Siedzieliśmy we dwóch. Czesław Kaczek, powszechnie zwany Kaczką, rzadziej i mało zręcznie Kaczką Dziennikarską, w geście usprawiedliwienia poklepał się po połach marynarki. Zawsze to robił, kiedy chciał wydebić szluga.

– Nigdy nie masz ich przy sobie.

Uśmiechnął się.

– Bo palę więcej od ciebie. Z nerwów. Z powodu pracy. I wcześniej mi się kończą.

„Z dżemem”. „Serem”. „Już sam nie wiem. Może z serem”. „Szatan”. „Mówię wam, że szatan go zabił. Wszystko przez ten film”.

Kaczka był w moim wieku. Zwykle podnosił klubową średnią. Pracował w miesięczniku „Ty i Ja”, w redakcyjnym pokoju na Elektoralnej pisywał recenzje, a trzy pokoje dalej siedział kiedyś Cieślęwicz i projektował obłądne okładki, takie, że Jackson Pollock mógł się schować. W stopce magazynu widniała enigmatyczna adnotacja, że miesięcznik „redaguje kolegium”. Żadnych nazwisk, jakby chciano dać do zrozumienia, że nie one są istotne. Ale były. Poza tym Kaczka chałturzył gdzie popadło. Jak wszyscy. W jakimś magazynie prowadził kącik porad sercowych, w innym odpisywał na listy dotyczące pożycia intymnego. Pakiecik takiej korespondencji zostawił kiedyś po pijaku kilka stolików dalej i listy te leżą do dzisiaj w mojej szufladzie. W zasadzie Kaczka był znośny, pomijając tę okropną potrzebę popisywania się znajomościami i brylowania w towarzystwie, ale można to było mu wybaczyć. Ostatecznie nikt nie jest doskonały.

W sali przybywało ludzi, kilkoro przywitało się, kamienne, obolałe twarze na chwilę pogodniały, a potem wracały do stanu skupienia. Przyszedł mały Włodek w rozciągniętym czarnym swetrze. Ten to dopiero potrafi grać na saksie. Jeśli mu się chce. Ktoś przyniósł *Astigmatic*, włączyli płytę i rozbrzmiały pierwsze dźwięki, które znałem na pamięć. Nieśmiałe dźwięki fortepianu, tak jakby pianista próbował, czy klawisze dobrze leżą mu pod palcami, a później sześć dźwięków, od g do d po kolei w dół.

„To był jednak ser”. „Mówię wam, że Romek”. „Diabeł, a nie Romek”.

Kaczka zaciągnął się z ulgą.

– W redakcji chcą, żebym napisał o nim wspomnienie.

– Na mnie nie licz. – Wszedł Tomek i pozdrowiliśmy się skinieniem głowy. – Grałem z nim trzy, może cztery razy w zastępstwie. Z Guciem porozmawiaj. Z Lalą albo Jackiem. A najlepiej idź do niego. – Wskazałem głową Tomka.

– Nie o to chodzi. Mam swoje wspomnienia. – Pokręcił głową. – Nie napiszę tego. Ale tobie powiem.

Miał bratanka, którego wzięli w kamasze. Wylądował w czołgach. I latem ubiegłego roku niespodziewanie ogłoszono ćwiczenia. Wszyscy dowódcy jakby oszaleli, dostali nagłej kurwicy, ataku białej gorączki i nabrali wody w usta. A potem zdezelowane czołgi przetransportowano na południe. To był szmelc, silniki się grzały i zachodziła obawa, że może nie dojadą. Ocknęli się, gdy przekroczyli granicę, a na przykurzone hełmofony, na lepkie od smaru i potu mundury patrzyły wrogie twarze Czechów. Nikt nie witał bratniej socjalistycznej pomocy kwiatami, w gospodach nie częstowano piwem, a czeskie dziewczęta nie były czułe.

– Młody zrozumiał, że za chwilę do tych pięknych dziewczyn zaczną strzelać. Tu lato, tu jebany Sopot, Sipińska z Kydryńskim, a tam wojna. Przepraszam, in-ter-wen-cja. Z tego wszystkiego zsiąkał się w spodnie, potem całkiem się załamał. Na początku myśleli, że symuluje, chcieli postawić go przed sądem za dezercję, ale wreszcie uznali, że oszalał. Wsadzili go do Tworek, poobserwowali i zwolnili. A gdy wrócił do domu, podarowałem mu *Astigmatic*. Nigdy nie lubił dżezu i wiesz co? Poprawiło mu się. Puszczzał sobie na okrągło. Już prawie jest z nim dobrze. Jestem pewien, że to od tej... Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Słuchałem, jak zespół wypuszcza Tomka, trąbka nagle zostaje sama, dźwięki błędzą trochę free, trochę na ludowo.

„Mówią, że napisał dwie kołysanki”. „Albo trzy”. „Ser”.

– No nie możesz tego napisać. Chyba że od razu wyślesz do Giedroycia.

Nie skomentował tego, co powiedziałem. A może nie dosłyszał. Zgasił papierosa w połowie, a to, co zostało, przełamał jeszcze na pół i po tym cudownym rozmnożeniu schował do marynarki. Wyjaśnił, że ma taką specjalną kieszonkę na kiepy, wtedy starcza na dłużej. Więc kolejnego papierosa już ode mnie nie weźmie, ale może postawiłbym mu jeszcze kolejkę? I jak takiemu odmówić.

Wstałem od stolika i spojrzałem na scenę, na której z trudem mieściła się sekcja i fortepian i trzeba było się postarać, żeby kogoś jeszcze wcisnąć. Odstałem swoje w kolejce, zamówiłem dwie czyste, dwa piwa i przesunąłem wszystko na koniec kontuaru. Każdy ma własne wspomnienia. A jak myśmy się poznali?

Mieszkałem wtedy w Gdańsku, z pewnych względów niespieszno mi było do Warszawy, zacząłem znowu grać i usłyszałem, że w Sopocie odbędzie się festiwal. To było w pamiętnym pięćdziesiątym szóstym. W pochodzie nie wziąłem udziału, w tym czasie objaśniałem apetycznej zetempówce, poznanej godzinę wcześniej, problematykę sztuk wyzwolonych, ona mówiła z kolei, że czuje się bardzo wyzwolona, a z dala od swojego chłopaka, który jest dwieście kilometrów stąd, to już w ogóle. Ożywiła się jeszcze bardziej, gdy dowiedziała się, że gram na kontrabasie. „Bujaaaasz”. Przedłużyła ostatnią sylabę, mrugała oczami, a ja poprosiłem, żeby dotknęła moich palców,

zrogowaciałych, popękanych i stwardniałych od grania. Przesunęła po nich swoimi aksamitnymi opuszkami, językiem zwilżyła wargi, jakby sprawdzała, czy są na swoich miejscach, a potem ten jej język, wyćwiczony nie tylko w wykrzykiwaniu słusznych haseł podczas masówek, błyskawicznie powędrował gdzie indziej.

A wieczorem w Operze Leśnej czekały mnie zupełnie inne przeżycia, choć o równie doniosłym estetycznym znaczeniu. Wtedy na scenę wkroczyło sześciu smutnych facetów, na czarno ubranych, o kamiennych twarzach i martwych spojrzeniach. Ten wystudiowany chłód błyskiem uciszył rozwrzeszczaną publiczność, pianista w stylowych okularach dość długo zapalał papierosa, właściwie celebrował tę czynność, widać było, że cisza, która zapadła, sprawia mu przyjemność, a potem zaczęło się. Po koncercie jakiś wspólny znajomek poznał nas ze sobą, a potem to już zrobiło się rano i w hotelowym pokoju, zawalonym butelkami po wódce i winie oraz zdekompletowaną kobiecą bielizną, zbudził mnie krzyk mew.

Kilka razy wziął mnie na zastępstwo za innych basistów. Nigdy nie oceniał mojego grania, choć czułem, że średnio mu się podobało, „dzięki, stary”, rzucał na koniec coś w ten deseń, i tyle. Nie ma czym się chwalić.

A potem jeszcze przecięliśmy się w Krakowie, gdzie też mieszkałem chwilę, i w „Helikonie” życzyłem mu wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Jemu i Trzaskowerowi, bo połączyli swoje śluby i wesela, pewnie żeby po tanioci wyszło. Polewałem panu Marianowi, temu z „Przekroju”, gdy jakiś dowcipniś odpalił petardę. Alkohol wylądował na redaktorskiej koszuli, a okulary oblepiły się drobinami kiełbasy i kapusty z bigosu.

Poczułem stuknięcie w ramię.

– Stało się coś? – zapytał Kaczka. – Pomyślałem, że ci pomogę. – Chciwie spojrział na alkohol. – Z kącika ust zwisał mu papieros, ale nie był to mój carmen.

– Nic się nie stało.

Zawiesiłem się tylko w czasie i przestrzeni.

Zrobiło się dość tłoczno i jakaś ekipa, nie znałem z nich żadnego, chciała nam podebrać stolik. Kaczka tłumaczył, że działa prawo pierwszej w nocy i pierwszego lepszego w nocy, nie było to zabawne, ale dość zawile, może jakiś cytat z filmu czy coś, trwało to więc, nim znowu usiedliśmy. A wystarczyło powiedzieć tym trzem, żeby spierdalali. Żałobnikom się nie przeszkadza.

Nie wiadomo, kiedy przebrzmiała *Kattorna*, a już *Svantetic* się rozkręcał, Namysł grał pierwsze długie dźwięki sola i ruchem ręki poprosiłem Kaczkę, żeby przez chwilę się nie odzywał. A potem, na tle pięknego basu, wszedł fortepian, i to było najlepsze. Całkiem ładny, subtelny moment.

„Mnóstwo hajsu zarobił w Ameryce”. „Od razu mnóstwo”. „Podobno komuś przekazał te amerykańskie utwory”. „Komuś wysłał. Jakby coś przeczuwał”. „Ty wiesz, a może i z serem? Ale kazał mi umyć ręce przed jedzeniem”. „Lekarz. Laryngolog. Wiadomo”.

4.

Mam własną teorię dotyczącą ballad dżezowych. Otóż. Otóż nie są one emanacją jakiejś szczególnej wrażliwości dżezmenów. Nie są magnesem przyciągającym do knajp fajne dziewczyny, które następnie, po kilku godzinach, opuszczają lokal w towarzystwie muzyków albo wsparte na ramieniu właśnie poznanego faceta. Nie są też sprytnym wymysłem menedżerów, którzy wiedzą, że ludzie lgną do ładnych melodii jak ćmy do światła. Jak ćmy. Chwilowo nie stać mnie na bardziej wyrafinowaną metaforę. Otóż. Otóż gdy Dexter Gordon furczy w saksofon i długimi, mięsistymi nutami gra temat, opowiada nie o miłości, rozstaniach, melodramatach i tych wszystkich historiach, ale oddaje istotę alkoholowego snuja.

Ballada krąży to tu, to tam, meandruje w zasadzie bez celu i bez końca, tylko dlatego, iż zdarza się, że człowiek łapie w knajpie odpowiedni rytm i nastrój. Daje się ponieść chwili, zaczyna wtedy krążyć od stolika do stolika, między znanymi twarzami a widzianymi pierwszy raz, coś opowiada, bredzi, kluczy, przysiada się albo go zbywają, odbywa swój alkoholowy chocholi taniec, robi jeden obrót, drugi, kolejne kółko, twarze się zmieniają, potem rozmazują, a on trwa i trwa. Snuje się jak dżezowa ballada.

Taki więc miałem nastrój i zacząłem obchód. Nie pamiętam, kogo zaczepiłem i o czym rozmawiałem. Chwilę przyglądała mi się jakaś dziewczyna, ale nie wiem, kto to był, zresztą nie jestem tego pewien, bowiem sytuacja wymknęła się nieco spod kontroli, a gdy przetrzeźwiałem, w „Hybrydach” byli już tylko najtwardsi, zdesperowani albo tacy, którzy spłynęli tu niedawno. Nie wiem, ile to trwało, zanim znów usiadłem. Straciłem rachubę czasu. Impreza miała charakter zamknięty, ale było jasne, że będzie trwała bez końca. Ta sama płyta nadal grała, ciekawe, który już raz, Kaczka zdążył odpłynąć, a ja siedziałem przy stole naprzeciwko dwóch i wtedy dobiegło do mnie to tajemnicze słowo:

– Cortazar.

Otworzyłem oczy.

– Co?

– Nie co, ale kto. Cortázar – powtórzył ten ze szpetną twarzą.

– To nowy puzonista Mingusa?

Roześmiał się.

– Popatrz, wraca do żywych – powiedział do tego w przyciemnianych okularach.

– No, mnie to akurat trudno coś zobaczyć – odparł drugi.

Tym razem zaśmiali się obaj.

Proszę, proszę. Ich to bym się dziś raczej nie spodziewał. Wieńczysław Goszcz i Andrzej Sycz. Pianista i pisarz. Goszcz z Syczem, Sycz z Goszczem. Jeden z przyłizaną grzywką, sypiącym się, jak u młokosa, wąsem i w ciemnych szklach. Uwielbiał Beethovena i Evansa, o tym pierwszym mówił, że chciałby go spotkać, bo pogadaliby sobie jak ślepy z głuchym. Nikt nie grał tak jak on, tak uważnie i dobrze, a zarazem na tyle gęsto, że najlepiej się czuł, występując sam. Stracił wzrok, gdy był dzieckiem. Próbowaliśmy kiedyś razem, ale w tym, co robił, nie było miejsca na kontrabas. Zdaje

się, że niewidomi tak mają, Lenny Tristano był przecież w tym podobny, że wypełniają sobie świat innymi zmysłami, meblują go w tylko sobie znany sposób. Wienio robił to przy pomocy dźwięków. I był w tym wielki. Nawet Trzaskower nie był tak dobrym pianistą.

Ten drugi, starszy i łysiejący, z pożółkłymi, nierównymi zębami, był pisarzem, tworzył podobno jakąś wykręconą prozę, nie czytałem, ale tak o nim mówili, niektórzy nawet z czcią i nabożnie, inni z lekceważeniem, ale jednak. Być może dziwak o takim wyglądzie musi tak właśnie pisać. Połowę twarzy miał zniszczoną, wyglądała jak niegojąca się rana, gorejąca i pulsująca, kiedy zaczynał mówić. Nie wiem, czy był to rak skóry, czy jakieś inne cholerstwo, ale czerwone pęknięcia i pofałdowania, parchy i złuszczenia wyglądały naprawdę upiornie i groźnie. A niejedno w życiu widziałem. Może z powodu tej deformacji Sycza rzadko widywano na mieście. Był raczej odludkiem, powiadali, że przyjaźni się z Wieniem, a połączyła ich zapewne solidarność ludzi okaleczonych, utalentowanych i dotkniętych przez los. Bo przez co innego.

– Żaden puzonista – powiedział Sycz. – Cortázar to argentyński pisarz. Niedawno go u nas wydali, zaraz będzie szął, wszyscy będą się nim onanizować. Zobaczycie.

– Taki szalowy?

– Latynosi w Paryżu, emigracja, studentki, wódka i blues. Wszyscy jesteśmy Horacio Oliveirą – powiedział sentencjonalnie.

Nie wiedziałem, kim jest ten cały Horacio, chwilowo miałem w dupie Paryż, emigrację i studentki, a alkoholu i dobrej muzyki było pod dostatkiem na miejscu. *Astigmatic* zaczęła właśnie kolejny obrót na gramofonie.

– Wiesz – powiedział Wienio – siedzę tu chwilę i słucham, co ludzie gadają... Jak go wspominają. – Jego palce błędziły po blacie w poszukiwaniu papierosów. – I okazuje się, że w ogóle niewiele o nim wiedziałem.

– Ludzie w ogóle gadają. O tobie, Wieniu, też. Że chodzi za tobą ten dziwny ubek i nagrywa twoje koncerty. Cały czas to robi?

Był taki zagadkowy tajniak, który polubił dzez. A szczególną miłością zapalał do Wiena. I rzeczywiście widywano go z magnetofonem, czasami gdzieś w rogu sali, a czasem w pierwszym rzędzie, gdy z nabożną czcią wpatrywał się w ręce pianisty, grającego złożone akordy i karkołomne pasaże. Próbował czasem zagadywać, ale jeśli wyczuł napięcie lub gdy zapadała cisza, wycofywał się bez pretensji. W ogóle poza tym dziwactwem nie sprawiał kłopotów, a między sobą żartowaliśmy, że nikt nie ma tylu nagrań, ile ma Wienio. A koncertówek to już w ogóle.

– No cały czas. – Pianista wzruszył ramionami, jakby chciał podkreślić, że nie ma na to wpływu. – Ale przynajmniej odciążam go od jakiejś parszywej roboty. W ten sposób ratuję świat.

– W ogóle niewiele wiemy – wtrącił Sycz. Bawił się pustym kieliszkiem. – A o ludziach tyle co nic. O twoim koledze, Wieniu, na przykład w ogóle nic nie wiemy, nie?

Spojrzał na mnie.

– Faktycznie. – Pianista ożywił się. Zapalił sporta. – Niedawno jakoś tak o tobie pomyślałem... – mówił to do mnie. – Jesteś starszy od nas wszystkich, starszy nawet od świętej pamięci zmarłego. A nigdy nic o sobie nie mówisz...

Milczałem. Tak jak było w moim stylu.

– Urodziłeś się przed wojną – ciągnął. – Grubo przed wojną, a nigdy się o niej nawet nie

zająknął. Jakby nic się nie wydarzyło. Wskazał głową w stronę, skąd dobiegała muzyka. – Ten ledwo przeżył bombardowanie w trzydziestym dziewiątym. Dzisiaj się tego dowiedziałem.

– Basiści grają, a nie mówią – odparłem na odczepnego. – Jeden się popisuje, a ktoś trzyma fason.

– Nie zalewaj. – Sycz skrzywił się, a jego twarz zrobiła się jeszcze bardziej upiorna.

Patrzyłem na niego. Czułem, jak napływa fala gorąca, jak napinają się moje mięśnie, i pewnie nie skończyłoby się to dobrze, ale znienacka przyszło wybawienie.

Wybawienie miało na imię Wanda i było bliską przyjaciółką wdowy po zmarłym. Może przyjechała prosto od niej z Żoliborza. Wanda zrobiła dwa chwiejne kroki, zatoczyła się i upadła na parkiet. Klubowe niedobitki zwróciły się w jej stronę. Wanda uśmiechnęła się filuternie, a chwilę później jej twarz stężała.

– Gdzieście wszyscy byli, skurwysyny? – Usiadła na podłodze i wykrzyczała pytanie w przestrzeń.

– Gdzie ci wszyscy przyjaciele?

Nikt nie odpowiedział.

Z parkietu rozległ się ni to śmiech, ni szloch.

– Jebany kuternoga... – Kiwała się i powtarzała: – Jak mógł umrzeć? Jak mógł to zrobić?

Mężczyzna, którego nie znałem, podszedł do niej.

– Wystarczy, panienko.

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Panienko? Jaka panienko! Ja stara kurwa jestem.

Roześmiała się chrapliwie. I to był dobry moment, żeby zostawić Wenię i Sycza samym sobie.

Wstałem, podszedłem do Wandy, pochyliłem się i ująłem ją pod ramię. Opierała się przez chwilę, zmeła w ustach jakieś przekleństwo, ale wreszcie uległa. Wyprowadziłem ją z piwnicy, ktoś zaproponował podwózkę i poczekałem, aż wsiądzie. Paliłem ostatniego carmena i oddychałem warszawską nocą. Światło latarni rozkładało się na dziesiątki drobnych punktów, które wraz z pyłem wirowały, a następnie skupiały się w jedną całość. W oddali przejechał samochód na sygnale. Nie było ze mną źle.

W głowie ułożyłem odpowiedź, uznałem, że nie powinienem być dla nich niemiły, ostatecznie nie było powodu, ale gdy wróciłem na dół, pianisty i poety już nie było. Zamówiłem ostatnie piwo, uroczyście obiecałem to barmance i samemu sobie, usiadłem przy wolnym stoliku i poczułem się zmęczony. A może zwyczajnie za stary na to wszystko.

Na blacie leżała zalana czymś gazeta. Relacja z pierwszego rejsu „Stefana Batorego”. Osiem pokładów, klimatyzacja, prawie pięćset miejsc pasażerskich, pełny luksus. Trwają przygotowania do budowy Łazienkowskiej Trasy Mostowej, drugiej połówki śródmiejskiej obwodnicy. Plac Na Rozdrożu zachowa walor uroczego fragmentu alej, gdyż główne potoki pojazdów, podążających na nowy most, pojadą tunelem. Tajemnicza śmierć studentki. W okolicach uniwersytetu nad ranem służby miejskie znalazły ciało Zofii Tłoczyńskiej, dwudziestoletniej studentki polonistyki. Prowadzone jest intensywne dochodzenie.

Ciekawe, czy na „Batorym” gra jakiś znajomy?

Ktoś zdjął *Astigmatic* z gramofonu.

Co mnie to wszystko obchodzi!

Wstałem od stolika, a godzinę później już chrapałem w dawno niezmienianej pościeli.

5.

Staruch za ścianą zacharkał i pierdnął, zresztą o jakiej ścianie mówimy, to raczej atrapa, parodia ściany, tak zresztą, o, znowu rzezi, jak ta cała klatka, jaka klatka zresztą, raczej klatka dla szczura, którą ktoś, niewątpliwie niepozbowiony poczucia humoru, nazwał „mieszkaniem pracy twórczej”, o które mi się wystarali, petycje nawet jakieś do związku w mojej sprawie były, sam kilka podpisałem, chociaż mi się wydaje, że dostałem ten przydział, w Śródmieściu, a jakże, na ostatnim piętrze, gdzie cisza, a jakże, i hałasy od ulicy przeszkadzać nie będą i nie będą, a jakże, niepotrzebnie rozpraszać, odwozić od pracy, pracy twórczej, rzecz jasna, więc dostałem ten przydział z litości, no bo jak tu nie przyznać komuś, kto ma tylko pół twarzy, a zamiast drugiej połówki „anegdotę facjaty”, jak ktoś życzliwy był łaskaw się o mnie wyrazić, to mógł być Konwicki, o, charknięcie, Konwicki spotkany na placu Trzech Krzyży, tam, koło kiosku i Instytutu Głuchoniemych, ale to jednak nie był Konwicki, tylko jakiś „głośny” literat, zresztą to zabawne, jaką karierę zrobiła kategoria „głośności” w literaturze, wystarczy kilka znaczących klepnięć po plecach w knajpie, dwa chrząknięcia pełne aprobaty w tak zwanym środowisku i trzy recenzje napisane przez wpływowych krytyków, żeby obwołali „głośnym”, teraz to na przykład w modzie jest pisanie o pisaniu, książka w książce, powieść w powieści, mądrze nazywają to autotematyzmem, Sandauer gada jak najęty, zresztą do końca sam nie wiem, gdy to piszę, czy jestem jeszcze na zewnątrz, czy tkwię już wewnątrz i sam stałem się częścią własnej historii, trochę mi się to miesza, choć na ogół dbam, żeby nic się nie mieszało, od początku dbałem o precyzję, od chwili, gdy napisałem opowiadanie o budowniczych Pałacu Kultury, na szczęście ucichło za tą atrapą, najtrudniej ze staruchem wytrzymać rano i wieczorem, tak, o pałacu i tych dwóch wysoko na rusztowaniu, nad Warszawą, stoją pod samym niebem, są tylko we dwóch i jeden wyjmuje nóż, ale nie trafia, a potem potyka się, traci równowagę, leci w czeluść, spada, wpada prosto w paszczę pałacowego potwora i staje się bezimienny, bo wielu tak spadło, słuch o nich zaginął, nikt się nimi nie przejmował, nie zbierał ciał, bo i po co, zresztą co tu zbierać, nazwałem to *Sam na sam*, ale nigdzie nie chcieli wydrukować, mówili, że to reakcjonistyczne i dziwnie napisane, dekadentkie wręcz i wbrew wyczuciu językowemu człowieka prostego, nikt nie zrozumie, bo ci dwaj pokłócili się o litr wódki i jeden miał coś do drugiego, że podważa to sens socjalistycznej odbudowy ojczyzny, o, znowu zaczyna się kakofonia dziurawych płuc, więc opowiadanie leży od lat, z kilkoma innymi, w skoroszytcie z pożółkłymi okładkami, żółtymi jak te ściany, od których robi mi się niedobrze, bo z tej klatki uciekł już ostatni szczur i tylko ja tu zostałem; więc wracając do kategorii „głośności”, to padło na mnie podejrzenie, że to ja, pod pseudonimem, napisałem powieść, w której przewidziałem wszystko to, co zdarzyło się w tym strasznym ubiegłym roku, ten cały wstrętny polityczny rejwach, no, zatem, że napisałem, a potem jeszcze wydali mi to w paryskiej „Kulturze”, no a wtedy w partii wściekli się, wytypowali, jak w teatrze sensacji w telewizji, jak u Agathy Christie, kilku podejrzanych, w tym gronie też ja się znalazłem, przychylni mi zaczęli mnie nawet, Konwicki bodaj na placu Trzech Krzyży zaczepił i zapytał: „To ty czy nie ty?”, chociaż to może nie był Konwicki, choć gardłowy głos podobnie, nieważne, teraz dla odmiany wiatr dmie w wypaczone

okiennice, ja odpowiadałem wymijająco, może ja, może nie ja, dawałem do zrozumienia i mrugałem okiem, tym po zdrowej stronie twarzy, i bardziej wścibscy sądzili, że coś na ten temat wiem, tym bardziej, że ci z partii zatrudnili polonistów, językoznawców, żeby ci porównywali styl powieści z innymi utworami, porównywali, ile razy użyto takich to a takich spójników i przysłówków, i wyszło im, że jestem w wąskim kręgu wytypowanych, ubecja mnie wezwała na przyjacielską rozmowę, żądała wyjaśnień i groziła, ale miałem to gdzieś, bo to nie byłem ja, nie mogli mi nic udowodnić, poza tym czegoś tak słabego w życiu bym nie napisał, albowiem.

Albowiem od dłuższego czasu pracowałem nad prozą o Jezusie i o tym dniu, gdy wstaje z martwych, zatytułowałem to nawet *Trzeciego dnia*, a tak ściślej miało być to o tym, że zmartwychwstaje, lecz przyjmuje to z pewną niechęcią, bo w gruncie rzeczy czuje się człowiekiem, nie bogiem, a ludzie zachowują się w tych sprawach zadziwiająco konsekwentnie i nie wstają z grobu, poza tym jest przecież niedziela i Jezusa bardzo ciekawi, co działo się w sobotę tak w ogóle i co się z nim samym działo, nikt w literaturze nie zadał jeszcze takiego pytania, bo co w piątek, to mniej więcej wiadomo, pyta o to pewną napotkaną kobietę, która bardzo mu się podoba, i to miała być taka opowieść o ludzkim Jezusie i miłości, ale potem dowiedziałem się, że jakiemś Rosjaninowi wydali niedawno podobną książkę, a teraz szybciotko wychodzi także u nas, że w ogóle to arcydzieło i będą o tym wszyscy mówili, Zawieyski tak powiedział w drodze do sejmu albo z sejmu, chociaż nie, to nie mógł być on, a teraz miał wylew i paraliż i stracił pamięć, leży w ministerialnym szpitalu, a ja coś czuję przez moją chorą skórę, o, pierdnięcie, że to się dobrze nie skończy, nieważne, to mógł być Konwicki napotkany przy instytucie, chociaż to raczej nie był Konwicki, tak, to tłumacz był albo jakiś konsultant, dając głowę, a przychodzi mi to tym łatwiej, że mam tylko jej pół, więc wszyscy będą się tym Rosjaninem zachwycać, no to jedyne, co mogłem w tej sytuacji, to zrobiłem i poniechałem dalszego pisania, ale.

Ale nie ma tego złego, bo rzucone ziarno kiełkuje, a ziarnem tym była myśl, dość dręcząca, nie ukrywam, o wskrzeszaniu zmarłych, może sam temat to spowodował albo irracjonalna siła sugestii, bo nie wierzę w przypadek, na dole zawył pies i na chwilę zagłuszył starucha, że tego dnia, gdy rzuciłem pisanie o Jezusie, te dwie na ulicy młodzieńczo się roześmiały, obie były śliczne, a dzień całkiem cudny, ale one tym swoim śmiechem nie podkreślały piękna, tylko afirmowały moją brzydotę, śmiejąc się, jestem pewien, do mnie, śmiały się ze mnie, a potem jedna szepnęła do drugiej: „Patrz, jaki potwór”, a ja wtedy.

A ja wtedy pomyślałem, co to by było, gdyby tak pod te jędrne, kształtne cycki, rysujące się pod sweterkiem, wbić nóż, a potem zrobić to raz jeszcze i jeszcze raz, przekręcić ostrze jak śrubokręt, aż z tej cielesnej powłoki uleci życie, jak ulatuje powietrze z przebitego balonu, tyle że życie ulatuje już bez nadmiernego huku, i napawać się tą chwilą, która łączy ludzi starych i młodych, mądrych i głupich, tych z pięknie zadartymi noskami i tych ze szpetnie zniekształconą twarzą, tych beczelnych z zawstydzonymi, o, chyba przestał wreszcie pluć tą gruźliczą plwociną, może wreszcie zasnął, i gdy pomyślałem o tej chwili, gdy wbijam nóż w młode dziewczęce ciało, poczułem niespodziewany przypływ mocy i życiowej ikry, poczułem się taki lekki, a na ogół jestem przybity do brudnego chodnika rdzawym gwoździem, że roześmiałem się do nich, a obie zachichotały, jakby zobaczyły jakieś dziwo w cyrku, i wyobraziłem sobie, co to będzie, gdy już opiszę ten moment ostateczny komunii żywych, chwilę umierania, kiedy napiszę kroniki krwi, opiszę wszystko jeden do

jednego, choć teraz myśli jeszcze fermentują, a tryby się mieszają, i nie do końca wiem, co jest prawdą, a co krwawą fantazją.

Bo jestem pewny, że nikt czegoś takiego nie stworzył jeszcze, bo żeby to zrobić, trzeba być potworem, a ja nim jestem, nie zrobił tego żaden Rosjanin, Niemiec czy Czech, o moich koleżankach w przepoconych swetrach i bez talentu oraz durnowatych, przylizanych kolegach nie wspominając, a tej samej nocy, właśnie tej, wyśnił mi się tytuł i nazwę powieść *Śmierciorysy*, bowiem to śmierć składa podpis pod życiem, jest jego notariuszem, puentą i końcową kropką.

Zaraz położę się na łóżku, sprężyny jękną, odwrócę twarz w stronę atrapy i płwocin i poczuję pleśń.

O, wiatr znów szarpie okiennicami, wściekle szarpie, o.

6.

Jaki miły, wrażliwy chłopiec. I jak pięknie gra. Kurwa ich mać. Niedawno skończyłem dwadzieścia pięć lat, a podobno ciągle wyglądam na piętnaście. Ponoć tak jest, przecież mojej twarzy nie widzę, znikła dwadzieścia lat temu, wszystko najpierw stało się mniej wyraźne, rozmazane, zamieniło w kontury, a potem przepadło zupełnie i na zawsze. Z tym chłopięcym wyglądem musi coś być, bo pod palcami przecież czuję, że zarost mam słaby, rzadki, inaczej niż mój ojciec, i może jest to rozczulające, ale nie dla mnie.

Twarz ojca pamiętam, bo jak można zapomnieć. Gdy byłem całkiem malutki, ledwo zacząłem chodzić, zauważył, że coś ze mną nie tak, że raczej darmożjad ze mnie będzie i kolejna gęba do wyżywienia, a nie przyszły gospodarz, i jego praktyczny chłopski umysł podsunął mu rozwiązanie. I tak nocą znalazłem się w stodole, leżąc między zwierzętami, a rano ktoś odnalazłby zdeptane ciało i byłoby po wszystkim. Siostra mi wszystko opowiedziała, szeptem, przysięgłem na Pana Boga, że nigdy nikomu nie powiem, bo to ona mnie znalazła. Miałem wtedy szczęście. A potem było tylko gorzej. Gdy trafiłem do szkoły dla ociemniałych dzieci, jego limit, w sumie niezbyt okazały, trzeba przyznać, wyczerpał się. Może Pan Bóg kochał mnie, istotnie, ale siostrzyczki zakonne to już z pewnością nie darzyły mnie miłością. Nikt mnie nią nie darzy i to jest dowód, że Bóg nie istnieje. Bo Bóg i miłość to powinno być jedno. Nieważne.

Zbliża się wieczór i czuję, że bez chlapnięcia nie zasnę. Dziś przyszedł właściciel mieszkania, zajrzał ot tak, zobaczyć, jak mi się mieszka, ucieszył się, gdy powiedziałem, że wszystko w porządku, a potem zmartwionym głosem wyznał, że po wakacjach to nie wiadomo, jak będzie, bo może córka będzie chciała się wprowadzić, ale żebym był dobrej myśli, poza tym u mnie taka wrażliwość i talent, i pieprzył tak jeszcze kilka minut, a mnie ogarnął strach. Panicznie boję się przeprowadzek, czuję się wtedy całkiem bezbronny i zależny od innych jeszcze bardziej niż na co dzień, a najbardziej przerażają mnie te sapnięcia, gdy wnoszą instrument na kolejne piętro, zatrzymują się po drodze i klną. Przeklinają mnie, a w duchu moją ślepotę. Mój znajomy, pisarz, ma przynajmniej dach nad głową. Narzeka bardzo, on w ogóle lubi narzekać, no ale ma swój własny kąć.

Mieszkam tu półtora roku i znam już wszystkich. Pode mną pani Genia szyje modne sukienki podług wykrojów z zagranicznych żurnali, słyszę, jak stukają obcasami klientki, jak obracają się i wdzięczą podczas brania miary, i wiem nawet, jak wyglądają ich kształtne łydki. Kilka takich dziewczyn dotykałem przecież, są takie, które lgną do młodego, wrażliwego i niewidomego muzyka, ale to są tylko przygody, bo przecież żadna z tych kobiet nie zwiąże się na poważnie i na dłużej. Życie z kaleką to ciężar, istny krzyż pański, wyrok do końca życia dla takiej młodej istoty, i nawet to rozumiem.

Słyszę miarowy odgłos singera w taktie na dwie czwarte, a gdy maszyna umilknie, pani Janka, sąsiadka po lewej, wyprowadzi psa. Wilczur jest stary, powłóczy łapami, zejście i wejście odbywają się w tempach wolnych, largo, w najlepszym razie lento, a tych spacerów nie ułatwia fakt, że sąsiadka w dzieciństwie przeszła chorobę Heinego-Medina, nosi ciężki ortopedyczny bucik, a kiedy idzie, brzmi to bardzo dżezowo i po prostu tak, jakby synkopowała. Opowiedziała mi o chorobie,

gdy wracała kiedyś ze spaceru, a ja wdrapywałem się, kurczowo trzymając poręczy, po jakimś graniu i dobrej gorzale. Zresztą ludzie w ogóle chętnie mi się zwierniają. Ociemniały pianista budzi zaufanie. Głos ma niezbyt przyjemny i chyba nie jest zbyt ładna. Tak przynajmniej myślę. Zupełnie inaczej niż dziewczyna, która przychodzi do mnie i zapisuje moje kompozycje. Powiedziałem jej, że znając tylko głos, potrafię ją opisać, i zdziwiła się bardzo, kiedy sporządziłem jej bezbłędny rysopis.

Pan Tosiek mieszka po prawej, niedawno kupił telewizor, odbył się z tego powodu uroczysty zjazd rodzinny, a potem kresowym barytonem opowiadał mi o swoim zakupie. Telewizor nazywa się „Lazuryt”, a ekran jest w pięknej brązowej obudowie. Mówił o uczesaniu prezenterek, zamilkł wreszcie, dostrzegając niezręczność sytuacji, roześmiałem się tylko, natrafiłem ręką na jego tłuste ramię i poklepałem. Nie szkodzi, ślepemu można opowiadać o kolorach. I telewizorach. Krytycy piszą nawet, że moja gra mieni się bogactwem barw i że przypominam w tym Billa Evansa, a to jest przecież mój idol. Sąsiad jest trochę przygłuchy, rozkręca telewizor na cały regulator i dzięki temu wiem, kto to taki Kloss, Brunner, a nawet nadradca Gebhardt z Ministerstwa Propagandy Rzeszy. Z tym Klossiem to w ogóle jakiś szal jest, na okrągło chcą, żeby grać ten temacik, zaczynający się od zwyczajnej molowej pentatoniki. Powiedzieli mi, że „Duduś” Matuszkiewicz go napisał, o, tak to idzie... Chociaż ja bym zagrał go zupełnie inaczej, po swojemu...

No ale dosyć tego. Singer już milczy, też mam na dzisiaj dosyć grania, na ulicy ktoś zagwizdał i zaraz Hela, ta spod drugiego, zbiegnie do swojego chłopaka. Z tymi gwizdnięciami fajna sprawa. Poznają po tym ludzi, wiem, kto przyszedł pod dom. Ostrzyciel noży ma gwizd wysoki, z mocno rozedrganym vibratem, ten od butelek wydaje niższy ton, bez zbędnych ozdobników. Ci z cygańskiej kapeli, przychodzą co drugą niedzielę, gwizdzą jeszcze inaczej. Hela już jest na schodach, pani Janka otworzyła drzwi, a bucik stuknął w drewniane schody.

Teraz wstanę, obrócę się o sto osiemdziesiąt stopni, zrobię sześć kroków, znajdę się w krótkim korytarzu, na trzy kroki, skręcę w lewo i będę w kuchni. Dwa kroki, obrót w lewo o dziewięćdziesiąt stopni, zasłona, która oddziela stół od kaflowego pieca, wyciągnę rękę, ominę nią stare radio Beethoven, które nie gra, ale stoi tam z zupełnie innego powodu, i trafię na szafkę. Tam po lewej stronie powinna być jeszcze jedna butelka czystej. Bez gorzały dziś na pewno nie zasnę, staram się zawsze mieć coś na podorędziu, kilka razy, gdy niespodziewanie zabrakło, poszedłem dwie kamienice dalej, do dozorczyń, ale staram się unikać takich sytuacji. Nie chcę, żeby ludzie zaczęli gadać.

Napełnię musztardówkę, robię to jednym spokojnym ruchem, wszystko jest pod kontrolą, zresztą lubię porządek, a potem duszkiem wypiję. I byle tylko nie było tego, co ostatnio. A ostatnio, w wieczory, smutne wieczory, takie jak ten, zaczęła nachodzić mnie dziwna złość. Coś mówiło mi, żebym otworzył szeroko okno, wychylił się, wziął głęboki wdech, a potem... Często myślę o tej nocy, gdy siostra znalazła mnie w stodole, i sam już nie wiem, jak byłoby lepiej. Z pewnością nie jestem w czepku urodzony, chyba tak to się mówi. Co to to nie. Ale potem pojawia się zupełnie inny podszept i zapominam o tej myśli. Jest we mnie jakaś tykająca bomba, jakiś niewybuch, który eksploduje, i trochę mnie to przeraża, a trochę fascynuje. I wtedy wyobrażam sobie, że mógłbym zabić. Nawet tu, w tym mieszkaniu, tyle że jak potem pozbyć się ciała?

Jestem precyzyjny i systematyczny, z pewnością bym sobie poradził. Może pożyczylbym kontrabas i jeśli (przypuśćmy) byłaby to filigranowa dziewczyna, jak ta od nut, wyniosłbym ją

w futerale. Ale zdecydowanie lepiej zrobić to poza domem. Jedno pchnięcie nożem załatwia sprawę, szybki ruch i po wszystkim. Ale w sumie dlaczego tylko jeden? Dlaczego nie zadźgać całego świata? Tego nieczułego skurwiela. Tę skorupę obojętną na wszystko.

Zacząłbym jednak od dziewczyny. Ofiara nawet by się nie zorientowała.

Młody, wrażliwy, niewidomy muzyk budzi przecież zaufanie.

7.

Kiedyś, nie tak dawno przecież, poniedziałek był dniem rozdzielania chałtur. Muzycy spotykali się i ustalali: ty grasz na studniówce, wy gonicie na bal metalurga, tamci obskakują pielęgniarki i są prawdziwymi szczęściarzami, a pozostali biorą knajpy. Poniedziałek to dzień szczególny, święto ludzi najciężej pracujących w podłych warunkach, i dlatego w „Minton’s” właśnie w poniedziałki genialny „Bird” mógł spotkać się z jeszcze genialniejszym Monkiem, na luzie wpadał Dizzy oraz inni i tak narodził się bebop. Teraz to się trochę pokończyło, ale nadal pewne rzeczy są jasne jak słońce. Na przykład to, że będzie granie za dobre pieniądze z okazji pierwszego maja.

W tym roku wypadło nam na Targówku, w domu kultury, co to go lata całe stawiali w błocie i między ruderami, ale w końcu wyszło całkiem udane gmaszysko, z dużą salą do tańca, gry w ping-ponga i turniejów szachowych albo do zebrań. W tym roku wszystko wracało do normy, nad naszymi głowami, na kotarze ozdobionej balonami i girlandami, widniało hasło sławiące ludzi pracy i czyn społeczny. A różnie z tym bywa. Raz przez całą studniówkę wpatrywałem się w srebrny napis: „Dziś uczniem – jutro Gagarinem”, z rakieta kosmiczną w tle. Swoją drogą, gdyby ludzie pomyśleli wcześniej o kolonizowaniu kosmosu niż o podbijaniu innych narodów, może nie byłoby tego całego syfu. A w październiku, w ubiegłym roku, gdy skończyliśmy grać, zobaczyłem na ścianie plakat: „Żądamy oczyszczenia partii z syjonistycznych brudów”. Wezwanie ozdobiono rysunkiem robotnika, który miotłą wymiata Żydów. Ja już to gdzieś kiedyś, zdaje się przed wojną, widziałem, ale teraz naszły mnie myśli innego rodzaju. Czy gdybym spostrzegł ten plakat przed robotą, zagrałbym czy nie? Zerwał plakat czy nie zerwał? Dowiedziałem się, że on wisiał tam od marca, od masówki zorganizowanej w geście poparcia dla partii w ogóle i towarzysza Wiesława w szczególności, i do tej pory nikt nie miał odwagi go zdjąć. A potem uznałem, że takie myślenie nie ma sensu, bo po pierwsze, było po ptokach i musztarda po obiedzie, a po drugie, co komu z takiego gdybania.

No więc teraz na Targówku było całkiem przyzwoicie, rozstawiliśmy sprzęt, ale trochę się niepokoiłem, jakby przeczuwając, że coś się może wydarzyć. A mogło tak być, bo mieliśmy grać z pianistą, który jest dobrym kumplem, tyle że bywa nieobliczalny.

Są różni pianiści, najgorsi są ci uduchowieni, o bogatej mimice, przeżywający każdy dźwięk i wypróżniający się artystycznie przy każdym ozdobniku, ale ten nasz jest trudnym zawodnikiem. Zdarza się mu, że gdy gra solo, całkiem odkleja się od rzeczywistości, zapomina o bożym świecie, a co gorsza, o nas, nie pamięta, jaki gramy kawałek i w jakiej tonacji. No po prostu odpada zupełnie i już kilka razy wyciął nam taki numer, ale potrzebowaliśmy go, bo organizatorzy uparli się na fortepian, a inni muzycy byli już zajęci. Czytałem gdzieś, że w psychologii ten typ odlotu nazywają autyzmem czy jakoś tak.

No a na dodatek miał grać z nami świadek. Świadek? To taki ktoś, kto chce się popisać przed znajomymi, zaszpanować jakiejś cizi, więc wychodzi z zespołem na scenę i udaje, że gra. Nasz świadek nazywał się Roman, był gościem z flotą, od razu zapłacił, ile krzyknęliśmy, nie grymasił, bo oczywiście w tle tej całej sprawy kryła się panienska. „Widzicie”, tłumaczył, „tu jest jedna taka, jej stary ma hektarów, a hektarów, a ona koniecznie chce być miastowa. No to pomyślałem sobie, że on

sprzeda tych morgów, a ja przecież nie muszę się chwalić, że se wziął mojej ciotki krowy siostrę. Zresztą, żeby nie było, nie tylko o te morgi chodzi, chciwy nie jestem, bo ona żadne pudło, a całkiem niekiepska, o, sami zobaczcie”. Pokazał nam ją. „A jakie ma amortyzatory! Lubię takie duże”. Nawijał nam tak, pomachał do niej, a dziewczyna, wyższa o dwie głowy od innych i szeroka na trzy, znacznie bardziej rozłożysta od mojego kontrabas, uśmiechnęła się do nas filuternie. Panna Niekiepska, pomyślałem.

Ludzi naschodziło się, młodych i starych, ale głównie młodych, w domu kultury zadbali o wyszynk, było piwo i zakąski, a jak kto chciał coś mocniejszego, to przyniósł ze sobą. Graliśmy pierwszy set, a byliśmy umówieni na trzy, jakieś tam presleye, swingi do przytulania, Czerwone Gitary, Karin Stanek i to całe badziewie, które gra się przy takich okazjach. Nasz saksiarz Michał sadził siarczyste sola, pianista nie odpływał, a ja lustrowałem salę. Wypatrzyłem, to prawda, kilka fajnych towarów, ale wyhaczyłem też tych sześciu pod ścianą, niezbyt skorych do tańca, ale spiętych i uważnych. Dwóch ćmiło papierosa, jeden dłubał zapalką w zębach, dwóch pociągało piwko i wpatrywało się spod oka w tancerzy, a jeden spluwał na podłogę i sprawdzał, czy but się dobrze klei. Romanowi daliśmy klarnet, udawał, że gra na nim, ale głównie gibał się jak bokser i głupawo mizdrzył do swoich hektarów. Gdy sala rozgrzała się do czerwoności, zarządziliśmy kwadransik dla ochłody, a ja przezornie sprawdziłem, że czerwona kotara zsuwana była z dwóch części, a środek wypadał tuż za moimi plecami. Wieloletnia praktyka nauczyła mnie, że warto na takich imprezach mieć plan ewakuacji, bo nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Tym razem przecucie mnie nie zawiodło. Choć drugi set zaczął się bezproblemowo, a nawet jeszcze lepiej, bo graliśmy już bez Romana. A na dodatek pianista zapytał, czy może się na chwilę odłączyć, bo nie czuje się najlepiej, więc powiedziałem mu, że tak, oczywiście, nawet, nie powiem, trochę mi ulżyło. Byliśmy w połowie seta, gdzieś po Paulu Ance i *She Loves You* Beatlesów, gdy weszło kolejnych siedmiu. Wszyscy w pikowanych kurtkach i welwetowych czapkach. Od razu wiedziałem, że nie byli stąd i że robi się syfiaście. Stanęli pod przeciwległą ścianą, naprzeciw tamtych sześciu, wyglądali trochę jak bokserzy w przeciwległych narożnikach i chciwie wpatrywali się w tańczące dziewczyny, obmacywali je spojrzeniami i rozbierali w myślach, śmiejąc się i komentując coś między sobą. Tak po prawdzie to w te dziewczyny, dla nich cudze dziewczyny, wpatrywało się sześciu, bo siódmy, karzeł, rzucał prowokacyjne spojrzenia w kierunku przeciwległej ściany. Wiedziałem, co się stanie. Kurdupel podstawi komuś nogą, ktoś go popchnie, rozlegnie się okrzyk: „Kalekę bijesz?”, i zacznie się rozróżba na całego. Była to tylko kwestia czasu.

Zgraliśmy *Satisfaction*, tylko nie tak jak Stonesi, a bardziej kocio, jak Otis Redding, rozległ się aplauz, to miał być ostatni numer przed przerwą, i wtedy to się stało. Nagle, w trakcie saksofonowego sola, kotara opadła, nasz perkusista przestał grać, poszedłem w jego ślady, jeszcze tylko tenorzysta został chwilę z tym swoim pytonem, ale i on błyskiem skapnął się, w czym rzecz.

Naszym oczom ukazał się widok zapierający dech w piersiach. Na środku sceny, na dużym stole, plecami do publiczności, falowała kobieta. Jej potężne cycki wachlowały niczym łopaty holenderskiego wiatraka, a pośladki, wielkie jak dwie wazy, w których podaje się niedzielny obiad licznej rodzinnej gromadce, unosiły się w górę i w dół. Rzut oka wystarczał, żeby ją rozpoznać. Była to Panna Niekiepska, a jękom rozkoszy, które wydawała, wtórowały odgłosy skrzypiącego stołu. Dziewczyna trzymała w ręce zerwaną kotarę i wyglądała jak wolność prowadząca lud na barykady.

I w zapamiętaniu tym tak brykała na męskich udach, tyle że nie były to uda Romana, ale naszego pianisty. Który tym razem naprawdę wyglądał na odklejonego od rzeczywistości. „Brykała” to zresztą niewłaściwe słowo. To była bonanza, jakieś dzikie rodeo, ruchy tektoniczne i wybuch Etny, orgia paranoików i sztorm o sile dziesięciu stopni w skali Beauforta. Szalone, apokaliptyczne pierdolenie w najlepszym razie, bo w żaden sposób nie można tego nazwać uprawianiem seksu ani tym bardziej sztuką miłości.

Przez chwilę wszyscy trwali w osłupieniu, tancerze zamarli w pół kroku, potem rozległ się nerwowy śmiech i ktoś krzyknął: „Chłopaki, pierdolą naszą Lolę”. To był głos spod ściany. I wtedy się zaczęło.

Ktoś rzucił kuflem, zaraz poleciał drugi. Dwie bandy zwały się ze sobą, tancerze biegali jak oszaleli pośród tumultu, wrzasków, przekleństw i paniki. Kolejni dołączali do bijatyki, fruwały krzesła, kilku poszło pod fleki, inni okładali się nogami od połamanych mebli. Miejscowi wzięli stół i niczym taranem natarli na tych w pikowanych kurtkach, a pod butami zgrzytało szkło. W ręce karła błysnął nóż. Lola uciekła w popłochu, a pianista przez chwilę stał na środku sceny. Niezdarnym ruchem próbował ściągnąć z przyrodzenia wyrób firmy Polgum, wyglądał przy tym jak wielki tragiczny aktor, jak Jaracz, Osterwa jakiś, w najgorszym razie Holoubek wygłaszający Wielką Improwizację, w końcu i on czmychnął. A ja w ostatnim momencie uchyliłem się, gdy w moją stronę poleciał kufel. To rzucił Roman. Z czerwoną, wściekłą twarzą ciskał czym popadnie, a ja zasłaniałem się futerałem. Wreszcie, nie wiem do końca jak, opuściłem pole bitwy. Mieliśmy daleko za plecami dom kultury na Targówku, kiedy gnały w tamtym kierunku suki na sygnale.

– To co, panie Kaziu, wypijemy jeszcze po jednym?

– Pan to ma jednak klawe życie. – Pan Kazio napełnił kieliszki. – Ubaw za ubawem. Ciekawe, co się z nim stało?

– Z Romanem? I z tą jego miłością?

– Aleś pan romantyczny – westchnął. – Nie, nie z nimi. Co z tym waszym pianistą? Czy zdjął gumkę z fujary?

Roześmiałem się.

– Pewnie, że zdjął. Święta, święta i po świętach.

Słońce stało w zenicie, a my kończyliśmy flaszkę.

8.

Jest noc, wdrapuję się po schodach i jestem pijany. Mam na sobie szykowną marynarkę, którą kupiłem od Karolaka, on ma takich z dziesięć, a na nogach buty od samego Śliwki, tak, tego z Marszałkowskiej, i dzisiaj zadaję szyku. Buty założyłem pierwszy raz i czuję, że mam obtarte nogi. Nachodzi mnie nawet pokusa, żeby teraz zdjąć buty, a może nawet przysnąć na chwilę tu, na półpiętrze, ale czy ktoś widział bosego basistę? Dźwigam moją skorupę na plecach, zaraz wgramolę się na górę i padnę na łóżko. Ale najpierw zdejmę te buty i marynarkę, żeby się nie pogniotła. Kontrabasista powinien trzymać fason.

Umówiłem się dziś z dziewczyną, tą z tych miłych i ładnych, miała wpaść na jam session, ale nie przyszła i może dlatego tak popłynąłem. To miało być pierwsze poważne spotkanie, odkąd zostałem sam, coś jak koniec żałoby, jak zmierzch epoki, no ale nie zjawiała się i widocznie musiało tak być. Odbiłem z tej okazji miejskie tournée, tak, cały czas z tą skorupą, ale jestem przyzwyczajony. Dwadzieścia kilo na plecach wykończyłoby niejednego osiłka, ale nie mnie. Trening czyni mistrza. W piwnicy u Warszawskiej patrzyli na mnie krzywo, tam zawsze jest sztywno, chyba mnie nawet stamtąd wyrzucili, gdzieś musiałem być jeszcze, ale gdzie, nie pamiętam, z pewnością nie była to „Kameralna”, wywołałem tam kiedyś awanturę i nie jestem mile widziany, ocknąłem się przy „Białym Domu”, może dotarłem tam tajnym podziemnym przejściem, o którym wszyscy mówią, ale nikt go nie widział, wysikałem się w „Blaszance”, szalecie tylko dla mężczyzn na tyłach kościoła świętego Aleksandra, wysłuchawszy w tym czasie, czym różni się Gomułka od Napoleona, Napoleon od Ghandiego i co na to powiedziałyby Sartre. Zaczepił mnie jakiś aktor, gęba znajoma, właśnie wyszedł ze SPATiF-u, ale miał ciąg na bramkę, chciał się napić ze mną wódki, a ja miałem już dość. Opowiadam wam o tym teraz, bo jutro niczego już nie będę pamiętał.

Zresztą nie lubię mówić o sobie, wolę o kontrabasie. Uczyłem się w szkole muzycznej, na fortepianie, ale zbyt dobrze mi nie szło, nie miałem do tego smykałki, a kontrabas pewnie pierwszy raz zobaczyłem na basenach braci Kozłowskich, tam też pierwszy raz pocałowałem dziewczynę, ona od dawna nie żyje, więc tam na tarasie przygrywała orkiestra i to musiało być jakoś wtedy. W kinie obejrzałem *Śpiewaka jazzbandu*, długo zresztą uważałem, że Al Jolson to Murzyn, a nie wypastowany na czarno biały aktor, i wtedy zrozumiałem, że Chopin nie jest moim przeznaczeniem, a ja nigdy nie będę Arturem Rubinsteinem. A potem, gdy z bliska wpatrywałem się w lśniące drewno instrumentu, podszedł muzyk, on grał w orkiestrze u Karasińskiego, i zapytał, czy chcę spróbować.

Mój pierwszy kontrabas spłonął podczas powstania. Od pięciu lat gram na enerdowskiej musimie i bardzo ją sobie chwalebę. Porządny instrument, solidna robota, tak jak lubię. Podstrunnica zrobiona jest z hebanu, przód świerkowy, tył jaworowy, boki ze sklejki jaworowej. Największy kłopot jest z nóżką, bo wyrabiają się klucze, ale ktoś sprzedał mi dobry patent, tokarz wytoczył nóżkę jak ta lala i mosiężny klucz teraz trzyma jak trzeba. Kolec wbija się w podłogę i czasami jest kłopot, gdy gra się w pięknej sali z błyszczącym parkietem, podbiega jakiś roztrzęsiony kierownik i wrzeszczy, że niszczy mu drewno. Ale wiem, jak sobie radzić z takimi palantami, na tym zresztą polega pieski los kontrabasisty. Czasami nóżka się tępi i trzeba ją naostrzyć, żeby móc wbić ten totem w ziemię,

tak, jest w tym geście kontrabasisty coś dzikiego, archaicznego albo jak zdobywanie nowego lądu i dumne zatykanie flagi, zresztą co ja mówię.

Trzymam smyczek uchwytem niemieckim, o tak, teraz coraz modniejsza jest gra francuzem, w ten sposób można grać o wiele szybciej, ale mnie to nie pasuje. Prusak daje lepszy docisk strun. A poza tym nie mogę grać inaczej, dwa palce prawej ręki, mały i serdeczny, mam niesprawne i zmiążdżone, ale to inna, dłuższa historia, a ja naprawdę nie lubię mówić o sobie. O historii także nie. Tak czy inaczej smyczek mogę trzymać tylko w jeden sposób.

Taki Paul Chambers na przykład. Wielki mistrz, ale smyczek fatalny, po prostu fatalny, kompletnie nie umie nim grać. Nie umiał. Bo przecież nie żyje. Umarł w styczniu, ale mówię o nim, jakby żył. I w istocie tak jest, bo motyw, który zagrał u Davisa w *So What*, uczynił go nieśmiertelnym. Tyle wystarczy, a zasuwał, i to jak, w *Giant Steps* Trane'a i innych gigantycznych numerach. Wielu umarło. Scott LaFaro jeszcze młodziej. On pierwszy uczyłowieczył kontrabas, dał mu dar mowy. Inni, prawda, się starali, ale wychodziło zawsze tak, jakbyś mówił i miał kluski w gębie. Dla odmiany Jimmy Garrison jest zwierzęciem. Sam Jones też. To dwa bizony na prerii. Bokserzy wagi ciężkiej. Ale najbardziej odlotowy z nich wszystkich jest Henry Grimes. Ten to smyczkiem potrafi szyć charakternie.

Wiem, że nigdy nie zagram tak jak oni, nie będę nawet w procencie tak dobry, ale robię, co do mnie należy. Powiem wam, jak to jest. Gdy saksiarz gra wprost z trzewi ekstatyczne solo, kiedy pianista zaprzeda duszę diabłu, a bębniarz płynie po talerzach, wzbudzając zachwyt publiczności, kiedy wokalista czaruje, a śpiewaczka uwodzi aksamitnym głosem, ja stoję bez ruchu. Trwam. Jestem tym od czarnej roboty. Ale też wiem, że beze mnie nic się nie uda i można by zwinąć ten cały kramik. Jestem bazą i nadbudową, szkieletem i kręgosłupem, i gdy już wszyscy, grając swoje partie, rozjadą się na wszelkie strony, to ja im wskażę drogę powrotną, podam rękę, będę drogowskazem, kompasem i osią świata. Właśnie po to się gra na kontrze. I dlatego. Kontrabasista jest jak szeryf. Bo ktoś musi zadbać o porządek w tym pierdolonym wesołym miasteczku.

Rozjadą się na wszelkie strony.

Ciekawe, co u niej słyhać?

Jutro nie będę nic pamiętał.

To już właściwie dziś.

Zrzucić skorupę z pleców.

Zdjąć buty. Marynarkę.

Dobranoc.

9.

Na Bródno jeżdżę zwykle trzydziestką czwórką i tak zrobiłem tym razem. Tramwaj kolebie się na boki, zatrzymuje tuż przy cmentarzu, po jednej stronie mur i zakład kamieniarski, po drugiej ogródki działkowe, a w oddali, tam, gdzie kiedyś był folwark i gdzie wciąż pasą się krowy, stawiają bloki dla robotników z Żerania.

Dziś graliśmy we dwóch. Na wszelki wypadek nie rozglądałem się. Ze wzrokiem wbitym w ziemię smyczkiem wydobywałem z kontrabasu głębokie tony, a Dawid, który woli być nazywany Dejwem, bo kojarzy mu się to z boskim Milesem Davisem, łkał na trąbce. Nasz brat Stanisław, świeć, Panie, nad jego duszą, był dobrym, skromnym, pracowitym, a nade wszystko uczciwym człowiekiem, o czym przypomniał ksiądz w ostatnim pożegnaniu, a płacz wdowy i dwojga dzieci świadczył o głębokim przywiązaniu zmarłego do rodzinnego stadła. I vice versa. Kilku ponurych dżentelmenów, trzymających się nieco na uboczu, mogło potwierdzić, że nieboszczyk był także aktywnym członkiem klubu filatelistycznego, pełnym pasji i zawsze skorym do pomocy, zatem nie będzie żadną niestosownością, jeśli w trumnie zostanie złożony jego ulubiony klaser.

A potem zaczęła się część mniej oficjalna, w barze „Pod Trupkiem”, który widział niejedno, i ja w tym przybytku, po części drewnianym, po części murowanym, niejedno też przeżyłem. Stypa jest sytuacją subtelną, trzeba zachować wyczucie, a i doświadczenie okazuje się wielce pomocne. Najczęściej konsolacja toczy się ospale, w spowolnionym rytmie i na smutno, tak listopadowo i jesiennie, nawet jeśli jest to środek lata; wtedy wystarczy nie przeszkadzać, stworzyć muzyczne tło, dobrze jest wiedzieć coś więcej o zmarłym, na przykład to, gdzie się urodził, i zagrać coś rzewnego z jego stron. A jeśli się nic takiego nie zna, sprawdza się coś na góralską lub kresową nutę, bo to zawsze chwyta ludzi za serce.

Bywa, ale to rzadziej, że pójdzie w wesołość, podchmielony wujek albo szwagierka przypomną sobie, że „w zrujnowanym mieszkaniu na Woli na harmonii poleczkę ktoś rżnie”, podrzucą inne Grzesiuki albo Henryki Warsy, żałobnicy ruszają w tan, z początku nieśmiało, ale potem coraz bardziej ochoczo, czasami wręcz zażyczą sobie nie tylko skoczną polkę, ale coś z bigbitu lub rock and rolla, schodzą kolejne butelki i wraz z śmiechami żywych zmarły ostatecznie odchodzi w niebyt.

A dziś, żegnając Stanisława, lat pięćdziesiąt pięć, mężczyznę w sile wieku, zrobiło się dość nostalgicznie, bracia zmarłego nam polewali, a w końcu wdowa poprosiła o piosenkę:

– Znacie, panowie, *Pamiętasz, była jesień?* Stach tak bardzo to lubił. Taki był uczuciowy. – Otarła chusteczką kąciki oczu.

Zagraliśmy. Trzeba przyznać, że Kaszycki ładnie tę melodię napisał. Biesiadnicy kołysali się przy stole, jakby byli na opolskim festiwalu, ktoś wystukiwał rytm widelcem, a jeden z filatelistów nucił pod nosem. Poprosili, żebyśmy zegrali to jeszcze raz, i jeszcze, nalali nam po kielichu, a wdowa, najwyraźniej ośmielona, podeszła z kolejną prośbą:

– Nie pamiętam tytułu. – Wydawała się zakłopotana. – Ale tam jest o tym psie, co w pysku niesie gazetę.

Powiedzieliśmy, że zapewne chodzi o Czerwone Gitary, o *Historię pewnej znajomości*, zegraliśmy

kilka taktów, kobieta rozpromieniła się i potwierdziła skinieniem głowy.

– Nawet zdziwiłam się nieco, że on ostatnio tak polubił tę młodzieżową, hałaśliwą muzykę. Bo zawsze wolał coś bardziej z sentymentem. W ogóle trochę taki nieudaczny życiowy z niego był, nic nie potrafił załatwić, skombinować, dwie lewe ręce, ale kochałam go... Bo w miłość wsiąka się jak w gąbkie.

Cóż powiedzieć! Zamknąłem oczy i przytaknąłem.

– A ten klaser? – zapytałem. – Ten, który tamci wrzucili... Pusty był czy ze znaczkami?

– No co też pan! – obruszyła się. – Oczywiście, że pusty. Na te znaczki to ja już mam paru chętnych. Klasera też trochę szkoda, ale tamci się uparli.

Spełniliśmy jej prośbę, Dejm wygrywał wszelkie miłosne westchnienia, całą tę wakacyjną miłość z plażą, zachodami słońca, psem, szelestem gazety, szumem fal i krzykiem mew. Rodzinę nieboszczyka i wdowy usadzono po dwóch stronach stołu, młoda parka ze strony zmarłego odważyła się i zaczęła tańczyć, trąbka zmysłowo mruzczała i wtedy z impetem otworzyły się drzwi.

Stała w nich dwudziestokilkuletnia, tak na oko, dziewczyna, dość ładna blondynka, która nieprzytomnym wzrokiem omiotła zebranych i wykrzyzczała imię.

Przerwaliśmy grę.

– Staszeeeeeeek! – zawyła powtórnie.

Ponurzy filateliści ożywili się. Chyba ją znali. Mogła być sekretarką w filatelistycznym klubie.

– Co ja teraz zrobię! – szlochała. – Gdzie twoje obietnice? Staszeeeeeeek! – Chwyciła się za głowę.

Wyglądała jak ładny znaczek z kancerą. Była w zaawansowanej ciąży. Prawdę mówiąc, już na ostatnich nogach.

Pomyślałem, że pan Stanisław nie był jednak takim fajtłapą i życiowym nieudacznikiem, jak go malowali, a i nagła miłość do bigbitu stała się jakby bardziej oczywista.

A potem zaczęło się, powstał ogólny rozgardiasz i dałem Dejmowi znak, że trzeba się zmywać. Gdy zaczynają wyzywać od skurwego syna i wypominać inne skomplikowane koligacje rodzinne, niczego dobrego to nie wróży. Poklepałem się po kieszeni. Wypłata była na swoim miejscu.

Korzystając z zamieszania, ulotniliśmy się z baru „Pod Trupkiem”.

10.

Jak złapię tego Zorra, nogi z dupy powyrywam! – Pan Heniek stał przy wysłużonej warszawie i wrzeszczał w kierunku trzepaka, przy którym kręciło się kilku łebków. Inni, pochyleni, rznąli w pikuty na trawniku.

Obaj z Dejewem jechaliśmy tramwajem, a na 11 listopada wsiadło czterech z tranzystorem na cały regulator. Głośnik charczał angielską popową piosenką, chłopaki rzucały prowokujące spojrzenia w naszą stronę, ale mieliśmy ich gdzieś. Wysiedliśmy przy Śpiących, Dejew przesiadł się do tramwaju, który trasą W-Z pognał do Śródmieścia, a ja byłem u siebie.

Mieszkam kilka kroków od miejsca, gdzie był cyrkuł carskiej policji i gdzie Stefan Okrzeja rzucił bombę. Znam tu każdą dziurę w chodniku, a może lepiej powiedzieć: znałem, bo trochę nie było mnie tu i co nieco się zmieniło. Mój ojciec pamiętał jeszcze tramwaj konny i dorożki wożące eleganckich podróżnych na Dworzec Petersburski. A teraz w ogóle tramwaj nie jeździ Wileńską. Kilka ulic stąd mieszkał Chińczyk. Nikt nie wiedział, skąd się wziął, naprawiał zegarki i kłął akuratnie, jak każdy, kto się tu urodził. Widziałem, jak spod rzeźni na Jagiellońskiej uciekły prosiaki, kwiląc i kwicząc, wpadły na środek ulicy, a wściekli chłopci, wzbudzając powszechną wesołość, próbowali zagonić je na dziedziniec ubojni. I byłem kiedyś na stadionie Orła podziwiać naszą mistrzynię Konopacką. Stare czasy.

Tuż za rogiem, na Inżynierskiej, oglądałem w kinie westerny i byłem jednym z rewolwerowców, a naprzeciw wznosiło się potężne wielopiętrowe gmaszysko z czerwonej cegły, w którym składowano meble. Lubilem patrzeć na fotele, stoły i krzesła, czuło się zapach drewna pachnącego nowością i luksusem, zastanawiałem się wtedy, do kogo one trafiają, bo wiedziałem, że na pewno nie do nas. Rodzice odkładali każdy grosz, ich ambicją było, żeby się stąd wyprowadzić, zamieszkać po drugiej stronie Wisły, i dopięli swego. A potem, ledwo wkroczyli Niemcy, matka umarła. Lekarz powiedział, że z nerwów. Ojca zgarnęli w łapance, później rozstrzelali na ulicy, a mieszkanie spłonęło podczas powstania. Huk pękających ścian mam ciągle w uszach, a dym i pył wciąż drapie mnie w gardle i nigdy tego nie zapomnę. To jest silniejsze ode mnie. Tu, na Pradze, też był gęsty, duszący dym, tyle że to było dalej, w stronę Szwedzkiej, tam gdzie stalownia i baraki mieszkalne. Bo Wileńska miała lepsze i gorsze adresy. Pod te drugie, gdzie panował brud, smród i prawdziwa bieda, pierwszy raz zapuściłem się dopiero, gdy miałem osiem lat.

Mieszkałem w wielu miejscach, z wyboru i z przymusu, a adresów, warszawskich i niewarszawskich, nie zliczę. Czasem zimą siedziało się w kożuchu, para dobywająca się z ust niemal tężała i człowiek bał się, że gdy zaśnie, już się nigdy nie obudzi; były też takie klitki, w których niepodobna pomieścić się z kontrabasem, nie mówiąc o przyjmowaniu gości. Miało to taką zaletę, że kiedy już przychodziła dziewczyna, musiała być blisko, bardzo blisko nawet, i w ten naturalny sposób pierwsze lody były przełamywane. Zdarzyło mi się też być w takich miejscach, gdzie liczył się każdy przeżyty dzień i do których nigdy nie chciałbym wrócić. Może ta wielość spowodowała, że każde lokum jest dla mnie przede wszystkim schronieniem, moją przewagą w walce o przetrwanie i spełnieniem atawistycznych potrzeb, ale trudno mi myśleć o nim jak

o mieszkaniu, które się dopieszcza, zdobi i napełnia emocjami, oczywiście zawsze pozytywnymi. Moje życie wypełnia tymczasowość, improwizacja wygrywa z partyturą, inaczej pewnie nie umiem, i to dlatego zadymione kluby są moim domem. A cmentarze tym drugim.

Na Wileńską wróciłem cztery lata temu. W tym czasie pojawiło się wiele nowych twarzy, ale liczne starsze też znałem. A ludzie pamiętali mnie. Pan Heniek był nieco młodszy ode mnie, przed wojną jeździł rikszą, miał gadane i wrodzone przymioty umysłu sprawiły, że po wojnie wzięli go do zakładów na Woli na umysłowego. Psioczył, kiedy kazali mu skończyć wieczorówkę, podołał, a starszego chłopaka posłał do technikum samochodowego. Przynajmniej zrobi prawo jazdy, a i fach w ręce będzie. No i może zajmie się tą warszawą. Model był stary, jeden z pierwszych, żadne tam kombi, egzemplarz mocno zdezelowany i z powiększającymi się co roku wyspami rdzy, ale pan Heniek kochał swój samochód, chuchał na niego, pieścił go, polerował i nie wyobrażał sobie, że może się z nim rozstać.

– Patrz pan. – Poprawił szelki na wydatnym brzuchu. Stał w kapciach. Bo buty są dobre do wyjścia w miasto, a nie kiedy jest się u siebie.

W istocie na masce warszawy ktoś wyrył gwoździem literę „Z”.

– To nie Zorro! To Niewidzialna Ręka – krzyknął ktoś spod trzepaka, chłopcy się roześmiali, a pan Henio zacisnął pięści.

Wiosna wybuchła z pełną siłą, zrobiło się naprawdę ciepło, ptaki przekrzykiwały się w koronach drzew, i tylko właściciel warszawy stał pochmurny. Podeszła do nas Klemensowa, ta, co mieszka pode mną. Prowadziła wózek inwalidzki. Pan Rosenbaum stracił dwie nogi podczas wojny, ale jakimś cudem i on, i jego żona, ocalili życie. Patrzył przed siebie wodnistym wzrokiem i żuł coś w bezzębnych ustach. Klemensowna postawiła wózeczek obok nas, sprawdziła, czy się kolebie, i poszła zdjąć pranie ze sznurów.

Henio strzyknął śliną na chodnik, trafiając w chrząszcza. Miał przerwę między górnymi jedynekami i mógł robić taki numer. Widziałem to już wiele razy, ale zawsze było to równie fascynujące jak za pierwszym. Gdyby odbywały się zawody w takiej konkurencji, byłby mistrzem. Bez dwóch zdań.

Przywołał młodszego syna:

– Widziałeś, kto to zrobił? – Przyglądał się mu badawczo.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Jak miałem widzieć? – Popatrzył na mnie i szybko zmienił temat: – Załatwił mi pan ten autograf „Grota”?

Kompletnie o tym zapomniałem.

– Zaczekaj tu – powiedziałem.

Zostawiłem ich, żeby wyjaśnili sobie coś po męsku, wspiałem się na górę, zdjąłem skorupę z pleców i podszedłem do meblościanki, tam, gdzie trzymam nuty. Na wierzchu leżała kartka w kratkę z bohomazem. Władysław Grotyński, bramkarz Legii, wpadał do „Harendy” dość często, zawsze obwieszony dziewczynami, oględnie mówiąc, o niezbyt surowych obyczajach. Często dobrze znanymi na mieście. Ostatnio był z Lafiryndą i Złotoustą. Umiejętności tej ostatniej opiewały stosowne napisy w męskim kiblu. Wtedy poprosiłem o autograf, a na twarzy bramkarza zagościł śnieżnobiały uśmiech.

Zszedłem na dół i podałem kartkę małemu.

– Dla ciebie od „pana «Grota»” – uściśliłem.

Chłopakowi zaświeciły się oczy.

– Wklej do zeszytu z piłkarzami i uważaj, żeby ci ktoś nie podwędził. I zrób dobry uczynek. Przeprowadź jakąś staruszkę przez ulicę.

Skrzywił się, podziękował i pobiegł pochwalić się zdobyczą.

– Dobry chłopak – mruknął pan Henio. Strzyknął śliną. Strzelił szelkami.

Poczęstował mnie sportem. Paliliśmy w milczeniu.

– Coś pana dręczy, sąsiad? – zagadnąłem.

– A pan nie myślał, że warto by mieć takiego? – Wskazał głową tam, gdzie pobiegł syn. – Przychówek to przychówek, zawsze się przyda. A stara Klemensowa mówi, że z pana jeszcze chłop na schwał, ona swoje słyszy. – Puścił do mnie oko.

– Jakoś nie pomyślałem. Mam mój kontrabas i...

Machnął ręką.

– Kontrabas to nie wszystko. Myślałem sobie, że z tą ostatnią to się ustawił już pan na dobre, ustatkował... „Dzień dobry” zawsze mówiła i w ogóle miła była.

Była.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zaschło mi w ustach. Ale w sukurs przyszedł mi pan Rosenbaum. Zacisnął pięść i zaczął nią wygrażać.

– W dupę jebana szmata, dziwka, sucha bladź!

Nigdy nie było pewności, do kogo kieruje obelgi. Czasem obrywało się żonie nieboszczce, czasami starej Klemensowej, ale pan Rosenbaum miał też na pieńku z partyjnymi bonzami, przywódcami Żydowskiej Organizacji Bojowej, Czterema Śpiącymi, gangsterami i filantropami, piłkarzami Górnika Zabrze, a raz dostało się nawet panu Tadeuszowi Fijewskiemu za *Matysiaków*.

Pochyliłem się nad wózkiem.

– Kogo dziś pieścisz słowem, dziadku? – zapytałem.

Pan Rosenbaum wymamrotał coś niezrozumiale.

Pogłaskałem go po głowie, zapytałem raz jeszcze, ale myślami byłem gdzie indziej.

Zupełnie gdzie indziej.

11.

Opowiem wam o prawdziwej miłości.

Takiej, która nie jest kaprysem i nie przytrafia się codziennie. Może co kilka lat. Przynajmniej tak chciałbym o tym myśleć.

– Przecież mówię panu, że mam gdzieś ten bilet.

Był kwiecień, jechałem autobusem linii sto szesnaście i przysnąłem. Może sprawił to pomruk silnika, promienie słońca, a być może był to efekt kilku intensywnych ostatnich wieczorów, to zresztą nieważne, fakt, że zapadłem w sen, przejechałem przystanek przy Foksal i pewnie obudziłem się przy placu Komuny Paryskiej, gdyby nie ten głos:

– No gdzieś przecież musi być.

– Spokojnie, panienko, bez nerw, wysiądziemy, pani znajdzie, a jak nie, spiszymy protokół.

– Ale ja spieszę się na zajęcia. Nie mogę się spóźnić.

– Profesor na pewno panią zrozumie.

Otworzyłem oczy, uniosłem głowę i poczułem się jak Zbyszek Cybulski, gdy pierwszy raz spogląda na przecudną Teresę Tuszyńską, kiedy ta pyta go, jak dojechać w Gdańsku na Długą, a potem prosi, żeby popilnował pudła. Moja współpasażerka nie miała psa, ale typowy autobusowy kłopot. Obok niej stał wąsaty kontroler i bezczelnie uśmiechał się wybrakowanym użębieniem. Swobodny, na szeroko rozstawionych nogach, przypominał drapieżnika, który dopadł ofiarę i był pewien, że zdobycz już mu się nie wywinie. Cała nasza trójka, dziewczyna i nas dwóch, wiedzieliśmy, że żadnego biletu nie ma, że najbliższy jest w kiosku i że darmo go szukać po kieszeniach seledynowego wiosennego płaszczyka albo w płóciennej szarej torbie. Pasażerka próbowała zyskać na czasie, ale w tym starciu nie miała szans.

Autobus minął Ordynacką i gwałtownie zahamował przed skrzyżowaniem Nowego Świata ze Świętokrzyską. Ktoś zaklął, wąsacza rzuciło do przodu, a dziewczyna wylądowała na moich kolanach. Przez ułamek sekundy wpatrywała się we mnie głęboką zielenią oczu; była to chwila jak przed Wielkim Wybuchem, a zieleń zdawała się tak czysta i intensywna jak na bezludnej wyspie w tropikach. Wydatne usta podkreślone szminką, a równo przycięta grzywka sięgała do łuków brwi. Niedawno ktoś mi mówił, że dziewczyny tak się teraz strzygą i czeszą, albo tak, albo na sufrażystkę, ostatni krzyk mody, i nazywa się tę fryzurę „Zelda”. Pewno mało która dziewczyna znała nieszczęsny los żony Scotta Fitzgeralda, pełen dżezu i piekła, a już z pewnością nie chciałaby skończyć jak ona, bo kto chce zginąć podczas pożaru w szpitalu psychiatrycznym, gdy czeka na kolejną dawkę elektrowstrząsów. Ale o tym wszystkim pomyślałem później, z pewnością nie w tamtej chwili, gdy szczupłe dziewczęce ciało opadło mi na kolana. Bo wówczas zajęty byłem zupełnie czymś innym. Wsunąłem w jej dłoń mój bilet. I wtedy zazielenił się wokół cały świat. Uśmiechnęła się do mnie, przeprosiła i wstała.

– Proszę. – Wręczyła kontrolerowi bilet z poczuciem tryumfu. – Mówiłam przecież, że mam.

Wąsacz obejrzał go na wszystkie strony i nagle załapał, co się stało. Spojrzał na mnie znacząco.

Wysiadła przy uniwersytecie, ale zdążyłem jeszcze zapytać, co studiuje.

– Romanistykę – krzyknęła już z chodnika. Drzwi autobusu się zamknęły.
– Pański bilecik – warknął wąsaty kanar.
– No i widzi pan, poszła sobie – powiedziałem. – Pan się nie obraża. – Popatrzyłem na niego. –
Obrażają się tylko kurwy i lokaje.

Kilka dni później umówiłem się z kumplem pod bramą uniwerku. Spóźniał się, więc postanowiłem zajrzeć do „Karalucha”, studenckiego baru, bo czasem lubił tam coś przekąsić, ale tym razem go nie było. Chciałem już wyjść, gdy stanęła w drzwiach. Miała na sobie żółtą spódnicę, kamizelkę w czarne geometryczne wzory, na szyi wisiory i ogólnie dużo metaloplastyki, a na nogach niebieskie buty z noskami, jakby przeniesione do współczesności z lat trzydziestych. W ręce trzymała płytę. Piosenkarkę poznałem w jednej chwili. Dziewczyna spojrzała na mnie, opuściła głowę i nagle skojarzyła coś sobie. Popatrzyła jeszcze raz, rozpromieniona.

– Czy dziś też będzie pani potrzebny bilet?

Uśmiechnęła się zniewalająco. Poczułem się onieśmielony jak uczeń.

– Dziś nie. Idę na prywatkę z koleżanką. Umówiliśmy się tutaj, ale coś jej nie widzę. W ogóle to bardzo dziękuję za ten bilet. To było... – Szukała odpowiedniego słowa. – To było całkiem rycerskie.

Chciałem odpowiedzieć, że już tak mam, że ratuję świat, a szczególnie upodobałem sobie młode i piękne kobiety, wybawiam je przed smokami, ale coś się we mnie zacięło. Staliśmy w przejściu, ktoś potrącił mnie, ale poza nią świat dla mnie nie istniał. Musiałem wyglądać jak krety, nie wiedziałem, co powiedzieć i począc ze sobą, ale wybawiła mnie z kłopotu:

– A mógłby pan coś zamówić dla mnie? Jakoś wcisnąć się tam?

Popatrzyłem na tabliczkę, która kołysała się nad kasjerką w znoszonym fartuchu. „Chcesz szybko zjeść posiłek – nie wpuszczaj innych do kolejki”. Podjąłem szybką decyzję i ruszyłem do przodu.

– Niech pan zaczeka! – Złapała mnie za ramię.

– Znam tego, który stoi z przodu – skłamałem gładko. – Tylko co pani sobie życzy?

Roześmiała się.

– Żartowałam. Chciałam zobaczyć, jak tym razem się pan spisze.

Wskazała na okładkę płyty.

– A ją też pan zna?

Cicho zanuciłem.

*Kto mi odda moje zapatrzenie
i mój cień, co za tobą odszedł?*

Dokończyła zwrotkę.

*Ach, te dni jak zwierzęta mruczac,
jak rośliny – są coraz młodsze.*

– Nie chodzi o płytę – uściśliła. – Pytałam się, czy ją pan też zna. – Wskazała Ewę Demarczyk na okładce.

Odpowiedziałem, że tak. Tak się składa, że ją znam. Tym razem nie kłamałem. Jeden jedyny raz

Ewa zaśpiewała w filmie, utwór został zaaranżowany na solidną orkiestrę, żeby wielu muzyków mogło zarobić, było potrzeba kilku kontrabasów, więc i ja się wtedy załapałem.

– Pan, zdaje się, zna wszystkich – stwierdziła z przekąsem.

– Coś w tym jest.

– No to klawo.

Zdziwiłem się.

– Myślałem, że to słowo wyszło już z obiegu.

Zaśmiała się.

– Może i wychodzi z użycia. Ale chciałam, żeby pan zrozumiał.

Wtedy weszła ta koleżanka, ale zdążyłem Julię, tak miała na imię, „romantycznie dosyć”, jak zaznaczyła z przekąsem, zaprosić do „Hybryd”. A gdy parę dni potem zobaczyła mnie z kontrabasem oraz przekonała się, z kim gram, otworzyła szeroko oczy. Bałem się tylko, że wyjdzie w połowie jamu, ja zaś zmuszony będę rzucić robotę i pognam za nią w miasto, po raz pierwszy w życiu dezerterując ze sceny. Została jednak do końca. A potem pojechaliśmy do mnie.

Zrzuciłem skorupę z pleców, a ona rozglądała się po wnętrzu. Zacieki na ścianach, które zawsze wychodziły spod farby, zakryłem plakatami. Po jednej stronie *Jazz 60* Szayby z wkomponowanym zdjęciem z jakiejś imprezy w „Hybrydach” oraz grafika jeszcze z Sopotu, która ocalała moje przenosiny z Wybrzeża, a potem warszawskie przeprowadzki, po drugiej dzieło Bronka Modrzejewskiego utrzymane w żywych kolorach. Podeszła do meblościanki, wytworu Rajmunda Hałasa i Bydgoskiej Fabryki Mebli, nutami nie była zainteresowana, ale z zaciekawieniem przeglądała książki, kartkowała Conrada, wzięła *Utwory zebrane* Baczyńskiego i znacząco uniosła w moją stronę. Rozlałem do kieliszków słodkie bułgarskie wino, bo tylko takie się ostało, a ona przyglądała się zestawowi Viola, składającemu się z radia Bolero i adaptera; wyciągnęła płyty, kupione w instytucie czeskim albo węgierskim, zdobyte, wyżebrane, wymienione i przywiezione przez uczynnych kolegów. „Sam dżez, dżez, dżez”, zanuciła pod nosem i już z kieliszkiem w rękę poszła do kuchni, gdy ja tymczasem położyłem na talerz *The Shape of Jazz to Come* Ornette’a Colemana, który kiedyś stał się dla mnie odkryciem i sensacją na miarę jaskiniowych malowideł w Lascaux. Opuściłem ramię i kiedy rozbrzmiały pierwsze takty *Lonely Woman*, Julia wróciła, już bez kieliszka, ale z wuzetką na talerzyku.

– Chwali się, że masz lodówkę – szepnęła. – Ale dlaczego w środku było tylko to? – Wskazała ciastko.

Odpowiedziałem, że w ogóle mało jem, zresztą głównie na mieście, teraz też nie jestem głodny, wuzetki nie polecam, bo stoi trzeci dzień, ale jeśli ona czuje głód i chce coś zjeść, to...

Przerwała mi. Podeszła bliżej, czułem ciepło jej ciała i zapach skóry. Przyglądała mi się spod przymkniętych powiek. Bawiła się wisiosem, a metaloplastyka chrzęściła jej w palcach.

– Strasznie mało rytmu w tej muzyce – szepnęła. – Dziwnie to brzmi... Jak chcesz się przy tym kochać?

Zapytałem, jękając się przy tym, czy zna *Kind of Blue* i czy to będzie dobre, przytaknęła, że w sam raz. I ledwo zmieniłem płytę, podeszła raz jeszcze.

– Jestem bardzo głodna – szepnęła znów.

Powoli rozpięła mi koszulę.

I tak minęła nam wiosna i lato, nie wiadomo kiedy i jak, czasem byliśmy jak obok rzeczywistości, jak w letargu, bardziej ospali od Czterech Śpiących i miśków w zoo, niekiedy flanowaliśmy nieprzytomni i rozgorączkowni, z intensywnością, której nie powstydziliby się Zelda i Scott, po klubach i znajomych aż do wygaśnięcia nocy. Był środek lata, oberwała się chmura, opady były tak intensywne, że ulicami sunął wartki potok, ona stała na środku Nowotki z pantoflami w ręce, wśród unieruchomionych samochodów, i śmiała się jak dziecko. Nic poza nią się nie liczyło i nawet muzyka poszła wtedy w odstawkę; bywało, że znajomi nie poznawali mnie na ulicy, bo nigdy tak nie promieniałem, a może promieniałem, ale to było bardzo dawno temu i w zupełnie innym świecie, który się skończył, a wówczas wraz z nim coś we mnie zgasło. Tamtej wiosny i lata nie chciałem nazywać tego nowego stanu i ona też nie, żyliśmy chwilą, chłoniliśmy ją, ona chłoneła nas i byliśmy samowystarczalni. Zapytałem tylko kiedyś, co na to wszystko jej starzy, lekarka i profesor na politechnice. Powiedziała, że nie zwierza im się z tego, z kim sypia, a tak w ogóle mieszczańska moralność to straszny przeżytek. I dlatego tak lubi moją cygańskość.

Pewnego razu znalazła w szufladzie listy, te, które kiedyś zostawił w knajpie Kaczka. Urządziła mi scenę, bo myślała, że to korespondencja od kochanek i wielbicielek. Potem nauczyła się kilku listów na pamięć i recytowała mi je w najmniej odpowiednich momentach. „Chciałam zmienić nazwisko, bo miałam fatalne, no i musiałam repetować klasę, a nie chciało mi się. Właściwie żyliśmy dwa dni, bo mąż zakochał się w mojej przyjaciółce. A ja na prywatce poznałam jednego starszego pana, koło trzydziestki, zaprosił mnie na kawę, a potem było to i tamto”. Jakoś tak to szło. „A ty nie zaprosiłeś mnie na kawę”, dodawała z udanym wyrzutem.

A potem nastąpiła jesień, rozpoczął się rok akademicki i Julia nagle rzuciła się w wir polityki. Zaczęła chodzić na zebrania, odczyty i dyskusje. „Nafta płonie na Bliskim Wschodzie”. „Kształtowanie się radzieckiej polityki zagranicznej” w Auditorium Maximum. Powielanie maszynopisów dotyczących Międzynarodowego Tygodnia Solidarności z Wietnamem. Pachniała farbą i ulotkami. Oddała zetemesowską legitymację. Z zachwytem opowiadała o nowych koleżankach i kolegach, ich zaangażowaniu oraz odwadze i wtedy pierwszy raz poczułem ukłucie zazdrości. A później, ledwo *Dziady* weszły na afisz, to zaraz je zdjęli, a historia znów wrzuciła wyższy bieg lub zaciągnęła hamulec. Kwestia poglądu. Jak kto woli. Nie poszedłem z Julią pod pomnik Mickiewicza, gdy po ostatnim spektaklu w styczniu odbywał się studencki wiec. W ogóle z teatrem mam pewien kłopot, i tym klasycznym, i tym awangardowym, zbyt dużo w nich póź. Wtedy się pokłóciliśmy.

– Nie wiem, czy twój brak zaangażowania jest wynikiem cynizmu, czy aż tak głębokiej abnegacji – stwierdziła.

Odpowiedziałem, że poglądy polityczne trzymam ukryte w mojej prywatnej i niepodległej ojczyźnie.

Siódmego marca nie było mnie w Warszawie, miałem granie w uzdrowisku, a następnego dnia, po przyjeździe, dowiedziałem się, że nie wróciła z wiecu na uniwersytecie. Szukałem jej po całym mieście, padał deszcz ze śniegiem, byłem przemoczony do suchej nitki, poznawałem coraz więcej szczegółów. Trafiła tam, gdzie nigdy nie chciałbym się znów znaleźć. Po kilkunastu godzinach wypuścili ją. Miała siniak pod okiem. Powiedziała, że nigdy nie zapomni tej twarzy, czerwonej od zimna, wódy i wściekłości, tego krzyku i ręki z biało-czerwoną opaską, ręki, która wymierzyła cios.

Podczas tamtej nocy w Pałacu Mostowskich coś się z nią stało. Tak jakby całą przetrącono ją wówczas, do szpiku. Stała się milcząca, wycofana albo w ogóle nieobecna, nawet wtedy, kiedyśmy się kochali. Aż pewnego dnia przyszła i zacytowała fragment przemówienia Gomułki: „Również i dziś tym, którzy uważają Izrael za swoją ojczyznę, gotowi jesteśmy wydać emigracyjne paszporty”. Powiedziała, że rodzice podjęli decyzję o wyjeździe. Ojciec poparł strajk na polibudzie i nie miał już czego szukać na uczelni. A ona zdecydowała, że wyjeżdża z nimi. Błagałem ją, żeby została, przemyślała wszystko, dała sobie czas, ale była nieugięta.

Ciąg dalszy to już banalna w tamtych miesiącach sekwencja zdarzeń, utrata mieszkania, zrzeczenie się obywatelstwa, nerwowe postarzanie nowych rzeczy, żeby wyglądały na zużyte i kwalifikowały się do zabrania, a także wozy konne firmy przeprowadzkowej Węgiełek, którymi przewoziło się dorobek życia do urzędu celnego. Wciąż mam przed oczami wymalowany na wozie adres, Hoża 13, i pięciocyfrowy numer telefonu.

Dotarli do Danii, przeszli emigrancką kwarantannę na zacumowanym w kopenhaskim porcie statku „St. Lawrence”, który był tymczasowym hotelem dla uchodźców, później dzięki zawodowemu ustosunkowaniu ojca wyjechali do Paryża. Tyle wiedziałem. Od tamtej pory nie miałem z Julią kontaktu. Przeszła pisać. Próbowałem się czegoś dowiedzieć, ale bez skutku. Wreszcie straciłem nadzieję, że się jeszcze kiedykolwiek odezwie.

Tak to się skończyło.

Bo jestem pewien, że to koniec.

Pozostała zadra.

Tej pierwszej nocy, gdy wycieńczeni leżeliśmy obok siebie i paliliśmy papierosy, a igła gramofonu rysowała płytę, której nie mieliśmy siły wyłączyć, Julia zapytała, jak się nazywam.

– Przecież tak naprawdę nie wiem – dodała.

– Tadek.

– A na nazwisko? – dopytała.

– Janczar.

Uniosła się i wsparła głowę na dłoni.

– Jak ten aktor? Nie zalewaj.

– Serio. Janczar też nie wierzył. Musiałem pokazać mu dowód.

– Czyli jego też znasz? Naprawdę znasz wszystkich, „Zadro”?

– Jak mnie nazwałaś? – zdziwiłem się.

– „Zadra”. On miał taki pseudonim w filmie.

Wypuściłem dym i zapatrzyłem się w sufit.

– Nie – powiedziałem w końcu. – „Zadrę” grał ktoś inny.

– Dla mnie będziesz „Zadrą”.

12.

W nocy na Pradze zgasło światło, zdarzało się to dosyć często i na taką okoliczność został zakupiony zapas świeczek. Mam kumpla, puzonistę, który organizował prywatki przy świecach, bo tak, mówił, bardziej zmysłowo. Ale ci, którzy go znali, wiedzieli, że nie chodzi o żaden nastrój, ale oszczędzanie prądu. Był strasznym sknerą.

Kiedy się kochaliśmy, cienie na ścianie potęgowały się, układały w niespotykane wzory i figury, komentując naszą miłość. Paliliśmy papierosy, gdy rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, okrzyk i tupot nóg. Drgnęła.

– Nigdy nic o sobie nie mówisz.

– A o czym tu mówić? – Pogłaskałem ją po głowie. – Przecież widzisz, jaki jestem.

– Ale ty jesteś jak... – Zawahała się. – Przypominasz wydrążone w środku drzewo. Pustka...
A przecież każdy ma swoją historię.

Nie chciałem się mieszać do historii. I nie chciałem, żeby historia mieszała się do mnie. Tego się nauczyłem przez te wszystkie lata. Nie powiedziałem jednak tego głośno.

– Mogę opowiedzieć ci o moim kontrabasie – zaproponowałem cicho.

– Nie interesuje mnie twój kontrabas. Poza tym już to słyszałam.

Zgasiłem papierosa, wstałem, poszedłem do kuchni i wróciłem z dwoma kieliszkami wina.

– Po prostu nie mam nic ciekawego do opowiedzenia. Ale... Jeśli chcesz, opowiem ci o moim bracie. – Jeszcze bardziej ściszyłem głos. – Ale nigdy nikomu nie możesz tego powtórzyć. Nigdy.

Uniosła głowę i spojrzała na mnie. Jej oczy błyszczały.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Opowiedziałem.

To było w sześćdziesiątym trzecim roku. Tak, na pewno wtedy, bo kilka miesięcy później we Wrocławiu wybuchła ta straszna epidemia ospy, otoczyli miasto wojskiem i nie mogłem tam dojechać. Mieszkałem wtedy przy Siennej, w miejscu, które nie przypadkiem nazywają Dzikim Zachodem. Sąsiedztwo dworca ściągało tam męty z całego miasta, a kradzieże, rozboje i rozprawy nożowe były na porządku dziennym. Moje okno wychodziło na sławojkę i dawną stróżówkę, nigdy go nie otwierałem, żeby nie wdychać zapachu gotowanej bielizny, który pewnie do dzisiaj tam nie wywietrzył. I w tej stróżówce mieszkała matka z córką. Pracowała w sklepie w Hali Mirowskiej, młoda uczyła się w zasadniczej szkole handlowej. Ledwo w tym wynędzniałym baraczkę wiązały koniec z końcem, a gdy przyszła zima, miały naprawdę ciężko.

Węglarze byli wtedy królami życia. A czasem panami życia i śmierci. Jeden taki, w drucianych okularkach i ze szramą na gębie, zarywał do dziewczyny, dostarczał węgiel, ale ona pozostawała nieczuła na jego zaloty. Wreszcie zażądał pieniędzy, obie obiecywały, że gdy tylko nastanie wiosna, zapłacą, przyrzekały i zaklinały się na wszelkie świętości, a tamten był coraz bardziej natarcywy. Pewnego dnia, gdy matki nie było, przyszedł z kumplem. W stróżówce była tylko dziewczyna. I odebrali dług w inny sposób. Trzy dni później młoda podcięła sobie żyły.

Wszyscy wiedzieli, co zaszło, ale tam nikt nie biega na milicję i nie kapuje. A poza tym co się stało, to się nie odstanie. Tak mówili. Ci dwaj też niczego nie kryli, gwałt był tematem przechwałek i głośnych rozmów zakrapianych wódką, koledzy słuchali z szacunkiem i dopytywali się o szczegóły, a tamci ich nie szczędzili. Przy okazji jasne było, że nikt im nie podskoczy, a w przyszłości wszyscy będą płacili na czas. Ta stara, co tak teraz zawodzi w tej stróżówce, też. Sama sobie winna.

Było popołudnie, dopiero co wstałem, gdy usłyszałem pukanie. Stała zapłakana. Miała prośbę. Wiedziała, że jestem muzykiem. Zapytała, czy mógłbym zagrać na pogrzebie córki. Zdziwiłem się. Powiedziałem, że kontrabas to chyba nie bardzo pasuje. A ona, że nie stać jej na nic innego, na skrzypce albo trąbkę. I czy bym się zgodził. Po sąsiedzku. Więc zagrałem. A wieczorem przyjechał mój brat.

Był starszy ode mnie o dwa lata. Zawsze kibicowałem mu podczas spartakiad na Agrykoli, gdy wygrywał w cuglach z zawodnikami z innych szkół. Na ścianie w mieszkaniu wisały jego dyplomy. Kilka razy wybawił mnie z podwórkowych kłopotów. Skrycie go podziwiałem. Jak to starszego brata. Pewnie o tym wiedział. Po wojnie wyjechał z Warszawy. Powiedział, że nigdy nie wróci, że to już nie jego miasto, że tego miasta nie ma. Osiadł na Wybrzeżu, pracował na morzu i widywaliśmy się od wielkiego dzwonu. Przyjechał do mnie dwa, trzy razy. Opowiedziałem mu, co się stało. Słuchał w milczeniu i zagryzał wódkę kiszonymi ogórkami. A potem bez słowa wyszedł.

Wrócił następnego dnia, za pazuchą miał zawiniątko. Usiedliśmy przy stole. Powoli, celebrując tę czynność, rozwinął szmatkę pachnącą smarem. W milczeniu patrzyliśmy na tetetkę, taką samą, jaką pamiętałem z czasów wojny. Wziął pistolet do ręki i spojrzał na mnie. „To nie może tak być”. Powiedział tylko tyle. I wyszedł.

Wrócił po dwóch dniach, nocą, już zacząłem się o niego martwić i zastanawiać się, co mam zrobić. Był blady i zmęczony. Usiedliśmy, napelniałem dwie szklanki. „Chcesz wiedzieć, jak było, czy nie?”, zapytał. Powiedziałem, że chcę.

Odnalazł ich bez problemu, dwóch najbardziej hałaśliwych i pewnych siebie węglarzy. Kłopot polegał na tym, że zawsze byli w większym towarzystwie. Aż wreszcie, było już ciemno, zostali we trzech. Siedzieli przy torach, palili ognisko, pili gorzałę, w końcu ich kolega wstał, powiedział, że zajrzy jeszcze do gołębi, czy jakiś drapieznik się zakrada, i zniknął. Ognisko dogasało, ten drugi, z mocnym zarostem na twarzy, charczał i spluwał, mój brat obserwował ich, nasłuchiwał, czy nikt nie nadchodzi.

– No to jak było z tą dziewczyną? – zapytał. – Który zrobił to pierwszy?

Zarośnięty roześmiał się.

– Świeżutka cipka była z niej. Tylko po co później się cięła? Trzeba było? – Zamilkł nagle. – Zaraz... coś ty za jeden?

Podniósł się.

Ten w okularach także wstał. Stali kilka kroków od mojego brata.

– Znasz go? – zwrócił się do kumpla.

Tamten wzruszył ramionami.

W ręce zarośniętego błysnęła brzytwa, a ostrze trafiło w powietrze.

Brat odskoczył. Zawsze tłumaczył mi, żeby nie stawać za blisko przy nieznanym.

Węglarz roześmiał się tylko, fachowo przełożył brzytwę między palcami i uniósł rękę. Zrobił krok

w przód. I wtedy padł strzał.

Okularnik w pierwszej chwili nie rozumiał, co zaszło. Gdy dotarło do niego, co się stało, wrzasnął i nerwowo zaczął strzepywać z twarzy fragmenty odstrzelonej głowy.

– Popatrz – powiedział brat. – Narzekają na tetetkę i mają rację. Celowałem w ciebie, a to tamtemu odstrzeliłem łeb.

Węglarz odwrócił się i zaczął uciekać. Upadł, gdy kula trafiła go w nogę.

Brat podszedł do niego. Obok leżały okulary w drucianej oprawce.

– Widziałem, że pijecie. Ale nie wiem, czy jadłeś coś dzisiaj.

– Co? – Tamten nie rozumiał.

– Czy jadłeś coś?

– Jadłem – jęknął.

– Niedobrze. – Mój brat pokręcił głową. – Będziesz bardziej cierpiać.

Strzelił mu w brzuch.

Położył oba ciała na torach, ale nie przejechał po nich pociąg. Mówili później, że ci dwaj zginęli w wyniku porachunków gangów węglowych. Mój brat wyjechał następnego dnia. Więcej go nie widziałem.

Usiadła na łóżku.

– Dlaczego opowiadasz mi taką straszną historię? Zmyśliłeś ją, żeby mnie przestraszyć? Prawda? Milczałem.

– Co się z nim stało? Z twoim bratem? – zapytała po dłuższej chwili.

– Zginął na morzu. Następnego roku. Ciała nie odnaleziono.

Świeczki wypaliły się, ale nie poszedłem po nowe. Leżeliśmy w milczeniu. Ktoś zaklął na podwórku. Jej naprężone ciało rozluźniło się wreszcie.

– A w tobie to najbardziej lubię nogi.

– Nogi?

– Masz mocne uda.

– Kontrabasista musi mieć. Taka robota.

Przytuliła się i objęła mnie.

– No to pokaż, do czego jeszcze służą. Albo nie... Tym razem zrobimy tak.

Odwrociła mnie na plecy i usiadła na mnie okrakiem.

13.

Siedzieliśmy w „Zodiaku”, gdy tu szedłem, padało. Mieszał kawę, pięć obrotów w prawo, siedem w lewo, trzy w prawo, wiesz, bracie, liczby pierwsze, kosmiczna numerologia, wszędzie widzę cyfry, numerologia poszerza świadomość, kontemplacja nieskończoności wpływa na jaźń, radzę ci tak samo, a prawda, ty bez cukru pijesz, zapomniałem, no tak, aha.

Za jego plecami, przy oknie, siedziała całkiem atrakcyjna dziewczyna, mogła mieć góra dwadzieścia lat, z nogą założoną na nogę wyglądała jeszcze lepiej, bawiła się wazonikiem z plastikowymi kwiatkami, zniecierpliwiona zerkała w stronę drzwi i sprawdzała godzinę na zegarku. Nie przyjdzie. Obstawiałem, że nie przyjdzie. Nic mi do tego, nie miałem wobec niej żadnych zamiarów, ale byłem gotów się założyć.

Natomiast Haiku przyszedł. W kwiecistej koszuli, apaszce i nowych okularach. Przez wiele lat plastikowe oprawki sklejał skoczem, mówił, że nie stać go na nowe, chcieliśmy nawet zrobić zrzutę, ale uparł się, że nie chce, bo artysta ubogi to artysta lepszy. Najwyraźniej odkąd na dobre wrócił do akademii, zaczęło mu się powodzić, a bieda przestała uszlachetniać. Wyjaśnił mi, że strupy na czole, które wzbudziły pewną nieufność w kelnerce, nie były wynikiem bójk, ale efektem zamierzonym i powstały w wyniku akcji artystycznej, gdy zaczął dźgać się w głowę widelcem. Haiku był od niedawna performerem, słowo to wzbudzało, zdaje się, dreszcz emocji wśród siks z Krakowskiego Przedmieścia i narwanych chłopców z artystowskimi zapędami, porzucił malarstwo na dobre, bo wiesz, bracie, tradycyjne formy ekspresji nie mają już racji bytu, tak jak kiedyś rozstał się z dżezem. A właściwie dżez rozstał się z nim.

Na próżno czekasz, dziewczyno. Cała miłość na marne, jak śpiewał pewien bluesman i poeta.

A było to tak. Graliśmy jam i Haiku, jak na samouka całkiem udany saksofonista, poszerzał wtedy świadomość w ogólnie przyjęty w naszym środowisku sposób i z każdą kolejną wypitą literatką odklejał się coraz bardziej. Cała fraza, pół, już tylko pierwszy dźwięk w takcie... Wydobywał kozie tony z instrumentu, dźwięk drżał, a my drżeliśmy o Haiku, gdy chwiał się do przodu i w tył coraz bardziej. Amplituda rosła, Haiku nagiął prawa fizyki, wyglądał przy tym jak na sprężynie, która wreszcie pękła, i wtedy niefortunny muzyk runął ze sceny. Upadł tak nieszczęśliwie, że przebił sobie ustnikiem saksofonu policzek, krew się lała i może tym zdarzeniem należy tłumaczyć wszelkie późniejsze eksperymenty z ciałem, Haikową miłość do sztuki ekstremalnej, transgresji, rozumiesz, bracie, i oczywiście akcjonistów wiedeńskich. Słyszałem, że kiedyś pewien stary pianista wyrzygał sztuczną szczękę na klawiaturę, w dodatku podczas *Round Midnight*, ale to chyba legenda, tak czy siak Haiku przekłuty saksofonem plasował się w wyższej lidze pechowców. Po tym numerze stracił zapał do grania, zamiast scenicznych ekscesów wybrał nauczanie studentów, a także uznał, że skoro Wiedeń ma swoich akcjonistów, to Warszawa też może ich mieć. Bardziej zaangażowani koledzy rysowali milicjantów z fallicznymi pałkami, postaci w maskach przeciwigazowych, ubeków stojących w bramach, ale performer postanowił w inny sposób komentować rzeczywistość i do tego byłem mu potrzebny.

– Jesteś mi potrzebny – powiedział.

Spojrzałem przez okno. Wiosenny deszcz przestał padać, a przechodnie, skryci pod rusztowaniami Ściany Wschodniej w budowie, znów ruszyli przed siebie. W radiu, które cicho grało w „Zodiaku”, Trubadurzy zapraszali mamę na przysięgę. Za to on nie przyjdzie, dziewczyno. Zepsuł ci dzień.

– Mam sobie odciąć jaja? – zapytałem.

Słyszałem, że któryś z tych wiedźczyków tak zrobił.

Zbył pytanie machnięciem ręki.

– Masz jeszcze ten zespół? Ten, z którym grasz free, jak mu tam...

– Kornet Olemana – wypowiedziałem nazwę z namaszczeniem. – Czasami gdzieś nas chcą, ale nie za często, bo jesteśmy zbyt radykalni. A co?

Aż mlasnął. Chwycił mnie za nadgarstek. Radykalizm, właśnie, radykalizm, był tym, czego potrzebował.

– Zrobimy tak. Ustawimy się tu, bracie, na skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami, przyniosę łóżko polowe, będę na nim spał, a wy codziennie przez tydzień, w samo południe, będziecie budzili mnie tym swoim jazgotem. Właśnie ta wasza ekstremalność jest mi potrzebna. Niezłe, co?

Podrapałem się w głowę. Z głośnika dobiegał czyjś baryton. Nieznośnie rozciągnięty jak guma do żucia śpiewał żołnierską pieśń. Dziewczyna wstała. Poprawiła spódniczkę i gniewnym ruchem sięgnęła po torebkę. Z obrzydzeniem spojrzała na pokrytą strupami głowę performerera. Obrzuciła mnie kwaśnym uśmiechem. Trzasnęła drzwiami. I tyle ją widziałem.

– Czy ja wiem? A czemu to ma służyć?

Westchnął.

– Środek miasta. Ludzie pędzą przed siebie. Zgiełk. Atomizacja, skorupy egoizmu, banalne tu i teraz, pogoń za eksportową szynką i telewizorem – wyliczał. – A tu nagle... – Podniósł łyżeczkę z fusami. – A tu przebudzenie. Narodziny człowieka. Taka metafora. Mam nawet tytuł. *Emanacje codzienności*.

Obliznął spierzchnięte wargi. Najwyraźniej był bardzo dumny z tego pomysłu. Poza tym zawsze lubił trudne słowa. Emanacja, epifania, emancypacja, ejakulacja. I takie tam.

Powiedziałem, że pogadam z kolegami. Może zagramy, może nie. Ale na pewno nie przez tydzień. Nikt nie ma tyle czasu. Myślał, że propozycję przyjmę z entuzjazmem, i był rozczarowany moją rezerwą.

– Emanacje – powiedziałem. – Same emanacje. Będzie lepiej brzmiało.

– A czy ja ci mówię, że Kornet Olemana to nie najlepsza nazwa dla zespołu? – odgryzł się. – Nikt tego nie rozumie.

Co racja to racja. Zmieniliśmy temat. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę o wspólnych znajomych, ot tak, po prostu dla zabicia czasu. Opowiadał o uczelnianych czystkach i marcowych docentach, którzy panoszą się po drugiej stronie Krakowskiego, na uniwersytecie. Szczęśliwie akademia przechodziła przez falę represji suchą nogą. Względnie suchą. Mógłby tak nawijać kolejne dwie godziny, najpewniej nie miał pomysłu na resztę dnia, po prawdzie sam też nie miałem. Podszedł chłopak w dżinsowej kurtce i poprosił o ogień. Siedział obok nas i czytał „Sportowca”. Ktoś dla zgrywu zapukał w szybę i rozpląszczył twarz na szkle. Uznałem, że pora zmienić lokalizację.

– A co potem? – zapytałem, gdy się zegnaliśmy. – Gdy już obetniesz sobie jaja? – drążyłem temat.

– Jak to co potem? – Nie zrozumiał.

– Jak żyć? Jakie pozostają... emanacje?

Spojrzał mi w oczy.

– Wtedy żywisz się światłem. I stajesz się legendą.

Poszedłem do „Hybryd”. Na rogu Marszałkowskiej i Hożej tajniak w szarym płaszczu i berecie spisywał kierowcę fiata. Nic się nie zmienia. Oni zawsze wyglądają tak samo. Ten, kto ich ubiera, zyska życie wieczne, a wiara w Pana Boga nie ma tu nic do rzeczy.

Na szczęście nie tylko oni trwają na posterunku. Na placu Zbawiciela na perskim dywaniku tkwił Quasimodo. W kieszeni zadzwoniły mi drobne.

– Słuchaj, Dziadku, tak myślę... Czy Ornet Kolemana to dobra nazwa dla zespołu muzycznego?

– Niedobra. – Kwazi pokręcił głową. – Beznadziejna. Nikt jej nie rozumie. Nawet ja. – Uderzył kciukiem w pierś. – Nikt was nie zaprosi do tego elektrycznego gadającego pudła, które chcą mieć teraz wszyscy.

– No to jaka nazwa dobra? Małe Co Nieco? Co To To Nie To? Tak się trzeba nazywać? A może... może Zgniłość?

Spojrzał spode łba.

– Nie ma takiego słowa. – Zakasłał. – Chociaż... – Zapatrzył się przed siebie. – Nie – zaskrzeczał. – Taka nazwa nie przejdzie. Nihilistyczna jakaś.

Sypnąłem moniakami i Kwazi ożywił się.

– Ale wiesz co? Kiedyś to będą różne nazwy. Allegro, Biedronka, Pudelek...

– Biedronka to już teraz pewnie jest.

– Nie ma – upierał się. – Chyba że to dziecięca wersja Alibabek. A Zgniłość... Wpierw umrze wielki starzec w białej szacie. Potem zginie wielu znanych ludzi. I dopiero przyjdzie czas na Zgniłość. Ale wtedy już obaj nie będziemy żyli. Nikt nie będzie o nas pamiętał.

– No to może jednak złamiesz zasady i pomożesz mi obstawić coś na Służewcu?

Chciałem się podroczyć, ale on nagle wybałuszył zdrowe oko i wyprostował się na dywaniku. Wyciągnął drżącą rękę przed siebie.

– Ona... Ona – charczał. – Ona niebawem też zginie.

Odwrociłem się. Po drugiej stronie placu majaczył inwalida o kulach. Obok kroczyła zakonnica.

– O kim mówisz, Dziadku? – zapytałem zdziwiony. – O tamtej zakonnicy?

– Ona... ona. – Wymachiwał palcem coraz energiczniej. Twarz poczerwieniała mu z emocji.

I w takim stanie go zostawiłem.

14.

Pisanie nie idzie, bo jak ma iść, gruźlik za ścianą, która właściwie jest atrapą ściany, charka, jego kaszel rozsadza mi głowę i cały pulsuję, sam mam katar, a twarz, właściwie jej parodia, gęstnieje, tak, gęstniejąca twarz to dobre określenie, muszę zapisać, bo zapomnę, więc mój gniew narasta, mnożę w sobie wściekłość, kumuluję i teraz czuję bardzo wyraźnie, że jest jeden sposób, by się rozładować, zdecydowanie, tak, to dziś, więc idę do kuchni, biorę nóż, sprawdzam, ostry, zawijam w gazetę jak rybę albo drugie śniadanie, wkładam płaszcz, wprowadzie ciepło, ale czuję, moje kości czują, że popada, wprowadzie mam płaszcz za duży, ciemniejszy od spodni, trochę rzuca się w oczy, ale to wszystko nieważne, o, kaszle znów, bo to będzie mój dzień, zdecydowanie mój, a dla niej ostatni.

Wybiorę ją losowo, przypadek nas przecież prowadzi i jest bożkiem, nie może być inaczej, modne to stało się jak cholera, ten cały aleatoryzm, rozsadzanie struktur, rozbijanie dyktatury porządku, więc ja też będę aleatorystą, tyle że to będzie gra prawdziwa, jeśli taka może być, gra o śmierć i życie, ale głównie śmierć, więc panie i panowie, wołam jak Wielki Konferansjer, zaczynamy, a przed państwem... Może nada się ta, co wychodzi z mydlarni, ale nie, za gruba, zdecydowanie nie, zanim ostrze się zagłębi, ta krzyknie, więc nie, o, tam ze sklepu wychodzą dwie, mówią o rybie w galarecie, a ja galarety nie znoszę, brzydzę się, na samą myśl dostaję prawie drgawek, Konwicki pewnie lubi, z góry na wszystko patrzy dźwig, „Famabud”, nie znam takiego słowa, nic mi nie mówi, przypadek, tabliczka, że firma ze Szczecina, i on z wysokości widzi wszystko, zna moje zamiary, choć i ja nie jestem gorszy, bo niby tylko wymijam ludzi, ocieram się o nich, ustępuję, ale jestem jak strumień świadomości całej ulicy, pieszych i pasażerów, znam wszystkie myśli tej i tamtego, ichnie zamiary, wiem, która złoży donos w pracy na koleżankę, która idzie do kochanka, a która będzie gotować obiad, galareta, tfu, co za obrzydlistwo.

I czuję się, jakbym był bohaterem *Człowieka tłumu* Edgara Allana Poeego, tylko że to nie Londyn, nie siedzę w kawiarni w hotelu D., nie ma mgły ani wilgoci, choć teraz zaczyna padać, ludzie zakładają kurtki na głowę, chowają się do bram, niektórzy otwierają parasole, warszawski pył opada i teraz, teraz widzę ją wyraźnie, cóż za zbieg okoliczności, gdy otwierają się czasy parasoli i przesłaniają świat, wiem, że to będzie ona, taka szczupła, a długie nogi przyspieszają, wykonują slalom między rusztowaniami, potrącają staruchę, otrzepuje krople z długich włosów i wchodzi, a ja nigdy nie byłem w „Zodiaku”, teraz mnie kusi, żeby wejść, ale nie mam pieniędzy, więc czym miałbym zapłacić, chyba że nożem, który wbiłbym prosto w serce barmanki, potem bym wybiegł, skorzystał z zamieszania, bo kiedy pada, zawsze jest zamieszanie, ale nie, zbyt duże ryzyko, poza tym mam katar i nie biegam szybko, nawet gdy byłem mały, przegrywałem w biegach, więc staję jak inni, grzecznie, pod rusztowaniem na tyłach Ściany Wschodniej, co to postawili ją na wprost pałacu, i chwilę potem, co za radość, dobrze, że tu zostałem, bo idzie ten muzyk, kontrabasista, człapie, jakby deszcz mu nie przeszkadzał, akurat musi tędy leżeć, nie znam się, ale jak dla mnie grać nie umie, raz słyszałem to całe free, gdybym ja tak pisał bez ładu i składu, nic z tego by nie było, no ale on teraz wchodzi do baru i ogarnia mnie przerażenie, że właśnie z nią się umówił, bo muzycy, nawet

ci źli, mają u takich wzięcie, a pisarz z połową twarzy tylko wywołuje litość i trwogę, czasem wzbudza śmiech i zawodowe zainteresowanie polonistek, ale jednak nie, ona siedzi sama, patrzy na zegarek, przyszła na randkę czy co, a on dosiada się do takiego, co go skądś znam, a już wiem, kiedyś do Wiena przyszedł, a w ogóle zabawna historia z tym Wieniem, zresztą zależy, co kogo śmieszy, no.

Byłem u niego, rozmawialiśmy, jak to zwykle, o wszystkim i niczym, mówił, że Beethoven, że posiadał wszelkie tajemnice, ja, że coraz bardziej dochodzę do wniosku, że nouveau roman jest wtórna, on, że spisuje nagrania koncertowe, właściwie dziewczyna mu przepisuje, ja, że nie przepadam za Grochowiakiem, ten cały turpizm jałowy i ekscytacja nim też, i wreszcie mówię mu, że też mam swoją tajemnicę, że coraz częściej myślę o tym, jakby to było wyjść w miasto, wziąć nóż i ot tak, na kogo ona tam czeka, Wienio milczał, ale nie musiał nic mówić, bo w jednej chwili pojąłem, że myślał o tym samym, wyczułem porozumienie i komunię dusz, wyjdzie stamtąd czy nie, i on, cały czas milcząc, zawiązał ze mną przymierze, i że całkiem zabawne by było, gdybyśmy połączyli siły, ślepiec z człowiekiem bez twarzy, i czaili się może właśnie gdzieś tu, gdzie budują trzy wieżowce, tamten jeszcze kończą, każdy po dwadzieścia cztery piętra, i zamieszka w nich wiele kobiet, a my byśmy wybierali jedną w tygodniu, szast-prast, życia by nie starczyło, a i tak nikt by nas nie podejrzewał, ślepeca i potwora, muzyka i pisarza, przestało padać, jest, wyszła wreszcie.

Zaczyna się to wszystko dopiero teraz, bo chodzi po sklepach, idę za nią w pewnej odległości, chociaż wolałbym nie, twarze przede mną rozmyte, ale moja z pewnością zapada w pamięć, trzymam rękę w kieszeni płaszczka, ale nic z tego, nie teraz, teraz jest punkt repasacji pończoch, a obok podnoszenie oczek, nie znam się, ale to przecież jedno i to samo, wyjmuję coś z torebki, bierze kwit, boję się, że zgubię ją w tym mrowiu, stracę z oczu, punkt z pocztówkami dźwiękowymi, a teraz komis, szeroka lada, zapalone lampy na stole, uśmiechnięty i zgięty w pół subiekt, subiekt, dobre, zapomniane słowo, też muszę zapamiętać, żeby wziąć do *Śmierciorysów*, ogląda jakąś bluzeczkę, pewnie amerykańska albo z Paryża, uśmiecha się, marszczy brwi, subiekt odkłada na półkę, a teraz już półka całkiem inna, smród niezbyt świeżego mięsa, nie może, widzę, się zdecydować, kurczęta paczkowane eksportowe czy te pierwszej klasy, wybiera tańsze o trzy złote i nareszcie wychodzimy.

Wychodzimy na otwartą przestrzeń, za plecami plakat, nawołują do głosowania na Front Jedności Narodu, ale po moim trupie, właściwie po jej trupie, a nad plakatem inny, uniesiona ręka z młotkiem, i też mógłbym mieć młotek, uderzać nim w czaszkę tak, jak rozbija się mięso na kotlety, ten Grochowiak tak by mógł, ale nóż lepszy, a po lewej antykwariusz, ten, co zawsze, kupiłem tam *Proces* Kafki, mój księgozbiór parcieje w wilgotnych ścianach, w książkach grzyb, ja to grzyb, cała Warszawa jest jednym wielkim grzybem, minęliśmy fontanny, rozbrykaną hałastrę, przyspieszyła kroku, nogi teraz jeszcze jakby dłuższe, ja też przyspieszyłem, szybciej oddycham, obejrzała się nerwowo i zmartwiałem, a potem to najgorsze, zatrzymała się i obróciła w moją stronę, patrzyła na mnie i gdy sztywno, jak automat, z ręką w kieszeni płaszczka podchodziłem, a z naprzeciwka szła grupka młokosów, wtedy ona do mnie: „Pan zboczeniec jakiś”, syczy, „proszę mnie zostawić w spokoju, bo zawołam milicję”, a ja katar, przytknąłem chusteczkę do nosa, ja tylko kiwnąłem głową, że nie, że nie, bo przecież nie mam złych zamiarów, chciało mi się biec i płakać, płakać i biec, ale powstrzymałem jedno i drugie, chociaż biegu to akurat nie musiałem, a potem, sam nie

wiem jak i kiedy, znalazłem się na placu Grzybowski.

Łapałem oddech, spłoszony i pokonany, twarz pulsowała, ale nie z gniewu, ze wstydu tym razem, ktoś wybiegł z Teatru Żydowskiego i nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, chciałem zawrócić i wtedy zobaczyłem, jak wychodzi z kościoła, i nagle wszystko stało się jasne, i pewnie tak musiało być, to z pewnością nie przypadek, ale jednak boski plan, bo to miało głębszy sens, i upokorzenie, którego doznałem chwilę wcześniej, też, więc ręka na nożu zacisnęła się mocniej, zrobiłem krok do przodu, tak, dlaczego od razu nie pomyślałem, że zakonnica, najlepiej zakonnice, to chyba była szarytka, ale pewności nie mam, więc podszedłem i niech będzie pochwalony. Na wieki wieków. Amen.

15.

Jest czwarta po południu, za chwilę wróci sąsiad, o, już słyhać, jak idzie po schodach, zje obiad, prześpi się po pracy i włączy telewizor. Dzień jak co dzień z powtarzającymi się dźwiękami, monotonnym rytmem. Ale niekiedy bywa inaczej. Zdarza się coś niespodziewanego. Jak wczoraj. Znowu coś mnie naszło. Chciałem wskoczyć do tramwaju, tak w ostatniej chwili, jak robią inni, ci, którzy widzą i mogą wymierzyć krok. Pewnie to głupie, z pewnością tak jest, ale jazda na cycku i wskakiwanie w biegu to jedno z moich chłopięcych, nigdy niespełnionych marzeń. Szykowałem się do mojego skoku w przepaść, laskę trzymałem w lewej ręce, gdy nagle ktoś złapał mnie za rękę. „Co pan robi? Życie panu niemiłe?”. Głos starszej kobiety, a po chwili męski: „Ja pomogę temu panu, siostró. Dokąd chce pan jechać?”. Wtedy usłyszałem szelest.

Tak szeleści tylko jedna rzecz na świecie. Habit zakonnicy. „Dwadzieścia siedem”, wymamrotałem. „Numer dwadzieścia siedem”. „Tu nie ma takiego tramwaju”. Odskoczyłem gwałtownie, potrącając kogoś na przystanku, wymamrotałem przeprosiny i odszedłem. „Dziwny jakiś”, usłyszałem jeszcze szept za plecami. Wróciłem do domu, wyjąłem musztardówkę i nalałem do pełna. Wypiłem do dna, ale nie pomogło. Trochę rozlałem, ręka mi latała, właściwie cały się trząsałem na myśl o tamtym dniu.

Miałem sześć lat i od kilku miesięcy byłem w sierocińcu dla ociemniałych. Ojciec prawie się już zapisał, matka ledwo wiązała koniec z końcem, może naprawdę byłoby lepiej, gdybym pewnej nocy został stratowany przez zwierzęta, ale przeżyłem, i dlatego wciąż pamiętam wilgotną, ciepłą rękę matki, a potem tę suchą, kościstą, o mocnym uścisku. „Proszę się nie martwić. U nas będzie bliżej nieba. Bóg czuwa nad takimi maleńkimi aniołkami”.

Pierwszego dnia straciłem imię. Dla siostrzyczek byłem numerem dwadzieścia siedem. Kazały mi to zapamiętać, tak się do mnie zwracały, ale ja nie umiałem, nie wiedziałem, co to dwadzieścia siedem, nie potrafiłem sobie wyobrazić tak ogromnej liczby i następnego dnia klęczałem za karę przy ścianie z rękami wzniesionymi do góry, trwało to wieczność, a w oddali słyszałem śpiew dzieci. Głosy pełne smutku zawodziły kościelną pieśń. Te posępne głosy, zapach octu dobywający się zewsząd i chłód ściany towarzyszyły mi przez kolejne lata, były mi braćmi i siostrami, wgryzły się we mnie i pozostaną już na zawsze.

Wtedy był środek lata i poszliśmy do lasu. Trzymałem za rączkę jakąś dziewczynkę, trochę się wstydzilem, bo inni koledzy szli ze sobą w parach, ale wreszcie przestałem zwracać na to uwagę. Stawialiśmy małe kroki, z początku nieśmiało, potem coraz pewniej, ptaki pięknie śpiewały, gałązki pękały pod stopami, zakonnice wydawały komendy, słońce prażyło, wreszcie zarządzono postój. Dostaliśmy po jabłku. Nie wiem, czy był to przypadek, czy wybrano je takie umyślnie, ale trafiło mi się kwaśne i twarde. Ugryzłem kawałek, skrzywiłem się, jabłko wyrzuciłem. Habit zaszeleścił i nad głową usłyszałem syk: „Co zrobiłeś? Tak szanujesz boskie dary? Zjesz je do końca”. Na kolanach szukałem nadgryzionego jabłka, dłońmi pokłutymi kolcami i lepki od ziemi, bezradnie macałem i pochłonięty tą czynnością, nie spostrzegłem, kiedy wokół mnie zrobiło się cicho.

Wszyscy sobie gdzieś poszli. Zostałem sam w lesie. Dopóki miałem siły, krzyczałem,

nawoływałem, ale na próżno. Wreszcie usiadłem przy pniu drzewa, czułem, że robi się chłodniej i jeszcze ciszej, las zapadał w sen i chyba sam przysnąłem. Obudził mnie kobiecy głos. To była córka leśniczego. Zacząłem płakać, ale powiedziała, że bym się nie bał. Zniosła mnie do sierocińca. „Musiał odejść od grupy”, odezwał się głos pełen troski. „Niosłam go, a on cały czas mamrotał «dwadzieścia siedem»”. „To w ogóle trochę dziwny chłopiec. Dziwny i krnąbrny. Mamy z nim dużo kłopotów. Ale i takich Bóg miłuje”.

A później, na dowód bożej miłości, trafiłem do piwnicy. Nie wiem, jak długo tam siedziałem. Dostałem kubek wody. Rzucono mi koc, ale i tak trząsałem się z zimna. Wreszcie otworzyły się drzwi. Usłyszałem charakterystyczny szelest, zdaje się, że uśmiechnąłem się nawet, bo przecież najgorsze minęło. Miałem wrócić do mojego łóżka i położony między numerami osiemnaście i dwadzieścia dwa, zasnąć. Kto wie, może nawet będę bohaterem, wszyscy będą pytali, jak to jest być samemu w lesie i czy się bałem, będę mówił, że nie, wcale się nie bałem, że przegoniłem dzikie zwierzęta, i w ogóle będę zgrywał zucha. Ale myliłem się. Rozległ się skowyt, który sprawił, że serce podeszło mi do gardła. A gdy ucichł, szept: „Jestem diabłem. Szatanem. Właśnie przychodzę po ciebie”. I znów szelest. Potępieńcze wycie. Nie chciałem trafić do piekła, choć właściwie wtedy się w nim znalazłem, ale wiem to teraz. Strach ma wielkie oczy. I te oczy nigdy nie są ślepe. Widzisz więcej, niżbyś chciał. Wtedy próbowałem uciec, nie znałem kierunku, wyciągnąłem ręce przed siebie, ale uderzyłem głową w ścianę. Bolało mnie jeszcze przez tydzień. Szept powtórzył się i wtedy się zmoczyłem. Wrzeszczałem, jakbym był naprawdę opętany. Paznokciami drapałem ścianę. Skórę na palcach pozdzierałem do krwi. I może ten ból pozwolił przetrwać niewidomemu chłopczykowi. Padłem wyczerpany. Nie wiem, jak znalazłem się na górze.

Szelest habitu. Nie wiem, czy jest ktoś poza mną, kto rozpozna ten dźwięk. Ale ja poznam go zawsze i wszędzie. Miliardy lat temu, gdy to się wszystko zaczęło, na początku był dźwięk. I wszystko zakończy się dźwiękiem. To, co jest pośrodku, to, co teraz, jest tylko białym szumem. Jak wtedy, gdy zmieniamy stację w radiu. A ponieważ szum ten jest nieistotny, nie przebija przezeń żadne dobro ani żadna miłość. Tylko czasami, zapewne przez przypadek, w formie kaprysu i na chwilę przytrafia się piękno. Muzyka. Miła dziewczyna. Myślę o tym często. Wtedy, gdy niebezpiecznie wychyłam się z okna. I kiedy ściskam nóż.

À propos radia. Przyszedł znajomy pisarz, połałem, od razu polepszył mi się nastrój, czule poklepałem mój odbiornik, zepsutego beethovena, powiedziałem coś, trochę w formie żartu, czego nie zrozumiał, ale czasami nawet pisarz nie wyczuje aluzji i drugiego dna. Wtedy zadał pytanie, które poruszyło we mnie jakąś strunę: „Jak by to było zabić człowieka? Na przykład pełną życia młodą kobietę. Czy nie jest przecież tak, że w świecie pozbawionym sensu liczy się tylko czysta nienawiść?”. Milczałem, wsłuchując się w ton jego głosu. Mógłbym opisać, jak wyglądała wtedy jego twarz. Pół twarzy, jak sam o niej mówi. I zrozumiałem, że nie żartuje.

Nie powiem, pytanie to powraca jak echo albo refren, a w pewnych momentach odzywa się natarczywiej. Jak wczoraj, gdy usłyszałem szelest habitu. Jak wtedy, gdy młoda, pełna życia kobieta wspina się po schodach, siada, robię jej herbatę, żartujemy, słuchamy nagrań, a ona zapisuje moje utwory. Niebawem zresztą powinna przyjść.

Przy ludziach bym tego nie powiedział, ale to dobrze, bardzo dobrze, że trafił się ten z esbecji, który jeździ za mną i nagrywa moje koncerty. Tak trudno w tym kraju wydać płytę. A ja mam

naprawdę wiele nagrań. Nie interesują mnie jego pobudki, najważniejsze, że mogę posłuchać tych taśm, i sam się dziwię, co można na nich znaleźć. W gąszczu improwizowanych dźwięków można natrafić na piękne tematy, gotowe do zapisania i rozwinięcia, jak podczas tego koncertu w „Helikonie”, nad którym teraz pracujemy.

Ten występ miałem w lipcu, rok temu, właśnie skazali na karę śmierci tego mordercę, cały Kraków tym żył. Mówili, że chłopięca twarz. Niewinna. Taka jak moja. W tym „Helikonie” miałem grać kilka lat wcześniej, ale występ nie doszedł do skutku. Pamiętam, dobijałem się dość długo, ktoś otworzył, na progu wyczułem woń alkoholu, wprowadzono mnie do środka i usłyszałem chrapanie. Ten z obsługi wyjaśnił, że na fortepianie śpi poeta. Amerykański. Poprzedniego wieczora popił fest, butelki po piwie wciąż się walają, wyjął jakieś chińskie dzwonki, recytował, mamrotał, zawodził i dzwonił, dobierał się do jakichś chłopaków, wreszcie oznajmił, że nie ma gdzie spać. Przecież nie wyrzucą go na dworzec, Amerykanina w dodatku. No więc tu go położyli, tego Allena, na instrumencie, nie on pierwszy tam zaległ i nie ostatni, śpi jak zabity, a to oznacza, że z grania nici. Wtedy nie byłem jeszcze w ogóle znany, ten poeta też, a teraz podobno sławny się stał i jest nie byle jaką figurą. To całkiem pocieszające. Może te moje kompozycje zostaną kiedyś wydane, a mnie docenią? Albo tę moją muzykę do jakiegoś filmu wykorzystają?

Na dole otworzyły się drzwi, słyszę, że to ona, idzie po schodach. Ostatnio była jakaś zamyślona, trochę nieswoja, może zdenerwowana, nie chciała tego okazać, ale czułem, że coś u niej nie tak. O nic nie pytałem. Każdy ma swoje nastroje i chce być z nimi sam. Dobrze o tym wiem.

Sąsiad włącza telewizor. Dziewczyna naciska klamkę. Drzwi mieszkania skrzypią. Przywita ją uśmiech niewinnej chłopięcej twarzy.

16.

Saksofon po raz ostatni rozpoczął temat, tym razem ciszej i przejmująco, a my dopasowaliśmy się do niego. Michał grał akompaniament tylko prawą ręką, lewa dłoń luźno zwisała, widocznie i on miał już dość, papieros ćmił się w kąciku ust, a nasz perkusista odłożył pałki i sięgnął po miotełki. Sprawdzony numer. Balladka na koniec. Na parkiecie zrobiło się od razu luźniej, pozostały desperatki szukające partnerów na resztę wieczoru, kilku erotomanów z wywieszonymi jęczorami, a także zadeklarowane pary, które już określiły sobie, jak skończy się dla nich ta noc. Przed chwilą jak zawsze szły siarczyste rockandrolle, haleye i elvisy, i parkiet kołysał się pod stopami. Tancerze wyginali się w fantazyjne esy-floresy, a chłopak w kraciastej koszuli, w okularach i z brodą przystrzyżoną w myśl najnowszej mody, poruszał się z rękami wzniesionymi do góry, poszukiwał absolutu, strzelał palcami i skutecznie zasłonił mi tego apetycznego rudzielca, podobnego do tej, która wczoraj do nas się przysiadła. Graliśmy w „Medyku”, w ogóle nie mogłem narzekać na brak roboty, tydzień pracowity, bo jeszcze dzień wcześniej trafiła się „Stodoła”, tam zagrałem w zastępstwie, ale w „Medyku” było lepiej i dziewczyny wystrzałowe, a ta ruda już w ogóle. Mówiła, że jest na ostatnim roku medycyny, cudnie się uśmiechała i zanim się spakowałem, zaproponowała naszemu trębaczowi szybki kurs anatomii. I zanim się obejrzelśmy, oboje wyszli. Oto co znaczy trafić szczęśliwy los na loterii.

Sophisticated Lady na koniec skutecznie studziła zapal tancerzy, rozgrzewała inne zmysły. Wydobywałem z kontrbasu całe nuty i smętnie patrzyłem na splecione ciała. Długa tunika na bermudach, wszystko z granatowego dżerseju, wtopiła się w prążkowany garnitur. Czarna, kwiecista bluzka oparła głowę na ramieniu okularnika w fioletowym swetrze.

„Hybrydy” pękały w szwach, było to pewną niespodzianką, ostatnio nieczęsto się tak zdarzało, ale dziś stało się, jakby czas cofnął się o dekadę, gdy szturmowano wejście, a ludzie zwisali z sufitów i okien i sala przypominała raczej małpiarnię niż studencki klub. „Zauważyłeś?”, powiedział niedawno Andrzej. „Ludzie ubierają się coraz bardziej szaro. Ubiór jest funkcją polityki. Jakby chcieli się upodobnić do tego łysego, sklerotycznego gнома”. Miał te swoje teoryjki, którymi potrafił zanudzić. Rozpoczął dłuższy wywód na temat towarzysza Wiesława, ale słuchałem tego niezbyt uważnie. Wreszcie spytał zniecierpliwiony, czy mam w ogóle jakieś polityczne poglądy. Odpowiedziałem, że sprowadzają się do F-dur albo d-moll, a poza tym nie ma racji, bo młodzi wyglądają coraz barwniej na tle poszarzałego świata. A potem oddaliłem się do baru, do mojej pełnej kolorów utopii.

Fakt, gdy otwierali „Hybrydy”, było jakoś barwniej. W ogóle było barwniej. Nie wszyscy przychodzili odstawieni jak Tyrmand, ale od takich tyrmandzików, tyrmandziontek i tyrmandopodobnych roiło się wieczorami w klubie. No ale Poldka już nie było. I wielu innych też nie było w kraju. Przecież nie tylko ona wyjechała. Za rogiem, na Inżynierskiej, mieszkał na przykład doktor Halski z młodziutką żoną, ponoć trzecią już. Zналиśmy się z widzenia. I pewnego dnia, późną jesienią, pod bramę zajechał wóz znanej firmy od przeprowadzek. Potem wyszli. On, w kapeluszu, trzymał ją pod rękę, oboje szli do taksówki sztywno, jakby powstrzymywała ich

niewidzialna siła, wsiedli i pojechali. Pewnie na dworzec. Ktoś mówił mi, że mieszkają w Szwecji, ale czy to prawda?

Dziś najbardziej ekstrawagancka była hipiska w muślinowej sukience z falbanami. Każdy bardziej gwałtowny ruch na parkiecie odsłaniał nogi, długie i zgrabne, wirowała, wyginała się przed nami i widząc ją z estrady, kilka razy wymieniłem z dziewczyną spojrzenie. Kilka ostatnich spazmów saksofonu, zaakcentowanych talerzem i arpedżem pianisty, wreszcie rachityczne brawa. Saksiarz odstawił na stojak selmera, położyłem kontrabas, zesliśmy ze sceny i dopiero wtedy poczułem, że koszula stopiła się z moimi plecami. Zapach rozgrzanych ciał zamienił salę w saunę. A przy naszym stoliku cuchnęło.

Rozsiedli się we dwóch. Wyglądali jak bracia, większy i mniejszy. Ubrani podobnie, w swetry z wycięciem i kraciaste koszule, obaj pod krawatem. Ten większy w okularach, z masywnymi oprawkami, i z wydatnymi ustami. Aż się prosiło, żeby popełnić błąd, zacisnąć pięść i uderzyć w te rybie wargi. Tyle że ten większy był kiedyś bokserem, podobno bardzo dobrym, jego prawy sierpowy był krótki, szybki i piorunujący, a facet, kiedy nie tłukł ludzi na ringu i na ulicy, pisał wiersze, podobno przejmujące, i opowiadania. Coś o Charliem Parkerze też tam było, poemat chyba. Zwykle prowadzał się z takim drugim poetą, specjalistą od noża, więc recenzenci starannie ważyli słowa, a w knajpie na wszelki wypadek schodzili im z drogi.

Ale dziś bokser miał inne towarzystwo. Andrzej Popiel był dziennikarzem, przed laty wschodzącą gwiazdą „Expressu Wieczornego”, ekspertem od spraw kryminalnych i niezłym zawadiaką, który znał Warszawę, labirynty ruin i ich tajemnice. Rywalizował wtedy z Jakubem Wisusem, też młodym, jeszcze lepszym i bardziej beczelnym, tyle że Kubuś przypłacił swoją brawurę życiem. Mówiono, że wtedy w Popielu coś pękło. Stał się ostrożniejszy, nie wychylał się, nawet przestał pić, ale to mu minęło. A kiedy zamknęli „Po prostu” i milicja armatkami wodnymi rozpedziła demonstrantów, wystąpił przeciwko wichrzycielom i chwycił partyjną legitymację. Był reporterskim żywym srebrem, które zaśnieżyło, aż wreszcie nie zostało z niego nic. Dziennikarz okrzepł nie tylko ideologicznie, spod swetra wylewał się teraz brzuch, rysy twarzy zatraciły ostrość, a oczy inteligencję. Rok temu zasłynął serią artykułów demaskujących studenckich awanturników, rewizjonistów, dajczgewandów i szlajferów oraz tych wszystkich, którzy postanowili, konstatował to gorzko i z ironią, „wybrać wolność”. I teraz obaj, poeta i dziennikarz, niczym dwa złe duchy siedzieli przy naszym stole pochyleni nad piwem i stopkami wódki. Chłopcy gdzieś się rozpiechli, a ja, milcząc, dosiadłem się.

– „Bird” – westchnął liryczny mistrz boksu. – Dobrze, że Parker był na koniec. – Wtedy – mlasnął – dżez miał jeszcze jaja. Nie cierpię tego nowoczesnego grania i tych wszystkich pseudointelektualnych pretensji. Ale teraz było nieźle, nie? – Spojrzał na kompana.

Popiel przytaknął. Poruszył dwoma podbródkami.

– No, fajowo sobie przekazywaliście pałeczkę. Lepiej niż Szewińska w Meksyku w sztafecie. – Roześmiał się gromko. – Zresztą to nie Szewińska. Szewińska wygrywa, przegrywa Kirszenstein.

Obaj zarechotali.

Wyjąłem papierosa z paczki. Wciąż milczałem. Bokser wstał i chwiejnym krokiem udał się do toalety. Zostaliśmy we dwóch.

– Ale cicho sza. Dziś nic o polityce.

– A o czym? – odezwał się wreszcie. – Chcesz pisać recenzje muzyczne? Konsultacji

potrzebujesz?

Skrzywił się.

– Z tego nie da się wyżyć. Nawet Kisiel z tego nie wyżyje.

Pochylił się do mnie. Poczułem kwaśny odór potu.

– Mówią, że w Warszawie jest poważna sprawa kryminalna. A wy, grajkowie, dużo wiecie, słyszycie, co się dzieje w mieście.

Dmuchałem mu dymem w twarz.

– Zakonnicę zaciukali przy Wszystkich Świętych... Wiesz gdzie... Na placu Grzybowskim. A wcześniej studentkę. Mówią, że te sprawy się łączą. Kiedyś zajmowałem się podobnymi warszawskimi historiami. Może zresztą pamiętasz.

Przez chwilę w jego oczach pojawił się dawny błysk. Albo tak mi się tylko zdawało.

Za plecami usłyszałem dziewczęcy śmiech. Odwróciłem się. Hipiska, ta o zjawiskowych nogach, stała z poetą bokserem. Obejmował ją potężnym ramieniem, a wielka, mięsista ręka zsuwała się po kształtnym biodrze dziewczyny. Potrafił się uwinąć. Miał nie tylko szybką pięść, ale i lepkie paluchy.

Wstałem i podszedłem. Bokser i ja byliśmy podobnego wzrostu i postury.

– To nie był „Bird”. – Uśmiechnąłem się zaczepnie. – Na końcu to nie był „Bird” – powtórzyłem. – I gównu o tym wiesz.

Nie wiem, jakby się to skończyło, być może nawet prawy prosty sprowadziłby mnie do parteru, ale poczułem klepnięcie w ramię.

Odwróciłem się i natychmiast zapomniałem o grożących mi kłopotach.

Na pewno nie była już studentką, chyba że kilka razy powtarzała rok. Uśmiechała się zalotnie, a czarne oczy wpatrywały się we mnie intensywnie spod długich, pomalowanych rzęs. I to połączenie uśmiechu oraz powagi, zmysłowości i głębi przyspieszyło bicie serca i krążenie krwi. Otworzyłem usta i trwałem oniemiały, mogło trwać to sekundę, ale równie dobrze można by mnie w tym czasie wyliczyć do dziesięciu.

– Nie jest pan jednak taki bombowy – mruknęła. – Powinnam poprosić o książkę skarg i zażaleń. A tak w ogóle: poznaje mnie pan?

Odpowiedziałem, że nie.

– Byliśmy ostatnio na pogrzebie na Powązkach. Wtedy oczywiście byłam ubrana inaczej. – Miała na sobie obcisłą, idealnie dopasowaną żółtą sukienkę, a na nogach czerwone buty na koturnach. Nie musiała mieć nic więcej. I byłem nawet pewien, że nic więcej na sobie nie ma.

Załapałem i uderzyłem się w czoło. Oczywiście. Jak mogłem nie skojarzyć.

– Dlaczego... nie spełniam pani oczekiwań??

Wspięła się na palce i poczułem ciepło miętowego oddechu.

– Bo mówią, że jeśli na pogrzebie spojrzysz na kogoś, tak intensywnie, po swojemu, to jest to najkrótsza droga na cmentarz – szepnęła. – Ten ktoś wkrótce umiera. Ma pan dar przewidywania śmierci.

Szybko zamachałem rękami.

– To jakieś brednie. Przesady. Mamy dwudziesty wiek. Jak można wierzyć...

– Pewnie, że brednie – przerwała mi. – Jestem tego żywym dowodem. Grał pan na pogrzebie mojej ciotki, ale wtedy na nikogo pan nawet nie spozrzał. Więc tam na Powązkach patrzyłam na

pana... Można powiedzieć, że rzuciłam panu wyzwanie. Pan spojrział na mnie, chyba dosyć uważnie... I nic. Nie odkręciłam gazu, tramwaj mnie nie przejechał.

– Rzykantka z pani. – Uśmiechnąłem się.

Odwzajemniła uśmiech i uznałem, że to najlepszy moment, żeby zaproponować kieliszek wina. Przy pierwszej lampce dowiedziałem się, że ma na imię Jadwiga, paskudnie, ale po babci, po trzeciej przyłgnęła do mnie. Zapach słodkich perfum, może odrobinę zbyt słodkich, stał się mocniejszy.

– Masz w domu Cortázara? – zapytała, gładząc mnie po karku.

– Kogo?

– Cortázara. Taki pisarz.

– Mam – skłamałem.

– To może pojedziemy do ciebie i poczytamy z podziałem na role?

Czytaliśmy długo, tuląc się do siebie i wcielając się w rozmaite postaci. Oznajmiła, że wstrzyma się z wpisem do księgi skarg i zażaleń. Była czwarta nad ranem, gdy nagle zaczęła się ubierać.

– Co robisz? – zdziwiłem się.

– Wychodzę.

– Teraz?

– Jak na pierwszy raz to i tak się bardzo zasiedziałam, proszę pana.

Znów ten sam uśmiech co na początku.

Próbowałem nakłonić ją, żeby została, przecież tu bywa niebezpiecznie. W ostateczności, skoro musi iść, to ją odprowadzę. Zaprotestowała. Powiedziała, że zna dobrze tę okolicę, niedaleko mieszka wuj i czasami go odwiedza, a poza tym nauczona jest, że radzi sobie sama.

Nagi odprowadziłem ją do drzwi.

– Słuchaj... właściwie to nic o tobie nie wiem. – W moim tonie pobrzmiwało bardziej usprawiedliwienie niż ciekawość.

Położyła mi palec na ustach.

– Jakoś nie było czasu – powiedziała. – Wileńska to nie Wersal. A nasza noc to nie Kongres Wiedeński. Poza tym czasami lepiej za dużo nie wiedzieć.

Odwróciła się i wyszła. Starła się schodzić cicho, ale w koturnach nie było to możliwe. Przez okno widziałem, że kieruje się w stronę Czterech Śpiących. Słyszałem, jak w oddali cichną jej kroki.

Obiecała, że wieczorem zajrzy do „Hybryd”, ale nie przyszła.

Czekałem kolejnego dnia, ale zamiast niej pojawiły się kłopoty.

Część druga. Kontra

Na dachu neon Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, zaraz obok drugi, „Ruchu”, a pod spodem hasło, wykute młotkiem i dumą, że cały naród buduje swoją stolicę. O tym, że naród ma w tej sprawie inne zdanie i że stolicę niekoniecznie traktuje jako coś bliskiego sercu, przekonałem się kilka razy, gdy grałem poza Warszawą. Ale tutaj nikomu ten napis nie przeszkadzał albo po prostu nikt nie zaprzętał sobie nim głowy w oczekiwaniu na wybrankę czy wybranka serca. Skrzyżowanie Nowego Świata z Alejami, tu, przy empiku, było ulubionym miejscem schadzek. Zaraz robi się czwarta i zaludni się amantami nerwowo drepczącymi w miejscu, poprawiającymi krawat, przeczesującymi włosy grzebieniem wyjętym z tylnej kieszeni, z kwiatami w jednej ręce i teczką w drugiej, a także kobietami przybywającymi po pracy lub – rzadziej – wyfiokowanymi i prosto od fryzjera. Cmoknięcia w rękę, nieśmiało w policzek, uśmiechy, ustalanie, czy bar kawowy, czy coś innego, po siódmej robi się mniej tłoczno, te zawiedzione i ci wystawieni do wiatru rozejdą się albo pójdą samotnie topić smutki. I tak minie kolejny dzień.

Nie miałem ze sobą kwiatów. Ani większej nadziei, że przyjdzie. Powiedziała, że wpada czasami na kawę, tu, do empiku, oprócz imienia to była jedyna rzecz, której się o niej tamtego wieczoru dowiedziałem, prawda, że zaskakująco niewiele, ale trzeba też przyznać, że spędzaliśmy czas gorączkowo i intensywnie. A poza tym dźwięczały mi w uszach jej słowa: Wileńska to nie Wersal.

Siedziałem w klubokawiarni przy stoliku obok popękanego filaru i piłem kawę. Parka starszych ode mnie rozwiązywała krzyżówki, ten pomysł, że w gazetach są dwie, jedna w jedną stronę, druga w drugą, najwyraźniej się sprawdza, czasem podpytywali się o hasła i gryźli końcówki długopisów. Obok dwóch szachistów toczyło bój na śmierć i życie, przewagę miały chyba białe, bo ten, co grał czarnymi, ruszał się nerwowo, przymykał oczy, masował skronie, gdy w tym czasie jego przeciwnik ze spokojem ćmił papierosa. Brał do ręki gońca, gdy usłyszałem nad sobą głos:

– Przepraszam, mogę się dosiąść?

Spojrzałem na nieznanego mi mężczyznę. A potem omiotłem wzrokiem wolne stoliki wokół. Niespeszony usiadł i rozpiął ortalionowy płaszcz. Kapelusz położył na wolnym krześle. Sięgnął do kieszeni marynarki. Powstrzymałem go ruchem ręki.

– Nie trzeba – powiedziałem. – Niech pan nie robi wstydu sobie i mnie.

Takich jak on poznaję na odległość. Uśmiechnął się pod rudym wąsem. Był w moim wieku, może trochę starszy. Twarz budziła zaufanie, mógłbyś pójść z nim na ryby albo pogadać na imieninach, a zmarszczki wokół oczu dodawały powagi.

– Cieszę się, że mamy to za sobą. – Rozejrzał się. – Jak pan widzi, każdego potrafimy odnaleźć.

Z kieszeni płaszcza wyjął żitany. Powiedział, że prosto z Paryża. Odmówiłem. Uśmiechnąłem się blade. Znajomy basista opowiadał, że grali ostatnio we Włoszech. Zabrał ze sobą karton sportów, żeby taniej było. A potem opylił cały włoskiemu barmanowi, który zapaliwszy, uznał, że to nieznane mu wystrzałowe narkotyki.

– A więc pan Tadeusz Janczar – wyrecytował. – Rocznik dwudziesty. Żołnierz w trzydziestym dziewiątym. A potem konspiracja. „Rys”. – Znów się uśmiechnął i strząsnął popiół. – Z takimi

pseudonimami nie mogliście wygrać tej swojej wojny. No ale „Ryś” to drapieżnik. Pasowało do pana. Żołnierz elitarnego oddziału AK. Kilka słynnych akcji. Wyroki śmierci wykonywane w imieniu państwa podziemnego. A potem, także podziemna, bandycka działalność.

Zamknąłem oczy.

Wzięłem głębszy oddech.

– Schwytyany w czterdziestym dziewiątym. Zbrodnicza działalność przeciwko socjalistycznej ojczyźnie i kontakty z zachodnim wywiadem. Czy to nie nazywa się „zdrada”?

Szachiści skończyli partię, podali sobie ręce i składali figury i pionki. A ja odzyskałem wewnętrzny spokój.

Teraz mogłem sięgnąć po mojego carmena. Ręka już mi nie drżała.

– Brawurowa ucieczka z konwoju – ciągnął. – Ponownie schwytyany w pięćdziesiątym trzecim. Następnie oczyszczony z zarzutów. – Skrzywił się przy ostatnich słowach.

– Zapomniał pan dodać, że torturowany podczas przesłuchań.

– Dlatego powinien pan docenić, że rozmawiamy w tym miejscu. – Wdusił niedopałek w popielniczkę. – Biorąc pod uwagę takie doświadczenia...

– Jest pan bardzo szlachetny.

– A nie powinienem. – Spojrzał na rozmawiających o czymś szachistów. – Ten pański kolega, Szpot, ma teraz dużo czasu na studiowanie partii szachowych. Zdaje się jakieś trzy lata.

– Jak na człowieka tkwiącego w zgniliźnie rynsztoku, człowieka o mentalności alfonsa, i tak został łagodnie potraktowany – odparłem. – Chyba że towarzysz Wiesław, mówiąc to, myślał o kimś innym.

Poczerwieniał na twarzy.

– Widzę, że dobrze pan zna przemówienia pierwszego sekretarza.

– Staram się. Antysemityzm nie, antysyjonizm tak.

Pokiwał głową.

– Ludzie się nie zmieniają. – Udawał zatroskanego. – Wróg ludu zawsze będzie wrogiem ludu.

– Rewizjonistą, syjonistą, sługusem imperializmu, encyklopedystą, wichrzycielem – wymieniałem.

– Stoi za mną amerykańska soldateska, niemiecki rewanżyzm oraz izraelscy agresorzy.

Rozluźniłem się i teraz to ja byłem w natarciu. Powiedziałem, że miło się całkiem rozmawia, że cieszę się, że mój życiorys opanował śpiewająco, że z taką pamięcią to do *Wielkiej Gry*, a redaktor Serafinowicz, nie mam telewizora, ale zdaje się, tak się nazywa, będzie zachwycony, no ale ja tu siedzę nie bez przyczyny, czekam na kogoś, liczę na miłe tête-à-tête i asysta ani kompania honorowa nie są mi potrzebne.

Słuchał cierpliwie. A potem, jak wytrawny gracz, wyprowadził kontratak. Najpierw nastąpił szach.

Ubek wyjął zdjęcie z marynarki.

– Jeśli na nią pan czeka, to nie przyjdzie – powiedział. – Nawet na pewno nie przyjdzie.

Z fotografii patrzyły na mnie przenikliwe, czarne jak węgiel oczy.

– Wczoraj rano znaleziono ją martwą na klatce schodowej. Zginęła od ciosów nożem.

Czułem się tak, jakby pędziła na mnie lawina. Taka jak w zeszłym roku zabiła kilkunastu turystów w Białym Jarze.

– Późnym wieczorem wyszliście razem z klubu – ciągnął. – Kilka godzin później nie żyła. Wie pan, co to znaczy?

Milczałem. Próbowałem w głowie poskładać myśli.

– Rozmawialiśmy z pańskimi sąsiadami. Jakiś pijaczek widział, jak wychodzi nad ranem od pana, ale to średnio wiarygodny świadek. Sam pan przyzna... Widziano ją wprawdzie, jak wchodzi do siebie, do klatki, ale niewiele to zmienia. Jest pan jedną z ostatnich osób, które widziały ją żywą. Albo – spojrzał na mnie uważnie – ostatnią osobą.

– Aresztujecie mnie?

– Na razie mam dla pana pewną propozycję. – Nachylił się i ściszył głos. Mówił teraz szeptem: – Coś się dzieje w mieście. Coś niepokojącego. To zabójstwo jest częścią poważniejszej sprawy. Ktoś sieje zamęt i chce wywołać panikę. A pan może dużo usłyszeć... Ludzie przy muzyce, po alkoholu, stają się bardziej rozmowni. Ufni i towarzyscy. Rozumie pan?

Wyjął kartkę z zapisanym numerem telefonu. Włożył ją pod popielniczkę, jakby obawiał się, że coś zdmuchnie papier.

– Muzycy z Ameryki przyjeżdżają, czasami dziennikarze. Pan znał przecież tego Halberstama z „New York Timesa”, nie zaprzeczy pan.

Wyprostowałem się.

– Muszę pana rozczarować. Tylko raz piliśmy razem. Po prostu kochałem się w jego żonie. Poza tym ich już nie ma w Polsce. A w ogóle pan mnie z kimś gruntownie myli. Jestem tylko zwykłym kontrabasistą. Gdy się gra, niewiele słyhać. Obawiam się...

Nie dał mi dokończyć. Wyprowadził drugi cios.

I to był mat.

– Nie wiedziałem, że ma pan brata. W informacjach o panu tego nie znalazłem. No i jak to jest z tym pseudonimem? „Ryś” czy jednak „Zadra”?

Tylko ona tak do mnie powiedziała. Lawina zasypała mnie. Nie było ratunku. A on jeszcze raz sięgnął do kieszeni.

– À propos Paryża, że tak powiem. Mam tu pewien list, który powinien trafić do pana. Ktoś miał go panu przekazać. No ale pewnie przez pomyłkę znalazł się u nas.

Położył go na stole.

– Więc daję go panu. Proszę potraktować to jako dowód naszych intencji. I zachętę do współpracy.

Wstał od stolika i sięgnął po kapelusz, poprawił rondo.

– W przeciwnym razie... W przeciwnym razie może się wiele wydarzyć. Sam się pan zdziwi ile.

Pożegnał mnie chłodnym spojrzeniem.

Siedziałem zmartwiały, tępo gapiąc się w filar.

Paryż, 14 stycznia 1969

Kochany Tadku,

długo wahałam się, czy napisać ten list, czy jest on nam obojgu potrzebny, wcale się nie zdziwię, jeśli w ogóle go nie przeczytasz albo gdy zobaczysz nadawcę, podrzesz i wyrzucisz do kosza. Wierzę jednak, że zechcesz posłuchać, co u mnie, bo wiem, że pod tą Twoją maską skrytości i zobojętnienia (sama nie wiem, czy to właściwe słowo) kryje się wrażliwe serce. A nawet jeśli nie zechcesz, to przypomnij sobie, że nazwałeś moją decyzję „egoistyczną”, więc jako egoistka mam widocznie potrzebę napisania tego dla samej siebie. Poza tym jest nowy rok, tamten, straszny, skończył się, był jak koszmar, z którego nie można się obudzić, ale czuję, że to mam za sobą. Szczęśliwie to wszystko już za mną.

Pierwsze tygodnie w Danii też były koszmarem. Niby ludzie mili, życzliwi, współczujący nawet, pomagali załatwiać te wszelkie formalności, ale nie mogłam się tu w żaden sposób odnaleźć. Chodziłam po czystych ulicach, dziwiłam się, że nigdzie tu nie ma ruin ani pyłu, i płakałam. Nie, nie odezwała się we mnie żadna tęsknota za Ojczyzną, nic z takich podniosłych rzeczy. Bałam się, że zawsze będą patrzyli na mnie jak na obcą. Że zawsze zdradzi mnie coś, że nie jestem u siebie. Jestem blondynką jak wiele Dunek, wielu nie dowierzało, gdy mówiłam, jakie mam pochodzenie, rozpląnęłabym się w tłumie zadowolonych z życia ludzi, ale zawsze coś by mnie zdradziło, akcent, niepewność, sama nie wiem co. Stygmat jakiś. Tego duńskiego charczenia nauczyć się nie sposób, po francusku nikt tam nie mówi, a mój angielski pozostawia sporo do życzenia, chociaż ostatnio poczyniłam postępy. Wierz mi lub nie, ale kilka razy obudziłam się i gotowa byłam wracać, a potem przychodził strach (może był to rozsądek) i powstrzymywał mnie przed powrotem. Bałam się przesłuchania, tego, że znów trafię do celi, tym razem na długo, ale najbardziej bałam się tej wścieklej, czerwonej mordy, która zaatakowała mnie wtedy na uniwersytecie. Bo takich nienawistnych mord, czuję to, jest w Warszawie coraz więcej.

Dusiłam się w tej Kopenhadze i dopiero wyjazd do Paryża okazał się strzałem w dziesiątkę. Dzięki znajomym ojciec zaczął się w jakimś instytucie badawczym, matka na razie nie pracuje, nie zna języka i chodzi jak struta, ale to chwilowe i minie. Nie będę zanudzać Cię szczegółami, powiem tylko, że jestem w mieście, w którym zmienia się świat. Słyszę, co działo się w ubiegłym roku, i żałuję, że mnie wtedy tu nie było, ale i teraz dziesiątki wieców, spotkań, odczytów, dyskusji, trudno w tym się połączyć, ale wreszcie przydaje mi się francuski. Jest żywo, inspirująco i wesoło, milkną tylko, gdy mówię, że lepiej od Związku Radzieckiego trzymać się z daleka i żeby przestali wychwalać Lenina, Stalina i innych wodzów rewolucji. Za to z angielskim jest nieźle, pochwalę ci się, że prawie przeczytałam książkę, *The Sane Society*, dość trudna w lekturze, ale bardzo pouczająca. Zresztą z trudniejszymi fragmentami pomaga mi Paul, to taki Amerykanin, miły chłopic, został mi do końca ostatni rozdział.

Ale największe wrażenie zrobił tu na mnie teatr (wiem, co myślisz o teatrze), ale nie miejscowy, tylko amerykański. Nazywają się *The Living Theatre*, zresztą to bardziej coś w rodzaju komuny hipisowskiej niż teatru, Paul też tam z nimi występuje, tłumaczy mi zresztą, że świat nie zmienia się w Paryżu, ale w Kalifornii, i że powinnam tam pojechać. Sama nie wiem. Rok się dopiero zaczął, ciekawe, jak się skończy.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze. O ile może być dobrze. Zresztą jestem pewna, że trzymasz fason. Kontrabasiści zawsze przecież trzymają fason, prawda? Jeśli gdzieś spotkam tego Twojego Mingusa, uściskam go od Ciebie. I wszystkiego najlepszego w Nowym Roku!

Całuję Cię mocno

Julia

P.S. To było jeszcze w Danii, w nocy, nie mogłam spać i pomyślałam o czymś. Pamiętasz, gdy wtedy spotkaliśmy się w barze uniwersyteckim, zanuciłeś Baczyńskiego. Zastanawiałam się, dlaczego akurat to przyszło Ci do głowy. Chyba byłoby bardziej naturalne, gdybyś mi zaśpiewał Masz takie oczy zielone. Zresztą w ogóle miałeś wtedy nietęgą minę. Szkoda, że nikt wtedy nie zrobił Ci zdjęcia. W tym wierszu Baczyńskiego jest jeszcze inna zwrotka. Na pewno pamiętasz.

*I tak w wodę się chyląc na przemian
popłyniemy nieostrożnie w zapomnienie,
tylko płakać będą na ziemi
zostawione przez nas nasze cienie.*

Ale nie o Baczyńskiego mi teraz chodzi. W trakcie tej bezsennej nocy przypomniałam sobie tę straszną historię, którą mi opowiedziałeś. Tę o Twoim bracie. I zaczęłam się zastanawiać, czy to na pewno było o bracie, „Zadro”?

Dla mnie zawsze pozostaniesz „Zadrą”.

19.

Pamiętam to uczucie euforii i dumy w samym środku lata, w połowie wakacji, gdy zwykle nie myślało się jeszcze o nowym roku szkolnym, tyle że od pięciu lat nikt nie mierzył już czasu w ten sposób. Pytanie, czy w ogóle jest sens go mierzyć, gdy każdy dzień może być ostatnim, zakończyć się pod ścianą, torturami lub wywózką do obozu. I nagle po tych pięciu latach ktoś zdejmuje wielki ciężar, twoje miasto zaczyna oddychać pełną piersią, a ty może nawet myślisz o przyszłości i nieśmiało snujesz plany, co zrobisz, skoro to wszystko się jakby skończyło. Więc prawie każda kamienica miała swój festiwal, podwórkowe kapele rznąły walczyka, kobiety rwały się do tańca, zawadiacko poprawialiśmy czapki, a mężczyźni spontanicznie oddawali się do dyspozycji dowódców oddziałów.

Nie byliśmy jeszcze wtedy brudni, zawszeni, obdarci i ranni, wyglądaliśmy jak regularne wojsko i dawaliśmy to, co najważniejsze. Nadzieję. Tyle że nie był to nawet miodowy miesiąc, góra był to tydzień, bo wtedy zaczęły krążyć historie o tym, co stało się na Woli. Początkowo w Śródmieściu tym opowieściom nie dawano wiary i dopiero gdy wieści zaczęły się mnożyć, kiedy zaczęło przybywać cudem ocalałych, ocalonych i oszalałych z bólu, zaczęło do nas docierać, co tam się stało. A także co może czekać innych. Nas.

W trzecim tygodniu zaczął się koszmar i powolna agonia miasta. Widziałem, jak granaty wpadają przez okno, a wybuch wyrzuca fragmenty ciał. Raz potknąłem się o oderwaną głowę. Trupy leżały przykryte kawałkami gazet, nikt nie zajmował się pochówkami, a do resztek ciał dobiegały się psy. Skończyły się padłe konie i ostatnie puszki ze zrzutów, sam musiałem rozdzielać kobiety walczące o konserwę, więc kiedy została tylko kasza, zabrano się też za te psy, wrzucono do garnka najpierw bezdomne, a potem własne. Polowanie na gołębie stało się pożytecznym zajęciem. Hulał czarny rynek. Młynarkami można było się co najwyżej podetrzeć, ten, kto miał złoto, carskie ruble albo dolary, jeszcze sobie radził.

Powstańczy Korpus Bezpieczeństwa, nasza policja, miał ręce pełne roboty. Wyzwiska, przekleństwa, bójki o wodę, nieraz trzeba było użyć siły, zmierzyć się z pogardą, milczeniem albo czymś gorszym. Pilnowaliśmy porządku, gdy podbiegła do mnie kobieta i zaczęła szarpać mój podniszczony mundur. „Coście zrobili z tym miastem?”, wrzeszczała mi prosto w twarz. „Co zrobiliście z nami?”. „Jesteście gorsi od nich”. A potem splunęła na mnie. Zginęła dzień później, kiedy próbowała przebiec na Poznańską.

Ale dochodziły do nas inne jeszcze głosy. W kamienicach rządzili samozwańczy „komendanci domów”. Bardzo często rekrutowali się z najgorszych, ale najbardziej zaradnych mętów, prawdziwe typy spod ciemnej gwiazdy, a teraz, korzystając z sytuacji, tworzyli swoje państwa w powstańczym państwie i udzielne królestwa. Mówiło się o takich, którzy chodzili pijani od rana do nocy, grali w karty, a w mieszkaniach, z których usunęli lokatorów, urządzali orgie lub wręcz prowadzili tam burdele. Dziewczyny oddawały się tym „komendantom” za lepsze jedzenie, a te, które nie chciały, brali siłą.

O dwóch takich z Hożej było najgłośniejsze. O Panasie i Wąsiku. Mieli jeszcze kilku pomagierów,

razem plądrowali sklepy i mieszkania, których nie zdążyli okraść inni. Mówiono, że lubią używać bata, żeby zdobyć posłuch, ale nie gardzili też kolbą i ciężkim butem. Były na nich skargi, ale ludzie w ogóle donosili na siebie w powszechnym szale i zapamiętaniu, nikt nie zważał na nic, czasami trudno było oddzielić ziarno od plew, prawdę od pomówień i mściwych donosów, zwlekaliśmy, ale wreszcie miarka się przebrała. Panas na oczach innych mieszkańców skatował starca, który nie chciał iść po wodę. Wysyłany na pewną śmierć. Pokonanie dwóch przecznic przez młodego, zdrowego mężczyznę graniczyło z cudem, a co dopiero przez schorowanego dziadka. Starzec zmarł. Gdy przybyliśmy we trzech, leżał na chodniku pod gruzami.

Ostrzał gęstniał i skuleni przedzieraaliśmy się na Hożą. Weszliśmy na teren, który kiedyś był podwórkiem. Panasa poznałem od razu, z opisu wiedziałem, jak wygląda, był chudym dryblasem i poganiał kompana. Obaj byli odwróceny do nas plecami. Stali nad jakimś mężczyzną.

– No, zrób z nim porządek – powiedział tyczkowany.

Ten drugi, o wiele niższy, uniósł rękę. Trzymał w niej bat.

Zagwizdałem.

Odwrócili się jak na komendę. Mieli na sobie czyste, zadziwiająco nowe marynarki. Obaj nosili powstańcze opaski. Z okien wychyliło się kilka twarzy.

Patrzyli na nas wrogo.

– Co jest? – Panas się skrzywił. – Przeszkadzacie nam w robocie.

– Gównno jest – mruknąłem.

A potem strzeliłem mu w głowę.

Ktoś w oknie zaklaskał, jakby był w teatrze, i rozległ się śmiech. Ten drugi wypuścił bat z ręki i padł na kolana. Trząsał się ze strachu. Miał myszowatą twarz, był koło trzydziestki. Przystawiłem mu pistolet do głowy.

– Nie, błagam, nie – wyszeptał.

Patrzyłem mu w oczy, a potem zdjąłem palec ze spustu. Uniosłem głowę.

– Jeśli ktoś tu kogoś ruszy, kula w łeb – krzychałem do okien i w niebo. – Zrozumiano? Zrozumiałeś, gnoju? – zwróciłem się do klęczącego.

Nerwowo pokiwał głową.

– Ty jesteś Wąsik?

– Wą... Wą... Wąsik – potwierdził.

– To grzej na barykadę. Już!

Popędziliśmy go kopniakami. Biegł, od czasu do czasu spoglądając za siebie.

Podbiegła do mnie kobieta. Zaczęła całować po rękach. Zawstydzony ukryłem je za plecami.

– Spadochroniarze... Spadochroniarze... – szeptała gorączkowo. – Prawda, że to już dziś wylądują spadochroniarze?

Była obłąkana.

Żadni spadochroniarze nie wylądowali.

Tydzień później zginęła dziewczyna, którą kochałem. Podobno nie cierpiała. Nie było sposobu, żebym ją pożegnał.

Dwa tygodnie później znalazłem się w Pruszkowie. Nigdy nie zszedłem do kanałów.

Przez kilka lat próbowałem wtopić się między bezrękich i beznogich, szalonych i zwyczajnych,

także tych okaleczonych w niewidoczny na pierwszy rzut oka sposób, oraz takich, którzy przybyli wraz z nową władzą i dzięki niej się utuczili. Szukałem swojego miejsca na ziemi, zdaje się, że to tak się mówi; starałem się wejść w jakiś rytm, tryby, nadać życiu sens, miałem się tego i owego, jak wszyscy. Po raz pierwszy po wojnie wziąłem kontrabas do ręki w czterdziestym siódmym, wcześniej jakoś nie potrafiłem i nie miałem ochoty. To był stary, wysłużony instrument, własność ogniska muzycznego, ale wciąż dawał radę. Starałem się uciec od historii i udawało mi się to z niezłym skutkiem do pewnego czasu.

W czterdziestym dziewiątym zostałem aresztowany. Zarzuty były tyleż absurdalne, ile poważne, zresztą innych wtedy nie stawiano. Wspieranie reakcyjnego podziemia. Współpraca z zachodnim wywiadem. Krótko mówiąc: czapa, kula w łeb i bezimienny grób. Jeśli chodzi o sam pochówek, było mi akurat wszystko jedno. Podzieliłbym los wielu, którzy zniknęli bez śladu, nie zasłużywszy nawet na pokazowy proces. Wieźli mnie, gdy kierowca walnął w wóz konny. Skorzystałem z zamieszania i uciekłem. Dwadzieścia lat temu byłem młodszy, silniejszy i sprawniejszy. No i nie bałem się kul, gdy świstały nad moją głową, i żadna mnie nie trafiła.

Wiele razy zmieniałem miejsce pobytu. Wrocław, Kraków, inne miasta i zapadłe dziury, zaliczyłem dworce, meliny, ciasne pokoiki i podupadłe restauracje, wreszcie uznałem, że najciemniej jest pod latarnią i najbezpieczniej będzie wrócić do stolicy. Zapłaciłem brodę, znów zacząłem grać, wtedy ktoś mnie rozpoznał i zadenuncjował. Grałem w knajpie, gdy przyszli, próbowałem wycofać się przez zaplecze, ale i tam czekali. Trafiłem do celi, potem na przesłuchanie. „Właściwie nie muszę cię przesłuchiwać”, usłyszałem. „Uciekłeś przecież. A nikt, kto jest niewinny, nie ucieka, prawda?”. Trzeba przyznać, że była w tym ponura logika. A potem zmienili śledczego.

Oficer siedział za biurkiem, pochylony nad papierami, zdziwiłem się, że jest sam, ale wszystko się szybko wyjaśniło.

– Liczyłem, że się jeszcze spotkamy – powiedział, wciąż siedząc. Uniósł głowę.

Patrzyła na mnie myszowata twarz. Wstał.

– Gdzie twój bat? – zapytałem. – Już nim nie wywijasz? Przydałby się jak znalazł.

Uśmiechnął się kwaśno. Podszedł do mnie.

– Mam inne sposoby.

Spojrzałem na mundur.

– Kapitan Wąsik... Kto by pomyślał. Nawet w tej waszej instytucji trzeba być nie lada bydlakiem, żeby tak szybko awansować.

Uderzył mnie w nasadę nosa. Coś mi chrupnęło i zachręściło w głowie. A potem przywołał dwóch pomagierów. Nie wiem, ile trwała ta obróbka, mógł to być kwadrans, ale równie dobrze godzina. Trzeba przyznać, że mieli wprawę. Bili tak, abym nie stracił przytomności. Posadzili mnie wreszcie na krzesło. Jeden trzymał za włosy, drugi rozcierał pięść.

– Dla kogo pracujesz, skurwysynu? Nazwiska. – Wąsik błysnął srebrnym zębem.

– „Pres”, „Satchmo”... – zacząłem wymieniać.

Wściekły cisnął długopisem.

– Posadźcie go tu bliżej.

Przystawili krzesło do biurka, a potem unieruchomili moją rękę na blacie.

– Podobno jesteś muzykiem... – W oczach Wąsika pojawił się sadystyczny błysk. – To ja ci

powiem, że byłeś muzykiem.

Z szuflady wyjął cążki do cięcia drutu.

– Każdego dnia stracisz jeden palec. Najpierw jedna ręka, potem druga. Co na to powiesz? Ostatnia szansa – wydyszał. – Nazwiska.

A gdy nie odpowiedziałem, zacisnął cążki na paznokciu.

Wrzasnąłem i odpłynąłem z bólu. Ocknąłem się w celi.

Dotrzymał słowa. Następnego dnia wszystko się powtórzyło. Zmiażdżył mi palec serdeczny. Był początek grudnia, leżałem w zimnej piwnicy, miałem gorączkę i byłem pewien, że nie dożyję nowego roku. Ale kolejnego dnia zostawili mnie w spokoju. I przez kilka następnych też. Jakby zupełnie o mnie zapomnieli. A gdy wzięli mnie ponownie, przesłuchanie prowadził inny oficer. Nie było bicia i bólu. Na korytarzach panowała nerwowość, ktoś szepnął: „Światło”, myślałem, że są jakieś kłopoty z prądem, i później, znacznie później, dowiedziałem się, że chodziło o coś zupełnie innego.

Wypuścili mnie wiosną pięćdziesiątego czwartego i wyjechałem na Wybrzeże. Imałem się różnych robót i byłem pewien, że nigdy już nie zagram. Ale zagrałem. Okazało się, że mimo dwóch niesprawnych palców wciąż mogę. I robię to do dziś. Wróciłem do Warszawy jesienią cztery lata później. A w grudniu zobaczyłem go na ulicy. Padał śnieg, szedł z postawionym kołnierzem, przygarbiony, i pewnie dlatego mnie nie poznał, kiedy niemal wpadliśmy na siebie. A może po prostu dlatego, że był pijany. Poszedłem za nim. Zobaczyłem, gdzie wchodzi. Następnego wieczora zataczał się znów i kolejnego też. Wiedziałem już, gdzie mieszka kapitan Wąsik. A właściwie to, co z kapitana zostało. Żył samotnie. Nikt go nie odwiedzał.

Tydzień później złożyłem mu wizytę.

A teraz to mnie złożono wizytę. Pod kamienicą stał milicyjny fiat, nie wysłużona warszawa, jak zwykle u nas bywało podczas zwyczajnych awantur, które nazywaliśmy „zamieszkami”. Byłem pewien, że ci w fiacie czekają na mnie. Dzieciaki patrzyły na samochód z ciekawością i respektem, a pan Rosenbaum siedział na wózeku i wygrażał swoją piąstką. Zapytali o nazwisko, tak, to ja, potwierdziłem, zaprosili do środka, uprzejmie dość, i powieźli. Powiedziałem, że dobrze się składa, bo sam miałem do nich jechać, ale nie byli zbyt rozmowni. Pomknęliśmy trasą W–Z. To, co powiedziałem, było prawdą. Po powrocie miałem zamiar otworzyć szufladę, złożyć w niej list jak w grobowcu i sięgnąć po notes z numerami telefonów. Jedno pytanie nie dawało mi spokoju, a mógł odpowiedzieć na nie tylko jeden człowiek. I miałem do niego małą prośbę.

Z majorem Mieczysławem Filipskim znaleźliśmy się z bardzo dawnych czasów. Niech tyle wystarczy. Nasze losy potoczyły się zupełnie inaczej, a drogi rozeszły, ale nie na tyle, żebyśmy nie mogli spotkać się czasami przy kieliszku czegoś mocniejszego. Żartował wtedy, że rozmawiamy jak Janczar z Filipskim, chociaż ostatnio stało się to znacznie mniej zabawne.

Dotarliśmy do Pałacu Mostowskich i wziął mnie w obroty młody harpagon w stopniu porucznika. Patrzyłem na godło, mapę z administracyjnym podziałem kraju oraz zdjęcie towarzysza Wiesława i odpowiadałem na pytania. Tak, poznałem panią Jadwigę Ślusarek. O ile tak się nazywała, nie przedstawiła się, jakoś nie było sposobności. Porucznik uniósł brwi. Podczas przesłuchania zdziwił się jeszcze kilkakrotnie. Tak, tak, z „Hybryd” pojechaliśmy prosto do mnie. O czym rozmawialiśmy? No, tu jest problem, panie poruczniku, rzecz w tym, że nie bardzo rozmawialiśmy, też jakoś tak się zdarzyło. O czwartej. Wyszła o czwartej. Czy to nie wydało mi się dziwne? Oczywiście, że się wydało, próbowałem ją nakłonić, żeby została, chciałem odprowadzić. Czy pokłóciliśmy się i dlatego wyszła? Nie. Czy wydawała się zdenerwowana? Wręcz przeciwnie. Raczej, jak by to ująć, zrelaksowana. Alkohol? Piliśmy wino. Jedno. Ale wcześniej też. Nie pamiętam, ile. Dużo. Co robiłem od czwartej? Spałem. Nie, nie może nikt potwierdzić. Też żałuję. Czy powiedziała coś, co mogłoby pomóc w śledztwie? Nie. Czy chciałbym dodać coś jeszcze. Nie.

Trwało to i trwało. Myślałem, że się nie skończy. Wreszcie dał mi spokój i poprowadził długim korytarzem. Zapukał, otworzył jakieś drzwi, sam nie wszedł za mną. A ja stanąłem przed majorem Filipskim. Jego pokój był większy, znajdował się w nim stół konferencyjny, a także wieszak, na którym wisiał płaszcz.

– To teraz taka moda? – zapytałem. – Wszyscy chodzą w ortalionach?

Uśmiechnął się. Skończył rozmawiać przez telefon i odłożył słuchawkę na widełki. Był wcieleniem przeciętności. Średniego wzrostu, średniej budowy ciała, średnio przystojny. Inteligencji natomiast nie można było mu odmówić.

– Tylko od stopnia majora w górę – zmienił temat. – Porobiło się, co?

– Porobiło.

Zaproponował, żebyśmy się przeszli. Wziął z biurka skoroszyt, schował go do teczki, zarzucił płaszcz. Kilku milicjantów zaszalutowało na jego widok. Poszliśmy do Ogrodu Saskiego. Było ciepło

popołudnie. Na ławkach siedziały młode pary zajęte tylko sobą, staruszka robiła na drutach, kruszyła chleb i podkarmiła stadko wróbli. Zaszleścił „Przegląd Sportowy”. Znad gazety wyglądał kaszkiet. Nie mieliśmy kłopotu ze znalezieniem miejsca. Przepuściliśmy rodzinę kaczek, chwilę to trwało, i usiedliśmy w bocznej alejce. Wyjąłem carmeny i poczęstowałem majora. Zapaliliśmy.

– Wiem, że nie masz z tym nic wspólnego – zaczął Filipski.

– Cieszę się. Ale skąd ta pewność? Pomijając naszą wieloletnią znajomość.

Otworzył teczkę i wyjął skoroszyt.

– Ponieważ nie jesteś wielokrotnym zabójcą kobiet.

Wyjaśnił, że Jadwiga Ślusarek nie była pierwszą kobietą, która zginęła w ostatnim czasie od ciosów nożem. Najpierw była studentka znaleziona w parku, na tyłach uniwersytetu. Potem zakonnica na placu Grzybowskim. Ta jest trzecia. Park, plac, klatka schodowa. Wszystkie zginęły w miejscach publicznych. W krótkim odstępie czasu. Cel rabunkowy można wykluczyć. Ofiary nie zostały zgwałcone. W komendzie stołecznej powołano specjalny zespół, który ma schwycić Podwórzowego Mordercę. Nie ma co się krzywić. Nazwa dobra jak wszystkie. Oficjalnie sprawy te nie są związane ze sobą, „Express” od razu wywłókłby to na pierwszą stronę, zapanowałaby panika, podobnie jak w Krakowie. Mówił, a ja przypomniałem sobie błysk w oku tego pismaka, Popiela, właśnie wtedy w „Hybrydach”. Tajniacy rozpytują na mieście, uruchomiono telefon, pod który mogą dzwonić kobiety ostatnio nagabywane przez mężczyzn, sporządzono kilka rysopisów, ale nic z tego nie wynika, każdy jak radziecka gęba, sześć na dziewięć.

Westchnął.

Spojrzałem na kształtne pośladki, kołyszące się pod kusą spódniczką, które przeszły obok. Także westchnąłem.

– Jest jeszcze jedno, co łączy te trzy sprawy. – Wyjął zdjęcie. – W kieszeni pierwszej z ofiar znaleźliśmy stronę wyrwaną z gazety. – Przypatrzyłem się fotografii. Nagłówek „Echa Krakowa” informował o procesie Karola Kota. Filipski ponownie sięgnął do skoroszytu. – To zaś znaleźliśmy przy Jadwidze, którą poznałeś.

Zdjęcie przedstawiało lekko wystrzępioną kartkę z zeszytu. U góry ktoś napisał „K. Ko nr 3”.

– Rozumiesz? Numer trzy przy trzeciej ofierze. To nie może być przypadek. A przynajmniej traktujemy tę hipotezę bardzo poważnie.

– Ale przy zakonniccy nic nie znaleźliście. – Byłem sceptyczny.

– Nic. Ale to było najbardziej ruchliwe miejsce. Zabójca nie chciał ryzykować. Zrobił swoje i to wystarczyło.

– Chcesz powiedzieć, że jedni fascynują się Beatlesami, a inni mordercami? Że ktoś naśladuje tego Kota?

– Coś w tym guście – przytaknął. – Dlatego wiemy, że to nie ty. Gdyby ten... – Szukał w pamięci.

– ...ten Mingus zabijał, to co innego. Byłbyś pierwszym podejrzanym.

Wstaliśmy z ławki i ruszyliśmy wolnym krokiem.

– Mam do ciebie pytanie. I małą prośbę.

Opowiedziałem o spotkaniu w empiku. Jak byłem namawiany do współpracy. I o tym, co wzbudziło moje zdziwienie.

– Powiedz mi, od kiedy ubecja interesuje się pospolitymi zabójstwami?

– Esbecja – poprawił mnie.

Machnąłem ręką.

– Widzisz... – Ważył każde słowo. – Miałem od nich telefon już wczoraj. Kobieta... Ta, z którą się spotkałeś i spędziłeś noc, była z nimi powiązana.

Zamurowało mnie.

– Nie... Nie pracowała u nich, o ile dobrze zrozumiałem. Oficer, z którym rozmawiałem, mówił o tym dość oględnie, ale ten związek miał jakiś inny charakter. Tak czy siak byłem proszony, ot tak, po przyjacielsku, o informacje o postępach w śledztwie. Czułem, że o to zapytasz, dlatego wolałem, żebyśmy porozmawiali tu... W mniej formalnym otoczeniu.

Miałem mętlik w głowie.

– Też mam do ciebie przyjacielską prośbę – odezwałem się po dłuższej chwili. – Jak Janczar do Filipskiego... Czy mógłbyś dać mi zdjęcie tej zamordowanej... znaczy, tej Jadwigi?

Zawahał się, ale wiedziałem, że nie odmówi. Trudno odmawia się komuś, kto uratował ci życie. Wreszcie otworzył teczkę.

– Tej prośby też się spodziewałem. – Naprawdę był przenikliwym facetem. – Wręczył mi odbitkę.

Spojrzałem na czarne oczy.

Filipski stał zapatrzonej w kolumny Grobu Nieznanego Żołnierza. Milczał. Patrzył na przestrzał, ale byłem pewien, że spogląda gdzieś w głąb, za siebie.

– Wolałbym, żebyś nie narobił jakichś kłopotów – oświadczył. – Sobie i nam. Nie działaj na własną rękę. Nie odstrzel nikomu głowy, jak wtedy temu Panasowi.

– Wtedy to nie było na własną rękę.

– Wiem. Wtedy nie. – Spojrzał na zegarek. – Czas na mnie.

Odszedł szybkim krokiem, po drodze kopnął jakiś kamyk. Ortalion wzdął się niczym żagiel.

21.

Wiedziałem, co muszę zrobić, decyzja zapadła. Mogłem ją odwlec w czasie, rozrzedzić, ale kości zostały rzucone, rzeczy przesądzone. Była to tylko kwestia godzin, dnia.

Ledwo otworzyli bibliotekę uniwersytecką, już tam byłem, zupełnie jak prymus przygotowujący się do sesji. Podczas wojny uczęszczałem na tajne komplety, zbyt pilnym studentem, przyznaję, nie byłem. Od nauki odwodziły wtedy inne, pilniejsze do załatwienia sprawy, w sumie odebrałem niezłą szkołę od życia, nie ma czego żałować. Nie byłem z pewnością erudytą takim jak Trzaskower, moje półki nie ugięły się pod ciężarem najnowszych zachodnich magazynów i literatury, ale swoje wiedziałem. Choćby o takim Cortázarze.

Moja wiedza o Karolu Kocie pozostawiała wiele do życzenia. Gdy rok temu skazali go na karę śmierci i wykonali wyrok, byłem pochłonięty czymś innym, oczywiście coś tam się słyszało, piąte przez dziesiąte, a muzycy, którzy przyjeżdżali z Krakowa, opowiadali niestworzone rzeczy. Jeden mówił, że psychoza w mieście i lęk przed atakiem szaleńca były takie, że kobiety wzmacniały ubrania dyktą albo nawet sklejką, i dopiero wówczas, tak opancerzone, wychodziły na ulicę. No ale to była opowieść po kilku głębszych, trochę dla szpanu, trochę dla podkreślenia atmosfery, nie bardzo chciało się wierzyć ani w tę, ani w inne podobne historie.

Zamówiłem czasopisma, w okazałej księdze bibliotecznej w rubryce „zawód” wpisałem „artysta”, w zgodzie z wszelkimi dokumentami nim byłem, „artystą estradowym”, przysługiwało mi z tego tytułu odpowiednie wynagrodzenie, niższe niż „soliście estradowemu”, ale wyższe niż knajpianym klezmerom. Co nie zmienia faktu, że często grywałem za darmo albo półdarmo, ostatecznie najważniejszy jest czynnik ludzki, a dobre towarzystwo to rzecz bezcenna. Usiadłem przy szerokim stole, koło regału z książkami, oprócz mnie w sali były dwie leciwe profesorki, a przynajmniej na takie wyglądały, studenci o tej godzinie jeszcze spali.

„Jem, śpię, nawet przytyłem w więzieniu”. Powodziło się temu Kotowi, nie powiem. Sam miałem przecież zupełnie inne wspomnienia. Czytałem relacje z procesu i dopiero teraz pojąłem, że panika, którą wywołał ten chłopak, nie była przesadzona. Morderstwa i próby zabójstw, nóż, podpalenia i trucizna, arsenian sodu wlewany do butelek z piwem pozostawionych na klatkach schodowych. U mnie, na Wileńskiej, nie trzeba by długo szukać na nie amatora. Nazywano go „Wampirem”, lubił pić krew w rzeźni. Gdy zabił chłopca na Salwatorze, nieopodal Kopca Kościuszki, w nagrodę kupił sobie precla, a potem, jak gdyby nigdy nic, zajadał się ciastkami, po które posłała go matka. Reporterzy skrupulatnie przedstawiali potworne czyny, relacjonowali zeznania biegłych i mowy prokuratorów, utyskiwali nawet nad upadkiem obyczajów sądowych, pisali więc, że niejedna upierścieniona ręka wyposażona była w lornetkę teatralną, żeby lepiej widzieć twarze świadków i potwora w ludzkiej skórze, słowem, każdy dzień procesu był udokumentowany detalicznie, godzina po godzinie. Miałem podane wszelkie szczegóły, tyle że nie o nie mi chodziło. Przeglądałem uważnie numery „Echa Krakowa” i wreszcie natrafiłem na to, czego szukałem. Aż klasnąłem w ręce i napotkałem karcące spojrzenie jednej z profeserek. Ruch w czytelnicy wciąż był niewielki. Podeszedłem do lady, uśmiechnąłem się do młodej bibliotekarki jednym z tych niewymuszonych

uśmiechów, spojrzałem prosząco wzrokiem wyćwiczonym w klubach, a potem oboje zaczęliśmy wertować księgę wpisów.

Było południe, gdy wyszedłem. Zmrużyłem oczy, odpierając atak słońca. Mogłem wrócić na Pragę, a potem zrobić to, co i tak mnie czekało, odwiedzić pewnego człowieka mieszkającego całkiem blisko, przynajmniej tak było sześć lat temu, ale nie, zdecydowałem inaczej, to mogło zaczekać. Jeszcze chwila.

Wyszedłem bramą na Oboźną i ruszyłem w dół. Gdzieś tutaj zabito tę pierwszą dziewczynę. Na trawie spał pijaczek, u jego nóg leżała butelka po jabolu, a obok siedział pudel i wpatrywał się w swojego pana. Zdaje się, że dla obu, psa i jego właściciela, nie była to pierwszozna. Wściekła zieleń opanowała całą skarpe i spływała w dół, od Pałacu Kazimierzowskiego do Browarnej, poczułem, że jest mi za gorąco, zdjęłem marynarkę i zarzuciłem na ramię. Minęły mnie trzy dziewczyny, głośno szczebiały o chłopaku, który ma dziś wolną chatę, chętnie nawet bym dołączył, tyle że myślami byłem gdzie indziej, w Krakowie, w bibliotece, a najbardziej na Powązkach podczas pogrzebu najlepszego z nas.

W Warszawie żyje się od przejazdu do przejazdu. Nigdy nie wiadomo, kiedy i jak daleko zajedziesz. Dotyczy to nie tylko autobusów i tramwajów, ale także trolejbusów, którymi od Legii można przemieścić się do Dworca Gdańskiego, taksówek, które po cwaniacku zmieniają trasę albo zatrzymują się wpół drogi, a nawet dorożek. Kiedy ostatni raz widziałem dorożkę? Chyba jesienią na Grzybowskiej. Kolebała się z boku na bok, jakby zaraz miała się rozpaść, obok składu z materiałami budowlanymi i artykułami żelaznymi Zawadzkiego, chabeta sunęła powoli, a stukot kopyt niósł się jednostajnym rytmem wśród wypalonych ścian i kawałków cegieł. Czasem w Warszawie wprowadzane są urozmaicenia, ot tak, żeby nie było nudno, jak mikrobusy, które pojawiły się w mieście dość niespodziewanie i nikt nie wiedział, kiedy, jak, skąd i dokąd jeżdżą. Pewnie każde miasto ma swój własny rytm i wyznaczane przez przejazdy tempo, a to ostatnie należało w upalne południe do powolnych.

Stałem na Mariensztacie, paliłem trzeciego papierosa i myślałem o trzech zabójstwach, tłumek niecierpliwych pasażerów gęstniał, a sto dwudziestka ósemka nie przyjeżdżała. Aż wreszcie pojawił się znajomy kształt, który sprawił, że skumulowana w ludziach złość w jednej chwili ustąpiła, zamieniła się w energię konieczną, by szturmować wejście. Na przystanek podjechał wysłużony chausson, pewnie wysłany w kurs w trybie awaryjnym. Zwalista sylwetka biało-czerwonych autobusów, zżytych z Warszawą, zrośniętych z nią w sposób, zdawałoby się, nierozzerwalny, nagle ustąpiła zgrabniejszym, bardziej nowoczesnym i ekonomicznym jelczom. A ja nie mogłem oswoić się z tą zmianą. Jakby porównywać ze sobą boksera wagi ciężkiej i muszej. Jakby zestawić Lucjana Trełę z tym małym Drożdżalem. Albo kontrabas ze skrzypcami.

Wsiadliśmy szybko, a sto dwudziestka ósemka ruszyła jeszcze gwałtowniej. Zająłem miejsce tam, gdzie kiedyś przesiadywali kontrolerzy biletów. Oni także należeli do przeszłości, wyparci przez masywne kasowniki. Dwie kobiety, obie blondynki, z należytą wysługą lat, jedna z upiętym kokiem, druga z włosami na chłopczycę, usiadły przede mną. Oto, dlaczego lubiłem chaussony, a do jelczów nie mogłem się przyzwyczaić. W starych autobusach silnik pracował dyskretnie i miarowo i mogłem usłyszeć każdy szept.

Chłopczyca wyjęła z torebki „Życie Warszawy”, otworzyła na nekrologach i tryumfalnie uderzyła palcami w gazetową płachtę.

– Patrz pani – powiedziała. – Codziennie się modliłam, żeby go tu znaleźć. No i wymodliłam wreszcie. Pan Bóg jest łaskawy.

– Jest pani pewna, że to on? Może to tylko nazwisko takie samo?

– Nazwisko to samo, imię, wiek też się zgadza. Aha, dopisali, że „syn Henryka”. Bo niby co mieli napisać? Że kawał z niego był skurwego syna?

Zaśmiały się cicho, a potem rozejrzały, jakby zawstydzone swoją reakcją.

Patrzyłem przez okno. Na Dobrej chłopak i dziewczyna kupowali lody bambino po trzy dziesięć za sztukę z obnośnego stoiska, a ja zacząłem zastanawiać się nad dużym jasnym, bo gorąco było jak cholera.

Przy placu Trzech Krzyży chłopczyca wstała.

– Niech pani uważa na siebie – powiedziała. – Nie lubię tej trasy. Zimą futrzaną czapkę mi tu ukradli.

– Mojej przyjaciółce też – odpowiedziała ta druga. – Tyle że w tramwaju. W ogóle jakaś chuligańska moda na te czapki się wtedy zrobiła. Ale co teraz mogą mi ukraść? Cnotę?

Znów się roześmiały. Niedługo gruchnie wieść o grasującym w Warszawie zabójcy kobiet i wtedy czapki to będzie mały pikuś. Jak go nazwali? Podwórzowy Morderca? Tęgie głowy w milicji pracują, nie ma co.

W chaussonie zrobiło się nagle tłoczno, zawczasu precisnąłem się w stronę wyjścia. Na wysokości oczu miałem „Express Wieczorny”, chyba sprzed dwóch dni. Czytanie gazety w autobusie zawsze było formą walki o przestrzeń, może nie wyzwaniem rzucanym całemu światu, jak podróż z kontrabasem albo zestawem perkusyjnym, ale jednak. I była, oczywiście, o wiele częściej praktykowana. W fabryce urządzeń medycznych przekazano aparat rentgenowski dla Wietnamu. Obok kolejna pocieszająca wiadomość. „Szczęśliwy finał miał kurs taksówki nr 987, w której pasażerka zostawiła torbę z pieniędzmi i dokumentami. Już za godzinę zgłosiła się do niej żona kierowcy, p. Michała Woźniaka, wielce przejęta tym, że właścicielka zguby na pewno bardzo się denerwowała”. No proszę. Zostało jeszcze trochę dobrych ludzi w Warszawie i odrobina życzliwości. O zabójstwie Jadwigi cisza. Przynajmniej nic na tej stronie.

– Czy to nie ten, co grywa na pogrzebach? – usłyszałem cichy męski głos za plecami. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Chciałem jakoś spojrzeć za siebie, ale nie zdążyłem.

Sto dwudziestka ósemka zahamowała, ludzka masa zafalowała, gazeta przede mną zaszeleściła i złożyła się. Ktoś głośno zaklął, ktoś wbił łokieć w moją nerkę. Drzwi otworzyły się, do środka wdarło się świeże powietrze, a chausson wypuł pasażerów, w tym także mnie. Patrzyłem, jak odjeżdża, przez brudną szybę nikogo nie dostrzegłem.

Drobiny pyłu unosiły się w powietrzu, a na niebie nie było ani jednej chmury. Przed sobą miałem Pałac Kultury, a po lewej „Polonię”. Spojrzałem w tamtą stronę. Pucybut siedział tam, gdzie zwykle, na lewo od wejścia i biura informacji hotelowej. Ruda czupryna lśniła w słońcu, podobnie jak krzaczaste bokobrody tego samego koloru, akurat kończył glansować buty jakiemuś cudzoziemcowi, tłumaczył mu coś na migi, przyjął zapłatę, chyba w walucie, chuchnął w dłoń i szybko ukrył zarobek.

„Monako” znał wszystkich w mieście. Za dnia był pucybutem, nawiązywał kontakty, słuchał, co się mówi, i obserwował, co dzieje się w mieście, a wieczorem przeistaczał się w poważnego przedsiębiorcę, mógł zorganizować co trzeba, głównie dziewczynki, ale żaden tam przechodzony towar, nie babcie z Chmielnej, tylko najlepsze dewizówki, w dodatku okazyjnie, z upustem po znajomości. Przede wszystkim jednak „Monako” poruszał się jak wytrawny narciarz pomiędzy alfonsami, cinkciarzami, konikami spod „Atlantycu”, złodziejami samochodów, paserami, mistrzami gry w trzy karty z Różyca i Dworca Stadion, fryzjerami, ścierkarzami z knajp, pismakami, pyskatymi taksówkarzami w skórzanych kamizelkach, domokrążcami, bokserami z połamanymi nosami oraz niebieskimi ptakami wszelkiego autoramentu. Oraz muzykami, oczywiście. Był chodzącą encyklopedią i książką telefoniczną, a poza tym lubiliśmy się i teraz postanowiłem skorzystać z jego wiedzy.

- Wypucować buciki, panie artysto? – Loki na głowie zatrzęsły się.
- Nie mam drobnych. Same grube. Powodzi się. Ale widziałem, że i tobie coś czasem skapnie.
- Nie narzekam.

Ukucnąłem. Z kieszeni marynarki wyjąłem zdjęcie Jadwigi.

- Znasz ją?

Rozejrzał się uważnie i dopiero wtedy wziął fotografię do ręki. Pokręcił głową. Wściekle zatrąbił klakson, a kierowca autobusu posłał wiązanekę przez otwarte okno.

- Nie znam. Ładna.
- Była ładna, dopóki ktoś nie pokłuł jej nożem.

Spojrzał na mnie przeciągle.

- A, to ta historia. Słyszałem. Ale nic więcej... To dla ciebie takie ważne?
- Ważne. Sprawa osobista.

Wyjaśniłem mu, że niewiele wiem o tej dziewczynie. Właściwie nic. Znam tylko imię i nazwisko. I że chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej. O niej samej oraz o jej znajomych. Pierwszy raz widzieliśmy się na Powązkach. Na pogrzebie kolegi. Tak, właśnie tego. A drugi raz w „Hybrydach”. Zaglądała do empiku na Nowym Świecie. Podobno. O tym, że interesowali się nią esbecy, nie wspominałem. „Monako” mógłby się zniechęcić, a tego nie chciałem.

- Rozejrzę się – powiedział wreszcie. – Ale nie wiem, co to będzie warte. Nie jestem prorokiem.

Wsunąłem mu banknot w dłoń, gdy podszedł kolejny klient.

Ruszyłem Marszałkowską. Po prawdzie zrobiłem tylko kilka kroków, wpatrywałem się w taflę pawilonu „Cepelii”, a w głowie pobrzmiwało ostatnie zdanie, które powiedział „Monako”. Uderzyłem się dłonią w czoło. No jasne. Może i on nie jest prorokiem. Ale kto opowiedział mi o tym, że zginie dziewczyna, a potem wskazał zakonnice! Skoro widział tyle tym swoim jednym okiem, może będzie w stanie zobaczyć jeszcze coś więcej. Nie czekałem na tramwaj ani autobus. Przyspieszyłem kroku i niemal biegiem dotarłem na plac Zbawiciela.

Już z oddali widziałem, że coś się stało. Kwaziego nie było. Ani dywanika. Stałem bezradnie pod kościołem i rozglądałem się. Otarłem pot z czoła i podszedłem do kwiaciarki.

- Nie wie pani, gdzie Dziadek? Coś się z nim stało?
- To pan nie wie? – zdziwiła się. – Pobili go. Wczoraj.
- Kto go pobił?
- A kto to wie? – Wzruszyła ramionami i poprawiła sweter. – Zabrali mu to pudełko z pieniędzmi.

Nawet ten dywanik, na którym siedział. Jak tak można...

- A co z nim?

– Podobno leży w szpitalu. Dycha, ale nie wiadomo, czy przeżyje. Słyszałam, że lekarz kręcił głową...

Przyjrzała mi się uważnie.

– A pan to zdaje się często z nim rozmawiał, prawda? To pan tu przychodził z takim wielkim instrumentem?

- To ja.

– Szkoda chłopca – westchnęła. – Zawsze weselej było. To może chociaż kwiatek pan kupi. Dla pięknej pani.

Rozłożyłem ręce.

– Nie mam dla kogo. Mam pecha do kobiet.

Ale i tak kupiłem tulipana. Mur kościoła dawał cień i chwilę wytchnienia. Kwiat położyłem tam, gdzie zwykle siedział Kwazi.

23.

Tego wieczoru byliśmy prawdziwym Kornetem Olemana. Przynajmniej przez pierwszych dwadzieścia minut. Może dlatego, że nieczęsto wpuszczano nas z takim repertuarem, a może ze względu na to, że graliśmy z nowym perkusistą. Była w nas energia, która oświetliłaby Warszawę, a i jeszcze zmiotła z ringu Muhammada Alego razem z Pietrzykowskim. „Młody”, tak, prawda, niezbyt wymyślnie ochrzciliśmy naszego bębniarza, miał w ogóle dobry tydzień. Prawdziwe szczęście, że wykręcił się od służby wojskowej. Pobór dotyczył wielu kolegów, zawsze wtedy z zazdrością patrzyli na mnie, mówili, że mam to z głowy, a swoją drogą, jak to było za moich czasów i jakie mam wspomnienia z woja, bo pewnie musiałem przez nie przejść... Mruczałem, że nie ma kwestii, nuda, lub coś podobnego, byle tylko się odczepili. Jednym udawało się zmylić komisję poborową i wychodzili z tego starcia zwycięsko, z innymi zegnaliśmy się na dłużej. Kilku nigdy nie wróciło.

Tym razem atak padaczki, zaprezentowany przez naszego perkusistę, poprzedziły żmudne próby. Nie uczestniczyłem w nich i sam tego nie widziałem, opowiadano mi tylko, że „Młody” nagle stawiał oczy w słupek, sztywniał, padał jak kłoda na ziemię, dostawał drgawek, dusił się, raz, dla większego efektu, popuścił w spodnie, i ten sam numer, z wykorzystaniem całej skali efektów, zaprezentował przed lekarzami i wojskowymi. Dzień po wszystkim, gdy był nieco zrobiony, przypadkiem spotkał na mieście jednego z tych wojskowych medyków. „To jaką muzykę pan gra?”, doktor zapytał kwaśno. „Dżez”, beknął tamtemu w twarz. „Dżezmeni zawsze idą w padakę”.

Ale na scenie padaki nie było. „Młody” opowiadał, że jeszcze niedawno, żeby wejść do klubu, pożyczał od siostry kredkę do oczu, rysował sobie delikatny wąs i zakładał przeciwsłoneczne okulary. A teraz zasuwał z nami na całego. Grał, aż dymiło na porządnym czeskim zestawie, prezencie od ciotki, która handlowała kozuchami na Różycu. Pamiętam, że Julia, ledwo co się poznaliśmy, zapytała, dlaczego polscy dżezmeni, w przeciwieństwie do Murzynów, są na scenie zawsze tacy poważni i sztywni, jakby kij połknęli. Czujecie, że gracie gorzej, i to dlatego? Niezupełnie, kotku. Bo jest tak, moja droga, że polska publiczność tylko czeka, kiedy się wykrzaczysz, pomylisz, zgubisz, zwyczajnie, nazywając rzecz po imieniu, się wypierdolisz, i dopiero wtedy ci melomani odczuwają pełną satysfakcję.

Więc dzisiaj my, Kornet Olemana, tylko we trzech, sekcja i saksjusz, z mściwą radością patrzyliśmy, jak słuchacze cierpią przy kakofonii i naszym sajgonie, który im zgotowaliśmy. „Słuchacze” to zresztą określenie nieco na wyrost. Na sali było kilkanaście osób, widziałem, że przyszedł ten dziennikarz, Kaczka, usiadł nawet przy najbliższym stoliku, próbował palcami wystukiwać rytm, ale o jakim rytmie tu mówić, szybko więc zrezygnował, palił wysepionego papierosa i popijał wino. Od czasu do czasu ktoś przemknął i zajrzał do środka, ale bardziej z ciekawości, raczej tak jak w cyrku oglądało się karła, babę z brodą, połykacza ognia i dziecko chore na elephantiasis. A my, niezrażeni, robiliśmy swoje i dawaliśmy czadu.

Saksjusz wydobywał najbardziej niedostępne alikwoty, piszczał, atonalnymi frazami wzniecał pożar, „Młody” walił w bębny, jakby brał udział w orgiastycznym rytuale w samym sercu dżungli, ja

z kolei stawiałem rękę na gryfie tam, gdzie bozia dała, i jazgotałem przy pomocy smyczka. Owszem, graliśmy tematy, *Lonely Woman* na przykład, ale robiliśmy to tak, żeby były wygięte, poszarpane, okaleczone. Jakby odnaleziono je po katastrofie lotniczej. Nasza muzyka była stawianiem mostów pozbawionych przęsła, drogą donikąd, torami kończącymi się zniemacka i nagle, po dwudziestu minutach, a może trzech kwadransach, wszystko ucichło, przeszliśmy do *Alone Together*, nieśmiertelnego standardu Schwartza, zaczął się swing, mój bas pulsował, a saksofon sadził piękne, czytelne frazy, mięsiste jak u Colemana Hawkinsa i lepkie od miodu jak u Dextera Gordona.

Siedzieliśmy przy stole razem z Kaczką, który jak zwykle brylował i opowiadał anegdoty z życia dziennikarskiego, gdy podszedł jeden z kierowników klubu. Tu zawsze roilo się od działaczy, kaowców i pomniejszych oficjeli, ten akurat był w porządku, przysiadł się i spojrzał na mnie.

– Wienio tu był. Pytał o ciebie.

– O mnie? – zdziwiłem się.

– Ma u nas grać, omawialiśmy szczegóły, ale głównie o ciebie dopytywał.

– Może chce, żebyśmy zagrali razem? Zdarzało się już nam.

Pokręcił głową.

– Chyba nie o to chodziło. Ma grać solo. Ale mówił, że to bardzo ważne, że koniecznie musi z tobą porozmawiać i żebym ci to powiedział.

– Kiedy ma grać?

– Za cztery dni.

Kaczka roześmiał się od ucha do ucha, kończąc jakąś pieprzną historię, a kaowiec odciągnął mnie na stronę.

– W ogóle bardzo popularny ostatnio się stałeś. Milicja wypytywała też o ciebie. I o jakąś dziewczynę. Nie wiedziałem...

Uspokoilem go. Nic poważnego. Jeśli można tak powiedzieć o nocy, która zakończyła się ciosami noża i śmiercią. W każdym razie wyrazy współczucia są zbędne. Po prostu fatalny zbieg okoliczności. Poza tym byłem już przesłuchiwany. I jak widać, chodzę na powietrzu i bez bransoletek.

Miałem podwózkę do domu, ale starawy citroen rozkraczył się nieopodal Dworca Wschodniego. Przepchaliśmy samochód na chodnik, niefortunemu kierowcy poradziłem, żeby wziął wolne i od rana zajął się autem, bo po południu zostaną z niego szczątki, a wymontowanymi częściami pożywią się pobliskie warsztaty, i ruszyłem z buta. Dochodziła północ, szedłem Markowską, zbliżałem się do Żąbkowskiej i wtedy go zobaczyłem. Stał przy murze, z rękami wzniesionymi jak do modlitwy, tyle że w jednej trzymał butelkę po winie. Chwiał się, szlochał, trudno było zrozumieć, co tam gadał do ściany, ale fraza „wróc, no wróc już” powtórzyła się kilkakrotnie.

Chciałem go ominąć, ale zobaczył mnie.

– No patrz – powiedział – nie chce wrócić do mnie.

– Kto?

– Moja stara.

A potem, ocierając łzy, opowiedział, co się stało. Bożena, Bożena jej na imię, pracowała w sklepie mięsnym. Zarobki liche, widoki żadne, człowiek spogląda na wiszącą łopatkę, kiełbasę albo ostatnio coraz częściej puste haki, cni mu się, myśli przychodzą do głowy różne i jedna taka ją kiedyś naszła.

Postanowiła dorobić. I gdy ktoś kupował towar, wbijała w niego gwóźdź, ale nie papiaka, tylko o, taki, solidny, kilkucalowy, a czasem nawet dwa, kładła to na wagę, a później, kiedy odwrócona zawijała w papier, usuwała żelastwo ze środka. Deko do deka, w rok uzbierał się kawałek grosza, zaradna dziewczucha, bez dwóch zdań, tylko trochę roztargniona, bo nie wiadomo, o czym wtedy myślała, może o nowych rajstopach, potańcówce albo czym, traf chciał, że zapomniała o gwoździu, i facet zadławił się kiełbasą. Poszło mu na śmierć.

– I Bożena teraz siedzi, a ja stoję tu codziennie, proszę, błagam, płaczę, żeby już wyszła, żeby ją puścili... I nic.

Pomylił adresy, pomieszało mu się, ale nie powiedziałem tego na głos. Spojrzałem na mur, za którym znajdował się warsztat samochodowy.

– To jakieś skrzypce? – zainteresował się instrumentem. – Nie, to nie mogą być skrzypce – sam sobie udzielił odpowiedzi. – Za duże.

– Bo to są duże skrzypce.

Ożywił się nagle.

– To może gdybyśmy jej coś zaśpiewali, toby ją puścili? A przynajmniej jej będzie rażniej.

Wymówiłem się późną porą i ciszą nocną. Obiecałem natomiast, że napiszę utwór. Będzie miał tytuł *Wróc, no wróc już*. Będzie o prawdziwej miłości. I wcale nie żartowałem. Kiedyś to zrobię.

Brzeską, Ząbkowską i Różyca, najgorszy odcinek „trójkąta bermudzkiego”, miałem za plecami, byłem już całkiem blisko Dworca Wileńskiego, skręciłem w lewo, gdy usłyszałem jęk, przyspieszone oddechy i jedyny dźwięk w swoim rodzaju, gdy buty kopią leżące ciało. Chciałem się wycofać, ale było za późno. Na dodatek ze skorupą na plecach bardzo nieporęcznie.

W mroku majaczyły cztery postaci. Wpatrywały się we mnie. Wyglądali jak Śpiący z pomnika. Tyle że nie spali. Piąta sylwetka, skulona, leżała na chodniku.

– Masz dzisiaj fart, kolego – powiedział wreszcie jeden z chłopaków. Podszedł bliżej.

Moje oczy przyzwyczajały się do ciemności. Żadna z latarni tu nie świeciła. Przedemną stał puciołowaty byczek w marynarce, z fryzurą na amerykańskiego rekruta. Obszedł mnie, jak drapieżnik przygotowujący się do skoku. Stałem bez ruchu po tym, jak zdjąłem skorupę.

– A wiesz, dlaczego masz fart? – zapytał. – Bo sprzedam ci skórzaną kurtkę. – Wskazał na leżącego. – Trochę pocięta na plecach, ale całkiem w dechę, co?

Zaśmiał się, a jego kompani zawtórowali. Dwóch miało na sobie wiatrówki, a jeden dres, jakby wyszedł prosto z treningu.

– Sprzedam ci za stówę. Co ty na to?

Milczałem.

– Co? Za drogo? Mogę spuścić do ośmiu dych, ale osiem dych to prawie stówka, więc co za różnica? Poza tym równy rachunek. Więc za stówkę.

Poklepał mnie po ramieniu.

Napreżyłem mięśnie.

– No to wyskakuj z kasy, dziadek. A poza tym, co tam masz w tym pudle? Instrument? Ile to warte? Więc stówka plus te skrzyпки, co?

Nabrałem powietrza w płuca. I wtedy rozległ się gwizd. Nie taki zwykły, ale charakterystyczny, przeciągły i wysoki. Takim skrzykują się u nas na Wileńskiej. Od Targowej ktoś biegł. Nie były to

pojedyncze kroki.

– „Piękny”, chodu! – wrzasnął któryś z chłopaków.

Amerykański rekrut spojrział na mnie, przez chwilę się wahał, potem dał znak ręką i we czterech pognali Białostocką. A do mnie, już wolniejszym krokiem, podeszło sześciu innych, tego, który siedł na przedzie, dobrze znałem.

– Na szczęście jeden z naszych pana widział. Po tym kontrabasie na plecach poznał.

Uśmiechnął się.

Starszy syn pana Henia, pechowego ostatnio właściciela warszawy, przyglądał mi się uważnie. Wołali na niego „Cyngiel”, trochę dziwiłem się i nie wiedziałem dlaczego, ale teraz co nieco się wyjaśniło. Najwyraźniej zarywał noce nie tylko przy zeszytach i książkach. Nagle poczułem się tak, jakby kontrabas był z ołowiu. Jego ciężar wgniatał mnie w chodnik. Poczułem się bardzo zmęczony. Zdjąłem instrument z pleców.

– Nic panu nie zrobili?

– Nie.

– Dlaczego nie wzywał pan pomocy?

Wzruszyłem ramionami.

– Po co? Najwyżej by mnie zabili.

Pokręcił głową.

– Duży charakterniak z pana.

– A ci koledzy? – Tym razem ja zapytałem. – Wszyscy z technikum samochodowego?

– Nie. Ale dobrze znają się na wozach.

Roześmiali się wszyscy. Z wyjątkiem tego leżącego. Jeden z chłopaków pochylił się i obejrzał go fachowo.

– Skroili mu garba. No i twarz żyłkami. Ale będzie żył. Albo nie będzie.

– Jak wyglądali? – zapytał „Cyngiel”.

– Czterech frajerów – odpowiedziałem. – Na tego głównego zdaje się, że wołają „Piękny”.

Przykładowy uczeń technikum samochodowego się skrzywił.

– Taki jeden z Szembeka. Ale słyszeliśmy, że kręci się tu i przyjeżdża na występy. To co, panie sąsiad? Pryskamy stąd, bo jeszcze dym się robi.

Jeden z chłopaków zaoferował, że poniesie kontrabas. Wzbraniałem się, ale całkiem fachowo zarzucił go na plecy.

– A ten? – Spojrzałem na ciało na chodniku. – Co z nim?

– Poradzi sobie – odpowiedział „Cyngiel”.

– Panie starszy, co my jesteśmy, Niewidzialna Ręka? – rzucił któryś. – Pana też mamy ponieść?

Przekonali mnie. Ruszyliśmy truchtem. Minęliśmy budkę piwną pana Kazia i Czterech Śpiących. Rozstaliśmy się na rogu Wileńskiej. Wdrapywałem się po schodach, nogi miałem jak z waty. Umyłem twarz zimną wodą, napiłem się z kranu. W lodówce stał słoik z flakami i chłodziła się butelka wódki. Nalałem do musztardówki i wychyliłem duszkiem. A potem, z pustym szkłem w ręku, usiadłem na łóżku. Dopiero wtedy napięcie opadło. Wpatrywałem się w ścianę.

To nie może tak być.

Jutro czeka mnie spotkanie, którego wolałbym uniknąć. Ale tak widać było pisane. Dźwignąłem

się jeszcze raz, poszedłem do kuchni i nalałem do końca. Znow klapnąłem na łóżko. Dlaczego? Dlaczego musiałaś wtedy przyjść na pogrzeb? A w ogóle skąd się tam wzięłaś? Zresztą jakie to ma teraz znaczenie. Ważne jest, że nie żyjesz, a ja tamtej nocy, przez ułamek sekundy, z pewnością nie trwało to dłużej, bo na więcej bym sobie nie pozwolił, pomyślałem coś niedorzecznego, jakbym znow miał dwadzieścia lat i zapomniał o wszystkim, co się zdarzyło w moim życiu.

Przez tę chwilę byłem czysty.

Ale taki nie jestem.

Dlatego jutro pójde tam, gdzie muszę pójść.

To nie może być tak.

„Wróć, no wróć już”.

Czułem narastającą złość. Dopilem, a później cisnąłem musztardówką w ścianę. Szkło rozprysło się na kawałki, jutro będę sprzątał i żałował, ale to będzie jutro. Sąsiadka z dołu zastukała w sufit. Miałem to gdzieś.

– Ktoś tu musi trzymać fason – krzyknąłem na cały głos.

Niech wszyscy mnie usłyszą.

– Ktoś tu musi trzymać fason – szeptałem do siebie, już leżąc w łóżku.

Z tą myślą pijany zasnąłem.

Męża nie ma. Ale zaraz wróci. Poszedł po pieczywo. Coś się stało? – W jej głosie dało się wyczuć niepokój.

„Królik” poprawił mundur żandarma i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zapewnił, że to nic poważnego, zwykła rozmowa, sprawdzenie kilku informacji. Z pokoju dobiegł płacz dziecka. Poprowadziła nas do kuchni, na chwilę przeprosiła, a potem wróciła, kołysząc niemowlę na rękach. Dziecko uspokoiło się, popijaliśmy herbatę i czekaliśmy na mężczyznę. Gdy przyszedł, obrzucił nas spojrzeniem, chciał coś powiedzieć, ale „Królik” wyprowadził go do pokoju. Kobieta opowiadała o chłopczyku, o tym, że często choruje, a lekarstwa kosztują, nasłuchiwałem, co dzieje się obok, ale tam zaległa cisza. Po kilku minutach „Królik” wrócił. Odciągnął mnie na bok.

– Nie mogę – szepnął. – Jak rany Chrystusa. To chyba przez tę jego starą i płaczące dziecko. – Popatrzył mi w oczy. Czułem jego kwaśny oddech. – Ty to zrób.

Poszedłem do pokoju i wyjąłem parabellum. Chciał krzyknąć, uderzyłem go kolbą w twarz i zakrwawiony padł na kolana.

Odczytałem wyrok. Głos mi drżał i ręka też.

– Proszę nas zrozumieć – szepnąłem.

Potem nacisnąłem spust.

Zostawiliśmy kobiecie nasz żołd. Żeby miała na pochówek. To był pierwszy wyrok, który wykonałem. I jedyny raz, kiedy tłumaczyłem się przed skazańcem.

Byłem w grupie, która rozpracowywała delikwenta. Sporządzałem rozkład jego zajęć, poznawałem zwyczaje, wiedziałem, o której godzinie wraca do domu i jaką zwykle wybiera drogę. Gdzie się zatrzymuje i czy kupuje gazetę. Tu nie było miejsca na skuchę. Od rozpoznania zależało życie moich kolegów. A potem, gdy zginęło kilku naszych, wzięli mnie do innej roboty. Zabijałem konfidentów, folksdojczów i agentów. Wiosną czterdziestego trzeciego przyszła decyzja, żeby likwidować szmalcowników. Najczęściej zabijałem strzałem w głowę. Jak pracownika odlewni, który został zwolniony, a potem z zemsty doniósł na swojego szefa. Jak piekarza, który po odczytaniu wyroku poprosił o chwilę na modlitwę. Nie wiem, ilu w sumie zabiłem. Nie prowadziłem takiej buchalterii. Na co to komu?

Ale czasami trzeba było stosować inne metody. Lekarza zabiliśmy w gabinecie, gdy w poczekalni kłębiła się kolejka. Udusiliśmy go paskiem od spodni. „Pan doktor potrzebuje dziesięć minut przerwy. Jest zmęczony. Sam poprosi następną osobę”, powiedzieliśmy pacjentom, gdy już było po wszystkim. Udusiliśmy też puszczalską aktorkę. Mieszkała w szwabskiej dzielnicy, baliśmy się odwetu i represji ze strony Niemców, upozorowaliśmy więc bandycki napad i splądrowaliśmy jej mieszkanie. Pewnego konfidenta zmusiliśmy do połknięcia cyjanku. Przed śmiercią kazaliśmy mu napisać kartkę, że wyjeżdża w pilnej sprawie. Zakopaliśmy trupa w ogrodzie. Chyba nikt nie odnalazł ciała do końca wojny.

Był październikowy wieczór, wpół do siódmej, gdy wdarliśmy się do baru „Za Kotarą” na Mazowieckiej. Strzelaliśmy na oślep do wszystkiego, co się rusza i co się ruszać właśnie przestało.

Wyprułem cały magazynek thompsona, szkło i stoliki rozsypały się w drobny mak, wszędzie była krew. Zabiliśmy trochę szumowin i kilkoro niewinnych ludzi, którzy zwyczajnie mieli pecha. Najważniejsze, że dopadliśmy tego skurwiela Staszauera, przez którego tyłu naszych zginęło.

Najtrudniej było z „Szatanem”. Był konfidentem gestapo, bardzo się pilnował, jego mieszkanie było obstawione, a poza tym miał fart, bo jak inaczej przeżyłby siedem zamachów. Raz chłopakowi zacięła się broń, a „Szatan” położył go pierwszym strzałem. Innym razem uratowała go kamizelka kuloodporna, padł, udawał trupa, a egzekutor nie miał czasu, żeby sprawdzić, czy żyje. Ale do ośmiu razy sztuka. Dopadliśmy go w restauracji. Podszedłem do niego w stroju kelnera, pod tacą miałem przygotowany pistolet, władowałem mu trzy kule w głowę. „Królik” ubezpieczał wyjście od zaplecza. Tu liczyła się pewnośc i efekt zaskoczenia. Zanim biesiadnicy podnieśli głowy znad talerzy i sięgnęli po broń, już nas nie było.

Po usłyszeniu wyroku reagowali różnie. Jedni płakali, inni zaczęli krzyczeć i trzeba było ich uciszać, byli tacy, co srali i sikali ze strachu albo pokazywali zdjęcia dzieci. Nasi też zachowywali się rozmaicie. Widziałem, że są wśród nas tacy, którzy przy okazji mścili się na całym świecie i zabijając, wyrównywali inne rachunki. Jednemu zabijanie sprawiało sadystyczną przyjemność. Przyjmował zakłady, czy mózg przy kolejnej robocie obryzga ścianę, czy nie. Niczym nie różnił się od panów życia i śmierci, którzy wkroczyli w trzydziestym dziewiątym. Był tylko po drugiej stronie barykady. Trafił się też taki bardzo wierzący. Przed akcją zawsze prosił księdza o dyspensę. Składał śluby, tydzień czystości w myślach i uczynkach, jeśli kolejny raz wszystko pójdzie. Zginął podczas strzelaniny w czterdziestym trzecim. Nigdy tych chłopaków nie oceniałem. Nie chciałem, żeby któryś z nich mnie osądzał. Najbardziej lubiłem pracować z „Królikiem”. Konkretny, skupiony na robocie. Nie panikował i nie pękał. Z wyjątkiem tamtego jednego razu.

Minąłem Równą i doszedłem do Stalowej. Spojrzałem na zegarek. Dziesiąta. Za Szwedzką zaczynał się ostatni odcinek ulicy, nierównego klepiska właściwie, z rachitycznymi, zapuszczonymi drewnianymi domkami, rozwalonymi, zmurszałymi płotami i ruderami. Odpędziłem psa, który próbował mnie ugryźć. Umorusany chłopczyk bawił się fajerką na patyku. Trzy dziewczynki kłóciły się zawzięcie. „Teraz ty będziesz Żydówką”. „Nieprawda, teraz twoja kolej”. Minąłem szyld informujący o naprawie zegarków, taksometrów i szybkościomierzy, a potem zobaczyłem kolejny, „Naprawa radiodbiorników i telewizorów”, wypisany koślawymi literami. Deski i metalowa sztaba stały oparte o ścianę. Dawniej „Królik” zajmował się tylko odbiornikami radiowymi, ale gdy pojawiły się aparaty telewizyjne, bardzo pożądane i bardzo zawodne, wyczuł interes, do południa przyjmował zamówienia, a potem ruszał na obchód z wielką walizą pełną lutownic, lamp, świec, kabli i wszelkiego podobnego ustrojstwa.

Wszedłem bez pukania. Dłubał przy kineskopie, a gdy mnie zobaczył, wytarł dłonie w fartuch. Przywitał się, jakbym był częstym gościem, który wpadł ze zwykłą wizytą.

Rozejrzałem się.

– Nic tu się nie zmieniło – powiedziałem.

Ostatni raz byłem u niego wiosną sześćdziesiątego trzeciego. Wcześniej w grudniu pięćdziesiątego ósmego. Dwa razy widziałem, jak szedł z tą swoją walizą.

Burknął coś pod nosem.

Powiedziałem mu, czego potrzebuję. Bez słowa wyszedł z warsztatu i wrócił po kilku minutach. W rękę trzymał zawiniątko. Zaciągnął zasłony, które chyba nigdy nie były prane. W pomieszczeniu zapadł mrok. „Królik” zapalił lampkę i rozwinął szmatę.

– Co to jest? – zapytałem, wpatrując się dłuższą chwilę w jakiś pistolet. Był o wiele mniejszy od tetetki. – To na komary?

– P-64. Najnowszy nasz wynalazek. I nie na komary. Dziewięć milimetrów. Sześć nabojów w magazynku. Trzeba iść z duchem czasu.

Wziąłem broń do ręki. Ostatni palec wystawał poza rękojeść. Pistolet wyglądał jak zabawka. Jak można czymś takim strzelać?

– Nie muszę iść z duchem czasu. Nie masz czegoś starszego? Bardziej sprawdzonego?

Nie miał. Wyjaśnił mi, że P-64 działa trochę inaczej niż tetetka. Tu nie odwodzi się kurka, jest za to bezpiecznik z boku, trzeba go przesunąć z pionu do pozycji poziomej, pojawia się wtedy czerwony punkt, a reszta po staremu. Podłączył magazynek, przeładował broń. Poza tym poręczny. W kieszeni spodni mieści się idealnie, za paskiem nie uwiera. Dobrze to wymyślili.

– Może warto gdzieś poćwiczyć? – zaproponował, widząc moją sceptyczną minę.

– Pójdę postrzelać do Łazienek. Jest czysty?

Popatrzył na mnie z urazą.

– Grot igliczny wytarty jak trzeba. Jest nie do namierzenia. Czyściutki jak dziewica.

Położyłem na stoliku zwitek banknotów. „Królik” wzbraniał się, nie chciał przyjąć, ale obstawałem przy swoim. Powiedziałem, że oddam broń. I że mam nadzieję, że to nastąpi szybko.

Podrapał się w głowę.

– Jak chcesz, zatrzymaj go. Kiedyś... no po prostu może jeszcze się przydać, przyjdiesz w potrzebie, a mnie już nie będzie.

Okazało się, że choruje. Niewydolność nerek. Lekarz powiedział, że to poważna sprawa. Naprawą telewizorów też się mniej zajmuje, głównie na miejscu, bo nie daje rady dźwigać swojego majdanu. Rzeczywiście, dopiero wtedy dostrzegłem, że „Królik” zmarniał, włosy miał jakby przerzedzone, a pod oczami sińce.

– A jednak ci go odniosę. – Wyszedłem, schowawszy pistolet do kieszeni. Fakt, nosiło się go wygodnie.

Ukryłem broń w kuchni, za talerzami, i pojechałem do Śródmieścia. Długo pukałem, nasłuchiwałem, myślałem, że śpi, ale Wienio nie otworzył. Uchyliły się natomiast drzwi po sąsiedzku.

– Pan do tego muzyka? – Mężczyzna pewnie wstał od stołu. W rękę trzymał łyżkę.

Przytaknąłem.

– Nie ma go. Mówił, że wyjeżdża. Do Krakowa.

– Proszę mu powiedzieć, że był Tadeusz. Kontrabasista.

Wróciłem do domu i przez resztę dnia próbowałem przyzwyczaić się do pistoletu. Ostatecznie z instrumentami jest podobnie. Kontrabasy różnią się przecież długością menzury, moja lewa ręka, nawykła do musimy, musi oswajać się z nowymi odległościami, gdy trafi się na inny model niż ten, na którym zwykle się gra. Normalna rzecz.

Pod wieczór mały palec, to, co kiedyś było małym palcem, nie wystawało już poza kolbę. Ręka

spasowała się z bronią. Bezpiecznik odwiódłem do pozycji poziomej i wpatrywałem się w czerwony punkt.

25.

Doktor Paweł Szulc pozował na światowca i po prawdzie już nim był. Pięć lat w Paryżu zrobiło swoje. Okrzepl, zmęźniał, no i świetnie prezentował się w marynarce koloru piaskowego, w jasnej koszuli i wściekle czerwonym krawacie z liczbą pi, tworzącym udany kontrapunkt dla reszty ubrania. Przeciwsłoneczne okulary na głowie dopełniały reszty.

– Nie myślałeś o tym, żeby stąd wyjechać? – zapytał.

Siedzieliśmy w kawiarni na Foksal. Prawie wszystkie stoliki były zajęte, a Szulc wpatrywał się w wuzetkę, którą jadła dwudziestolatka przy stoliku obok. Odkroiła widelczykiem kawałek ciastka, uniosła go do ust, a głowa matematyka zatoczyła podobny łuk. Oblizwał usta, jakby pochłaniał i wuzetkę, i apetyczną dziewczynę, a nawet widelczyk.

Odpowiedziałem, że nie, nie myślałem o wyjeździe. Po pierwsze, dokąd, po drugie, co miałbym tam robić. Własnych kontrabasistów, o wiele lepszych ode mnie, mieli na Zachodzie przecież na pęczki. Tak, to prawda, należałem do grupy uprzywilejowanej, muzycy korzystali z kancelarii paszportowej w SPATiF-ie, omijali tym samym korowody, rafy i upokarzające często formalności, na które skazani byli przy tej procedurze inni śmiertelnicy. Większość obywateli Polski Ludowej o paszporcie mogła zresztą co najwyżej pomarzyć.

Przypomniałem sobie mój pierwszy wyjazd na Zachód. Najpierw Berlin Wschodni, szcęk podkutych butów i ponure twarze wojskowych uzbrojonych po zęby. Nie przywoływało to dobrych wspomnień. Nawet pies bałby się tam merdnać ogonem. I zupełnie inny świat, który brał początek w miejscu, gdzie ten buroszary się kończył. Świat pełen neonów i gigantycznych reklam z uśmiechniętymi modelkami. Jedną z pierwszych rzeczy, którą zrobiliśmy, było pójście na seans w kinie porno. Potem jechaliśmy pociągiem, przypadkowo zatrzasnąłem się w toalecie i nie potrafiłem stamtąd wyjść. Nie wiedziałem też, jak działa dozownik do mydła. I w ogóle czułem się jak Aborygen przeniesiony niespodziewanie do miejskiej dżungli.

Niektórych kusiło, żeby zostać. Jak wtedy, gdy Trzaskower pojechał ze swoim zespołem i zrobili sobie to słynne zdjęcie z Coltrane'em i Benem Websterem. Opowiadali, że Trane nie odezwał się wtedy słowem, ale co tam, najważniejsze, że siedzieli razem przy jednym stole. I wtedy któryś z chłopaków chciał tam, w Ameryce, zostać, długo bił się z myślami, a Trzaskower błagał go, żeby tego nie robił, bo byłby szlaban na wszelkie wyjazdy, i koniec końców wrócili w komplecie. Sam nigdy takich dylematów nie miałem.

– Też zadawałem sobie takie pytanie – odpowiedział. Wzrokiem kończył pałaszować wuzetkę. – Mógłbyś pracować ze mną.

– Z tobą? Przecież kompletnie się nie znam na tych komputerach.

Przed wyjazdem Szulc pracował w Zakładach Elektronicznej Techniki Obliczeniowej na Polnej. Zajmował się racjonalizacją produkcji, godzina usług komputera kosztowała dwa i pół tysiąca, ale nie narzekali na brak chętnych. Po wyjeździe zaczepił się w wielkiej firmie telekomunikacyjnej, wdrożył nawet jakiś patent, był, jak się to mówi, człowiekiem sukcesu, ale to mu nie wystarczało.

Nachylił się nad stolikiem.

– Tu już nie chodzi o obliczenia. Pamiętasz, kiedyś ludzie pokładali nadzieję w machinach latających. W tym, że dzięki nim dotrzemy w każde miejsce. Potem były roboty, teraz są rakiety kosmiczne. Ale ja mam swój plan. – Jego oczy zaświeciły. – Pracuję nad nowym wynalazkiem... Żeby każdy w ciągu sekundy mógł skontaktować się z dowolnym człowiekiem na ziemi. Ta dziewczyna – wskazał naszą apetyczną sąsiadkę przy stoliku obok – i powiedzmy, Australijczyk, będą na wyciągnięcie ręki, jak teraz ty i ja. Dzięki komputerom granice znikną raz na zawsze. Wszyscy będą mogli się porozumieć ze sobą.

– Zapanuje powszechna szczęśliwość, a wojny przestaną wybuchać. Amen.

Słuchałem niezbyt uważnie. Zapatrzyłem się na tego, który siedział przy oknie. Duduś. Tkwił tam samotnie, zapatrzony w szybę. Dwa lata temu byłoby to nie do pomyślenia. Towarzyszyłyby mu wianuszki wielbicielek i potakiwacze zasłuchanych w każde słowo. Lubiłem go nie tyle za aktorstwo, ale dlatego, że grał na okarynie. Naprawdę robił to pięknie. Wszystko skończyło się nagle, wraz z pewnym procesem, gdy złożył obciążające zeznania. Mówiono na mieście, że podczas śledztwa go zaszczuli. Że stał się strzępem człowieka i cieniem samego siebie.

Nie tylko ja go zauważyłem.

– Popatrz – usłyszałem basowy głos za sobą. – To ten aktor? – szeptał o czymś z kompanem. – Może i za Szpota kieliszek ze spirytusem zapalisz, co? – bas odezwał się teatralnie.

Na chwilę rozmowy umilkły. Duduś musiał to usłyszeć. Skulił się w sobie, jakby chciał się ukryć przed tym głosem. Tak zwyczajnie, po ludzku, było mi go żal.

– Widzę, że nie bardzo wierzysz. – Szulc wyjął marlboro z paczki.

– To brzmi jak czysta fantazja. Piękna, ale nie ma w niej roli dla mnie.

Przypomniałem sobie piosenkę z ubiegłego roku. Zanuciłem pod nosem.

*I do Wiednia płukać kufle, do Hagi pety zbierać,
W Londynie zbijać trumny, w Paryżu drzwi otwierać.*

– To ty napisałeś? – zaciekał się. – Niezbyt wesołe.

– Nie, nie ja. A jeszcze mniej wesołe jest to, że śpiewa ją pewien kabareciarz z „Hybryd”. Bardziej słuszny niż śmieszny. W sumie nikt ciekawy. Czekał, czy to nie on wchodzi?

Mignęła mi postać bruneta. Szybko odwróciłem się plecami do wejścia. Nie chciałem, żeby mnie poznał. Przez otwarte drzwi do kawiarni na chwilę wtargnęła wiosna, wymieszała się z aromatem kawy i dymem z papierosów. Wtuliłem głowę w ramiona.

– No i poszedł sobie – powiedział Szulc.

Wyprostowałem się. Spojrzałem na paczkę marlboro.

– Słuchaj... Tak sobie pomyślałem... Nie miałeś przywieźć dla mnie z Paryża jakiegoś listu?

Widziałem, że zeszytniał i zmienił się na twarzy. Trwało to ułamek sekundy, ale wychwyciłem tę chwilę zawahania. Od razu pożałowałem. Mógł odebrać moje pytanie jako prowokację. A może po prostu miał coś do ukrycia.

– List? Jaki list? Nie wiem, o czym mówisz.

Rozluźnił się i na powrót był sobą.

– Czekam na ważny list – wyjaśniłem. Chciałem, żeby mój głos brzmiał naturalnie. – Z Paryża. Ktoś miał mi go przywieźć.

Raz jeszcze zaprzeczył. Dopiliśmy kawę, powspominaliśmy wspólnych znajomych, tych, którzy wyjechali i tych, co zostali, ale rozmowa już się nie kleiła. Pomyślałem, że tkwimy w jakimś szaleństwie. Szaleństwie sześćdziesiątego dziewiątego roku. Gdy nie wiadomo, kto jest kim i jakie ma intencje.

Pożegnalny uścisk dłoni obaj przyjęliśmy z ulgą.

26.

Ruszyłem w stronę „Polonii”. Ognistą czuprynę zobaczyłem z daleka. Pucybut tkwił na swoim stołeczku. Gdy podszedłem, wkładał szczotki do pudełka. Wyjaśnił, że dziś kończy wcześniej i że złapałem go w ostatniej chwili.

– Niewiele mam dla ciebie. Twoja Jadzia nie była zbyt rozrywkową dziewczyną. Pracowała w jakichś wydawnictwach muzycznych. To musi być nuda, nie? Ale знаła się z tym niewidomym pianistą, tym z Koszykowej. Trzy osoby ją poznały, a on charakterystyczny przecież.

– Była z Wieniem? – upewniłem się.

– Z tym samym. Parę razy widziano ich razem na ulicy. Nie wiem, czy to była bliższa znajomość, czy nie.

Wstał i złożył stołek. Jednemu z przechodniów wiatr porwał kapelusz. Nakrycie głowy zatoczyło łuk i wylądowało na środku jezdni pod kołami ciężarówki. Mężczyzna zaklął i bezradnie rozłożył ręce.

Myślałem gorączkowo. Jadwiga i Wienio. Wienio i Jadwiga. Coś stało się jaśniejsze. Czy ze względu na nią chciał się ze mną pilnie zobaczyć? Mógł usłyszeć, że wychodziliśmy z klubu razem. A potem... No właśnie. Czyżby łączył mnie z jej śmiercią? Pewnie tak. Byłem pewien, że czeka mnie rozmowa, która nie będzie należała do przyjemnych. Ani dla mnie, ani dla niego. Lepiej porozmawiać przed tym jego koncertem czy później? To, że Jadwiga znalazła się wtedy na pogrzebie, na Powązkach, także nabrało sensu.

Oddał mi zdjęcie dziewczyny.

– Pomyślałem, że może zechcesz zatrzymać.

„Monako” bywał sentymentalny.

– Może zechcę. Słuchaj, jest jeszcze jedna sprawa.

Zapytałem, czy wie, kto załatwił Kwaziego. Tak, tego ze Zbawiciela. Poprosiłem, żeby spróbował się dowiedzieć. Dlaczego mnie to interesuje? Bo lubię rozmowy o życiu. A z Kwazim zawsze dobrze się rozmawia. Klepnąłem „Monako” w ramię. Z tobą też. To co? Załatwione? Znakomicie.

Mniej szczęścia miałem w Pałacu Mostowskich. Podszedłem do dyżurnego milicjanta, przedstawiłem się, powiedziałem, że muszę do majora Filipskiego. Nazwisko oficera zrobiło wrażenie, facet gdzieś zadzwonił, potem wykonał jeszcze jeden telefon i kazał mi czekać. Skuty kajdankami zakapior, którego prowadzili na górę, zerknął na mnie krzywo. Roztrzęsiona kobieta szukała psa. Domagała się wysłania wszystkich radiowozów na poszukiwania. Raz milicjant poderwał się i zasalutował. Telefon terkotał nieprzyjaźnie.

Minęło półtorej godziny, gdy zszedł Filipski. Miał na sobie ortalion. Przechadzaliśmy się dobrze znanymi ścieżkami Ogrodu Saskiego. Żwir chrząścił pod butami, wdychaliśmy rześkie powietrze i żaden z nas nie chciał zacząć rozmowy. Przy kwietniku z begoniami trwały prace.

– Nie ma żadnego naśladowcy – powiedziałem, gdy minęliśmy ogrodników. – Nikt nie naśladuje Karola Kota. Prawda? Przygotowałeś tę historyjkę specjalnie dla mnie.

Westchnął.

– Wiedziałem, że nie odpuścisz – odparł. – Jak na to wpadłeś?

Opowiedziałem o przedpołudniu spędzonym w bibliotece. O kartkach powyrywanych z „Echa Krakowa”. Także o tym, że gazetę ostatnio wypożyczała ta sama osoba. Podałem imię i nazwisko zamordowanej studentki.

– Tak, to ona – potwierdził niechętnie. – Chciała pisać pracę semestralną o reportażach sądowych. Zdecydowała się na tego Kota. A że nie chciało się jej przepisywać, wydarła kilka kartek. Jedną z nich miała przy sobie, gdy znaleziono ciało.

– Macie podejrzanego? – zapytałem.

Mieli. Były chłopak, chorobliwie zazdrosny. Który nie pogodził się z rozstaniem. Trudno o bardziej banalny przypadek.

– A ta kartka w kieszeni Jadwigi Ślusarek? Co ona oznacza?

Pokręcił głową.

– Nie wiemy. Ale porównaliśmy próbki pisma. Z całą pewnością napisała ją sama. To jej charakter. Kartka raczej nie ma związku z zabójstwem.

– A pogrzeb? Znasz datę pogrzebu?

Przystanął. Wycelował we mnie palec.

– Nie mieszaj się do tego. Siostra zabiera ciało do Wielkopolski. Nie utrzymywały kontaktu, ale tam mają grób rodzinny. Tyle mogę ci powiedzieć. Na pogrzebie będzie nasz człowiek, przyjrzy się wszystkiemu, ale na wiele nie liczę. A ty nie licz na nic.

A zatem ta szansa przepadła. Spodziewałem się, że może w ponurych okolicznościach pogrzebowych dowiem się czegoś o jej znajomych. Że przy grobie pojawi się ktoś, kto pomoże rozwiązać sprawę. Opowiedziałem Filipskiemu, co wiem, a nie było tego dużo. Spotykała się z Wieniem. Wiedzieli już o tym. Przepytali koleżanki i kolegów z pracy. Podobno pomagała niewidomemu pianście zapisywać utwory. Tak, wiemy, że wyjechał, byliśmy u niego. Koncertuje w Krakowie, gdy tylko wróci, zostanie przesłuchany. Bardzo trudno wyobrazić sobie, żeby niewidomy pianista zaczął się z nożem na klatce schodowej, ale nie takie rzeczy się już zdarzały. Tak czy inaczej te trzy zabójstwa, studentki, zakonnicy i Jadwigi nie są ze sobą powiązane.

– Ten esbek... Ciągłe się dopytuje?

– Owszem, dzwoni. Ale teraz ja mam do ciebie pytanie. Znasz Andrzeja Sycza?

– Tego pisarza? Takiego z nieciekawą facjatą?

– Tego samego.

Powiedziałem, że czasami przychodzi do „Hybryd”. Ale raczej rzadko. Chociaż ostatnio był. Właśnie razem z Wieniem. Trochę dziwak z niego. Z błyskiem szaleństwa w oku. Major ożywił się nagle. Spojrzał na zegarek. Oznajmił, że musi wracać.

Miał mocny uścisk. Przytrzymał moją rękę nieco dłużej.

– Mamy rok sześćdziesiąty dziewiąty – rzekł Filipski. Zabrzmiało to jak rada, ale też ostrzeżenie. – Weź to pod uwagę.

– Doskonale wiem, który mamy rok. – Rozejrzałem się wokoło. – Trudno nie zauważyć.

Dziś spaliłem notatki, kartka po kartce, systematycznie, nie tak jak Gogol, nie od razu całość, nie łapczywie do pieca, tylko w misce, strona po stronie, ogień cierpliwy, pożerał papier, jadł atrament, uznałem, że tak lepiej, bezpieczniej, bo jeśli przyjdą znowu, mogą zabrać, się wczytać, źle zrozumieć, bo jak to rozumieć i kto, no kto poza mną, cokolwiek zrozumie, oni notatki potraktują jako dowód, więc dym, dym okadzał nore, atrapę nory, ciche misterium trwało, bez słów, tylko jęzor ognia, ciche, bo starucha nie ma, zabrali go gdzieś, nie wiem nawet gdzie, ale gruźliczy kaszel nie przeszkadza teraz, tylko się boję, że przyjdą znów po mnie, nawet nie zapytają o nazwisko, już mnie znają, to ten potwór z krzywą gębą, czegoś będą szukać, zabiorą wszystkie noże, będą je badać, przetrzymają dwa dni, nie powiem, moja twarz budziła respekt, nikt mnie nigdy nie zaczepiał, ani pijak, ani chuligan, ani żebrak, potem znowu zapytają, co robiłem wtedy a wtedy, a ja, że nie pamiętam dokładnie, ale chyba miałem gorączkę, bolała mnie głowa, zawsze mam gorączkę i boli mnie głowa, żaden ze mnie okaz zdrowia, żaden Konwicki na placu Trzech Krzyży, bardziej Zawieyski, ale mimo to pracuję, bo jestem pisarzem, to zresztą prawda, mieszkanie pracy twórczej przyznali, piszę nową powieść, tytuł zostanie, tak, ale tylko tytuł, bo reszta całkiem inna, nowy pomysł, który pojawił się przypadkiem, na to oni, żebym do rzeczy, więc ja, że nic nie pamiętam, ale na pewno pracowałem, zresztą skąd można pamiętać, co się robiło, wtedy uśmiechną się przebiegle, przyprowadzą kobietę, tym razem inną, ustawią mnie w rzędzie z sześcioma, ona wyciągnie palec, niezawodnie wskaże, to ten, ten potwór z krzywą gębą, on za mną chodził, nie wiem, czego chciał, tak, jestem pewna, to on, znów będą mnie pytać, pytać o wszystko, a ja swoje, wtedy wyjmą zdjęcia, jeszcze raz pokażą, a na jednym będzie ona, ładna dość nawet, co ją u Wiena widziałem, mam pamięć do twarzy, nie myślę się nigdy, tak, to ona, ale nic nie powiem, nie dam poznać po sobie, wtedy też nie dałem, zresztą do Wiena trzeba by raz jeszcze, bo jak puścili, to poszedłem, ale go nie było, wyjechał, sąsiad, taki gruby, wyrzał, żuł coś w ustach, grał telewizor, ale usłyszał pukanie, poznał mnie, on miły nawet, mówił, że jak nikt, to nikt, a ledwo wyjechał, to przyszedł pan Tadek, mówił, że kontrabasista, a ja wiem, który to, ale milczę, i że milicja nawet była, zaczynam drzeć, ale tego nie okazuję, a tak w ogóle nie wie pan, w jakiej sprawie, ja, że nie wiem, chociaż wiem, wiem bardzo dobrze, i dlatego musimy się rozmówić, koniecznie muszę z Wieniem porozmawiać, tym ślepym pianistą o niewinnej twarzy, którego oczy nie są takie ślepe i widzą więcej, którego twarz nie jest tak chłopięco bezbronna, jak się zdaje, więc trzeba pójść tam jeszcze raz, ale zanim to nastąpi, będę pisać i będzie w tym miłość, koniecznie smutna, zresztą jak inaczej, ale o smutnej się wszystkim spodoba, miłość i śmierć, to zresztą się łączy, podoba jeszcze bardziej, jak *Wojna i pokój*, a zrządził przypadek, zwykły los, bo wziąłem encyklopedię z najwyższej półki, mam tylko jeden tom, ósmy, znalazłem go na śmietniku, swoją drogą, kto wyrzuca encyklopedię, bo ja wtedy z resztkami ryby owiniętymi w papier, więc wziąłem, otwieram czasem ten ósmy tom, na chybił trafił, przypatruję się słowom, nazwa cmentarza, czarne litery pod grzybem, te książki zagrzybione, chyba wszystkie, ani jednej zdrowej, grzyb zżera słowa, nie ma na to sposobu, czuję ten zapach, oczy łzawią, a w mózg wwierca się świder, ogromny świder, kręci moimi myślami jak zabawkowym

bąkiem, sam czasami wiruję, drzę, unoszę się nad ziemią, ale tylko kilka centymetrów, więc z niewysoka spadam na podłogę, mam lęk wysokości, nawet nie podejść do okna, ktoś mówił, że Huxley, ten angielski pisarz, miał podobnie z grzybami, ale to pewno brednie, i że ci długowłosi, co wyglądają jak Indianie, oni też zbierają grzyby, rytuały odprawiają, to może jakiegoś kiedyś zaproszę albo lepiej hipiskę, taką z opaską na włosach, w powłóczystej tunice, proszę bardzo, częstować się, czym chata bogata, zresztą jaka chata, atrapa nory raczej, u mnie grzyba pod dostatkiem, nażryjcie się, zjedzcie wszystko, ale zaraz, o czym to ja mówiłem, więc hasło, w encyklopedii, nazwa cmentarza, Powązki, i od razu przyszło mi do głowy, całość, że miłość i śmierć, początek, pełne zdania, cały akapit, to dobry znak, że od razu tak, ale najpierw Wienio, trzeba to z nim wyjaśnić, raz na zawsze, żeby był spokój, a po wszystkim, gdy już będzie po wszystkim, usiądę, naleję herbatę, rozluźnię się, otworzę zeszyt, ten nowy, czysty, prawie całkiem czysty, będę pisał dalej, bo jak tu nie pisać, gdy.

Miała na sobie prostą, jasną sukienkę i rozpięty płaszcz. Na chwilę zdjąłem okulary przeciwsłoneczne, osadziłem je na głowie i wtedy nasze spojrzenia się spotkały. Skrzyżowały się odrobinę za długo jak na panujące okoliczności. Usta poruszyły się i wygięły w łuk w bezwiednym odruchu, a być może nikłym uśmiechu, jakim witamy przelotnego znajomego. Odwróciła głowę, ale coś mi mówiło, że jest za późno.

Bar „Przechodni” znajduje się naprzeciwko „Hybryd”, czasem się tam wpada, żeby dobrze zacząć dzień, wódeczkę przełamując piwem, a potem rusza się do klubu, chyba że jest się już zrobionym i bez sił na ciąg dalszy, choć zawsze lepiej nimi nie szafować i zostawić nieco na później. Niedaleko, prawie po sąsiedzku, mieści się przychodnia weneryczno-skórna, niektórzy, zaprawieni w bojach weterani i tam trafiają po poradę, ogólnie te trzy miejsca są jak wierzchołki trójkąta bermudzkiego, jednego z wielu w Warszawie, ale też jedyne w swoim rodzaju, bo tylko tutaj dziewczyny, wódka i muzyka stają się jednością. Et nomine, patris et filii, et syphilis. Pewien filozof powiedział, że Mokotowska ze swoimi przybytkami to państwo w państwie, struktura autarkiczna, tak się właśnie wyraził, i spełniona utopia. Myśliciel ów wygłosił także na uniwersytecie wykład, który wprawdzie spotkał się z entuzjazmem słuchaczy, ale i krytyką ze strony partii, kwestionującej słuszność linii, następnie filozof został wyrzucony z uczelni, wyjechał z ojczyzny i teraz tę warszawską utopię może odtwarzać we wspomnieniach. No ale z pewnością obcuje teraz z innymi strukturami autarkicznymi, i to nie gorszymi.

Gdy zajrzałem do baru na rozruch, Niewinny Czarus i Bonanza siedzieli pochyleni nad majowym numerem „Ty i Ja”. Ten pierwszy przypomina z urody smolistego diabła o pożółkłych od papierosów szponach. Czarus robił dźwięk do wielu ważnych polskich filmów, sepleni i „fefnie wyfaje mu się”, że jest to stan naturalny, że tak mówią wszyscy, przekłada to więc na swoją sztukę i pewnie dlatego polskich aktorów nie idzie zrozumieć z ekranu. Ostatnio zaczął umartwiać swoje ciało, przestał jeść mięso. Powiedział, że jeśli wybuchnie kolejna afera mięsna, będzie ostatnim z podejrzanych. Na jego miejscu nie byłbym taki pewien, bo po państwie polskim i wymiarze sprawiedliwości można wszystkiego się spodziewać. Wraz ze zmianą diety Czarus stał się też oszczędny w słowach, właściwie przestał prawie się odzywać. Za to Bonanza nadawał za dwóch.

Ksywę zyskał na długo przed tym serialem westernowym, nikt nie pamiętał i nie wiedział dlaczego. Kilka lat, gdy był młodszy, przewaletował w akademiku na Kicu, zbałamucił wszystkie kucharki, więc na wikt i opierunek nigdy nie narzekał, nosił bitelsowską grzywkę, farbą krył początki siwizny, przeczesał włosy grzebykiem i korzystał z okrągłego lusterka z fotosem francuskiej aktorki po drugiej stronie. Zdaje się była to Jeanne Moreau. Bonanza grał na klarnecie, nawet całkiem nieźle mu to wychodziło, tylko przegapił ten moment, kiedy jego instrument wypadł z obiegu. W muzycznym łańcuchu pokarmowym był może lepszy od fagotu, ale niżej od saksofonu altowego, o którym i tak złośliwi mówią, że to nie saksofon. Jest, oczywiście, klarnet basowy, na którym grał Eric Dolphy, tyle że to był mistrz nad mistrzami, jedyne w swoim rodzaju, a gdy umarł, to tak, jakby z nim umarł ten zacny instrument. Równie pięknie grał zresztą na alcie, Lee Konitz, Ornette Coleman oraz inni też, więc wyzłośliwianie się nad tym instrumentem jest całkiem niesprawiedliwe. Bonanza miał kłopotliwych sąsiadów, którzy nieustannie skarżyli się na jego grę, wzywali milicję, więc znalazł zdewastowaną budkę telefoniczną i tam zaczął ćwiczyć. Mówił, że w zimie ciasno, kiedy gra się w kozuchu, ale teraz, gdy wiosna pełną gębą, najgorsze za nim.

Zamówiłem w barze tradycyjny niezbędnik i przysiadłem się do Czarusia i Bonanzy. Była piąta,

o dziewiątej w „Hybrydach” miał grać Wienio. Znałem jego zwyczaje, wiedziałem, że przyjdzie znacznie wcześniej i sprawdzi, czy ostatni pianista nie zostawił lepkich klawiszy. Tak zwykle mówił. Zmieniłem zdanie. Uznałem, że porozmawiam z nim jednak przed koncertem. Mówił przecież, że to pilne, może w ogóle nie chodziło o tę Jadwigę, tylko o coś innego, kto wie? Niebawem się to okaże.

A tymczasem moi kompani czytali listy nadesłane na konkurs „Mój flirt z muzyką”.

– „Do późnej nocy słuchałem Radia Luxembourg, prowadziłem obszerną kartotekę list przebojów...”. – Bonanza spojrział na mnie. – Gdzie te czasy, gdy Willis Conover był bogiem! Kiedy każdej jego audycji się słuchało. No gdzie? Kiedy muzycy nakręcali się nawzajem i inspirowali. Wiecie, give and take. – Lubił od czasu do czasu wrzucić coś po angielsku.

Czaruś milczał. Dłubał żółtym szponem w popsutych zębach.

– O, albo tu. – Klarrecista pochylił się nad gazetą. – Posłuchajcie: „Byłam fantastyczną wielbicieleką Paula, Ringo, George’a i Johna, czyli Beatlesów, Rollingstonesów, Toni Keczera, Stanek itd.”.

Nie wiem, dlaczego przypomniałem sobie list Julii. Paul. Miły amerykański chłopiec. Pieprzony aktor. Wyjąłem papierosa i zapaliłem.

– „Nie miałam smutków, życie samo pchało się w ręce; z jakiej racji miałam się wysmętniać, słuchając muzycznych wynurzeń Bacha, Schumanna”. – Uniósł głowę znad magazynu. – Dobrze, nie? Ale na Niemenie to mogą się wysmętniać, co? Zimą byłem w „Stodole”, pozapalał wszędzie świece, a potem wył tego Norwida jak do księżycy.

Czaruś westchnął.

– „W domu następowały błyskawiczne scysje, bo nie pozwalano słuchać ye-ye. Potem fundnięto mi tranzystorek. No ale w tym czasie przechodziłam kryzys miłości”. – Bonanza popatrzył na nas. – Panowie, poszliśmy w odstawkę. Jesteśmy towarem przechodzonym. I filmowcy, i dzezmeni. Jesteśmy passé.

W jego ustach wyznanie to zabrzmiało niemal dramatycznie.

– Coś wam opowiem. Grałem ostatnio z Romualdem i Romanem, oni mają taki utwór... *Msza za Martina Lutera Kinga* albo jakoś podobnie, długie to w cholere, w końcu to msza, i nie uwierzycie, za nimi jeździła wycieczka amerykańskich hipisek, rozumiecie? – Oblizał wargi. – Tłum nagranych małolat z Ameryki. – Wyjął grzebyk i lusterko. – Wydawało mi się przez chwilę, że Jeanne Moreau uśmiecha się do mnie.

– Do kogo tak się mizdrzysz? – zapytałem. – Nie jesteśmy amerykańskimi hipiskami. – Spojrzałem na Czarusia. – On to już w ogóle.

Powiedział, że musi zadzwonić. Do takiej jednej. Nie znacie. Ale może dziś wpadnie posłuchać Wienia. To co z tego, że nie będzie widziała twarzy przez telefon? Zawsze trzeba dbać o siebie, nie? Jak to się mówi, być na posterunku i na baczność.

– Bo można przegapić ostatni moment – mruknąłem, gdy wstał od stolika.

– Fiefoleni hipisi. – Pierdoleni. Za drugim razem Czaruś wymówił wyraźniej. Najpewniej uznał, że skoro zostaliśmy we dwóch, wypada jednak coś powiedzieć.

Okazało się, że miał swoją teorię dotyczącą niedziałających telefonów. Ostatnio szukał sprawnego aparatu, zszedł pół miasta, a wszystkie napotkane budki były zdewastowane.

– Memflany. – Membrany. – Kradną membrany ze słuchawek i robią z nich przetworniki do gitar.

Pokiwałem głową. Pewnie tak.

Zamówiliśmy jeszcze po wódeczce, przeglądałem „Ty i Ja”, doszedłem do kulinarnych przepisów na majówkę, czytałem, jak przyrządzić bułkę wycieczkową na sposób holenderski i że pomidory, drogie w maju, można zastąpić jajkiem na twardo i rzodkiewką. Czarus wpatrywał się łakomie w przepisy i umartwiał swoje ciało.

Gdy Bonanza wpadł z powrotem, zdyszany i roztrzęsiony, wiedziałem, że coś się stało. Nakazał wymarsz do „Hybryd”. Zajrzał tam po drodze.

Coś niedobrego z Wieniem.

Wlaliśmy wódkę do gardeł, poderwaliśmy z miejsc i migiem znaleźliśmy się pod klubem. Urywane, nerwowo wypowiedane słowa składałem w całość. Słuchałem raz, drugi, trzeci, nie mogłem uwierzyć i się otrząsnąć. Wienio wypadł przez okno. Nie, nie wypadł, skoczył. Kilka godzin temu. Chyba koło południa. Nie żyje. Skończył ze sobą.

Ludzie chodzili wstrząśnięci, poruszali się w zwolnionym tempie, a może tak mi się zdawało, bo sam trwałem w stuporze. Niemożliwe. Miałem przecież z nim porozmawiać. Chodziło mu o coś ważnego, tak mówił. Miał dziś grać. Więc jak? Jak mógł coś takiego zrobić? Chciałem tam pobiec, na Koszykową, ale przecież nie miało to sensu. Trup to trup.

Przed klubem spotkałem kaowca. Tego, który mówił mi o rozmowie z Wieniem i milicją. Drżącymi rękami przyklejał kartkę do drzwi. „Dzisiejszy koncert nie odbędzie się”.

– Chciał ze mną porozmawiać – wyszeptalem. – Pamiętasz, sam mi o tym powiedziałaś.

– I co teraz? – zapytał. – Co teraz? Napił się i rzucił z okna. Wciąż nie wierzę...

– Napił się?

– Tak mówili nam milicjanci. Nie było co zbierać. Mokra plama. Ale ta plama cuchnęła gorzałą. Dał w szyję na odwagę. A może tak go po prostu naszło...

Ktoś go zagadnął, odwrócił się, kręcił głową i pokazywał kartkę. Nie, dziś nie. Przepraszamy.

A we mnie zabręczał dzwonek alarmowy.

On nigdy nie pił przed robotą. Nie przed graniem. Taką miał zasadę. – To były pierwsze zdania, jakie z powagą wypowiedziałem. Stałem bez ruchu i wpatrywałem się w Filipskiego, jakbym postawą, a nie tylko samymi słowami, chciał go przekonać do swoich racji. Gdybym mówił do kobiety, pewno użyłbym jednego z moich proszących spojrzeń. Z Filipskim nie próbowałem nawet takich sztuczek.

Nie zostałem dłużej w „Hybrydach”. Nie było po co. Wróciłem do domu i nerwowo przeszukiwałem notes, ale numeru do Filipskiego nie znalazłem. Byłem pewien, że jest zastrzeżony, w książce telefonicznej mogła figurować jego żona, ale jak ona miała na imię? Nie mogłem sobie przypomnieć. A Filipskich jak psów. Emocje we mnie buzowały, chodziłem z kąta w kąt, sprawdziłem, czy pistolet jest na swoim miejscu. Tkwił za talerzami, bo i gdzie mógłby być. O czym chciał rozmawiać Wienio? Miało to związek z jego śmiercią czy było kompletnie nieistotne? Nie byłem pewien. Wiedziałem natomiast, że nie popełnił samobójstwa. Pogłoska o tym, że wcześniej pił, musi być fałszywa. Udręczony, zasnąłem po trzeciej.

A po ósmej wygrzewałem ławeczkę w Pałacu Mostowskich. Ostatnio bywałem tam często, zdecydowanie za często, ale nie miałem wyboru. Dyżurujący milicjant, którego już znałem, nie zwracał na mnie uwagi i potraktował niemal jak wyposażenie wnętrza. Godzinę później Filipski przyjął mnie w swoim gabinecie. Na jego twarzy nie zobaczyłem entuzjazmu.

– On wiedział, że tego dnia już nie zagra. Dlatego się napił. Zostawił na stole pustą butelkę.

Pokręciłem głową przecząco.

– Nie. Przed koncertem nigdy nie pił. Po graniu tak. W inny dzień poszedłby do spodu. Ale nie w taki. Nie łamie się żelaznych zasad.

Próbował mnie przekonać, że Wienio mógł mieć tysiąc powodów, żeby wyskoczyć z okna. Zwyczajnie był nieszczęśliwy. Samotny. Musiał jakoś dowiedzieć się o śmierci tej dziewczyny, a ta wiadomość go rozstroiła i dobiła. Może się w niej kochał? Może była to bliższa znajomość, niż mi się wydaje? To, co mówił, brzmiało rozsądnie, ale pozostałem głuchy na jego argumenty.

– Nie.

Ciężko westchnął i spojrzał na mnie spode łba. Wyszedł z pokoju. Nie było go piętnaście minut, a kiedy wrócił, skinął głową. Zeszliśmy na dół i ruszyliśmy radiowozem. Wsluchiwałem się w trzask radiotelefonu. Po drodze nie zamieniliśmy ani słowa.

Do mieszkania na Koszykowej wszedł pierwszy, kazał mi usiąść i niczego nie dotykać. Rozglądał się, zrobił kilka ostrożnych kroków, potem parę bardziej zdecydowanych, zmełł przekleństwo pod nosem i zbiegł na dół. Patrzyłem wokół, ale nie wiedziałem, co go tak poruszyło. Na parapecie gruchały gołębie. Kusilo mnie, żeby podejść do okna i spojrzeć w dół, na chodnik, ale się powstrzymałem. Schody zaskrzypiały pod jego ciężarem. Wszedł, dysząc.

– Przyjmijmy, że masz rację – wysapał. – Na chwilę przyjmijmy.

Zapaliłem papierosa.

– Co ci przyszło do głowy?

– Zszedłem, bo musiałem dowiedzieć się, czy chłopaki coś tu ruszali. Ale zaklinają się, że nie. Nigdzie nie zagląдали. Tylko pustą butelkę po czystej i szklankę wynieśli do kuchni.

Wzruszyłem ramionami. Nie rozumiałem, co z tego ma wynikać.

– Zobacz. – Major wykonywał ruchy ręką jak przewodnik, który oprowadza wycieczkę. – Łóżko. Równiutko, pedantycznie zasłane kocem. A tu? Otwarta szafa. Szafka też. W kuchni to samo.

Załąpałem wreszcie. Niewidomy nie zostawiłby otwartych szafek. Kwestia odruchu. Nikt nie chce się zderzać z meblami. Ktoś oprócz Wienia musiał tu być jeszcze. Czegoś szukał.

Zapytał mnie, jakbym zabrał się do tego. Trucizna? Środki nasenne? Można, ale to nic pewnego, poza tym to wymaga czasu. Unieszkodliwiłbym pacjenta ciosem w głowę, nieprzytomnego przeciągnął do okna, a potem wysłał na tamten świat. Plama na chodniku, nikt by nie badał szczegółowo obrażeń.

– No to szukamy. – Filipski rozejrzał się.

Odtwarzał w wyobraźni to, co się zdarzyło. Podrapał się za uchem. Pamiętałem ten gest sprzed wielu lat. Gdy dowiedział się, że mamy wykonać wyrok na Panasie, podrapał się w ten sam sposób. W kilku innych sytuacjach też zrobił to samo.

– Był środek dnia. Na dole od razu robi się zbiegowisko. Łatwo zniknąć w tłumie. Ale zabierać ze sobą narzędzie zbrodni to trochę ryzykowne. Zostawiłbym je tu. Ewidentne samobójstwo przecież. Nikt niczego nie będzie szukał, podejrzewał...

Na miejscu mordercy zrobiłbym tak samo.

Omiotłem wzrokiem pokój. Fortepian, mały stolik, na którym stał magnetofon szpulowy i leżały nuty. Radyjko przy łóżku.

Właśnie zaglądałem do szafy, gdy wydał okrzyk tryumfu.

Spod łóżka wyjął coś, co wyglądało na nogę od krzesła. Do żadnego z mebli nie pasowała. Z kieszeni wyjął chusteczkę, owinął w nią nogę i podszedł do okna. Przywołał mnie i wskazał ciemną plamę na drewnie.

Poszliśmy do kuchni. Odsunęliśmy kotarę, za którą był kaflowy piec, szafka z czterema talerzami i stolik z drugim odbiornikiem radiowym. Na podłodze leżała nadgryziona kanapka z zaschniętym dżemem.

– Rzuciło ci się coś w oczy? – zapytał major.

– Raczej to, czego nie ma. Taśmy. Nigdzie ich nie ma. Jest magnetofon, nie ma szpul.

Rozglądaliśmy się dobrą godzinę, ale bez skutku. Wróciliśmy do kuchni. Major bawił się starym radiem. Nacisnął klawisz beethovena, następnie drugi, a gdy nie zagrało, skrzywił się i zniecierpliwiony uderzył w obudowę. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Tylne ścianki radia się uchyliła. Spojrzeliśmy po sobie. Filipski zajrzał w głąb i cicho gwizdnął. Zaciekawiony, pochyliłem się. Wpatrywałem się w banknoty, które nie były naszymi brudasami. A pod nimi kolejna niespodzianka. Pod nimi znajdowały się nuty.

Major wyjął pieniądze i przeliczył. Czterdzieści dolarów. Kawalek grosza. Schował banknoty do kieszeni. Spojrzał na nuty. Były zapisane na czystych kartkach, na ręcznie wyrysowanej pięciolinii. Widocznie Wieniowi zabrakło papieru nutowego. Ale dlaczego tutaj je trzymał? Reszta muzycznych papierów leżała w innym miejscu, na wierzchu. Filipski o muzyce miał nikłe pojęcie, równie dobrze mógłby patrzeć na hieroglify, nagle jednak rozpromienił się i uderzył ręką w kartkę.

– Zobacz.

Przebiegłem wzrokiem nuty. Uniosłem brwi. No proszę, temat napisany na większy skład, z instrumentem brzmącym w Bb, pewnie z myślą o trąbce albo saksofonie tenorowym. Potem jeszcze jedno zdziwienie.

– Widzisz?

– No co? Zwykła tonacja C – odpowiedziałem.

– Wierzę ci. Ale popatrz na tytuł.

Dopiero teraz go zauważyłem. *Kumanie Komedu*. A na drugiej kartce, gdzie był dalszy ciąg utworu, dopisek „K. Ko nr 2”.

– No to jesteśmy w domu, przynajmniej jeśli o to chodzi. Jest jasne, dlaczego ta Ślusarek miała wtedy w płaszczu kartkę z „K. Ko nr 3”.

Uśmiechnął się, a ja pomyślałem o radiu. Beethovenie, o którym Wienio tak lubił opowiadać. Niekoniecznie myślał wówczas o wiedeńskim geniuszu. Żartowniś był z niego.

Zapytałem, czy mogę wziąć te nuty. Obejrzał dwie kartki raz jeszcze na wszystkie strony, wzruszył ramionami i podał mi je. Spoważniał.

– Muszę przysłać tu chłopaków, żeby zebrali ślady. Bo ci wczoraj spaprali robotę. I ciekawe, czy na tym znajdują się linie papilarne. – Wskazał nogę od krzesła. – Nie zdziwię się, jeśli będą należały do tego pisarza z rakowatą twarzą. Ruszamy.

Stałem w miejscu.

– Co? O co ci chodzi?

– Daj mi numer do tego esbeka. Tego, który do ciebie dzwonił.

Spojrzał na mnie przeciągle.

– Chyba nie chcesz...

– Ja go znam. – Przerwałem mu. Wolałem, żeby nie kończył zdania. – Kręcił się w naszym środowisku. A on znał Wienia, i to bardzo dobrze. Jestem pewien, że gdy dzwonił do ciebie i pytał o postępy w śledztwie, nie chodziło mu o dziewczynę. – Spojrzałem mu w oczy. – I nie, nie zamierzam zostać tajnym współpracownikiem. A ty będziesz miał od niego spokój.

Przygryzł wargę i rozważał przez chwilę to, co powiedziałem.

Nieznacznym skinieniem głowy zaakceptował propozycję.

Dodzwoniłem się do niego dopiero za trzecim razem. Wcześniej poprosiłem o przekazanie wiadomości. Tadeusz Janczar. Nie, nie ten aktor. Kontrabasista dżezowy. Przyjaciel pewnego pianisty. Ostatnie zdanie było mocno na wyrost, z Wieniem lubiliśmy się, graliśmy i piliśmy, ale to wszystko.

Wiedział oczywiście o śmierci Wienia. Bez wahania zgodził się na spotkanie, wyobrażałem sobie, że podczas rozmowy gryzł się w język, by ukryć ciekawość, ale czułem, że połknął haczyk.

Umówiliśmy się w barze kawowym przy Grubej Kaście. Była piąta, stoliki oblegali amatorzy jasnego pełnego, nieodzownego po fajrancie, ale także przed robotą, a czasem i w trakcie, dwóch najbardziej zasiedziałyh drzemało na krzesłach. Przy stoliku twarzą do wejścia siedział samotny mężczyzna. Przywitaliśmy się, zlustrował spojrzeniem mój płaszcz. Podszedłem do przeszklonej ludy, w środku stały dwie wuzetki i napoleonka, wpatrywałem się w ciastka dosyć długo, na tyle długo, żeby zaczął się niecierpliwić, a potem zamówiłem samą kawę.

Niespecjalnie rzucał się w oczy. Był w moim wieku, może trochę starszy, nosił obrączkę i wyglądał jak zatroskany urzędnik, który obawia się domowej awantury, gdy za późno wróci z imienin w pracy, a żona wyczuje perfumy i alkohol. Zaczął opowiadać o muzyce. Sam trochę grał na fortepianie, zamierzchła historia, nie miał talentu i determinacji, ale coś widać w nim pozostało. A powróciło z mocą, kiedy cztery lata temu usłyszał Wienia. Wtedy podjął decyzję. Będzie rejestrował wszystkie koncerty, na których mógł być. Dla siebie. Ale też dla potomności. Ktoś kiedyś to wyda, bo Wienio jest najlepszy. Wirtuoz. Geniusz. Jedni zbierają znaczki, inni rozwiązują krzyżówki, a on miał taką pasję, misją można nazwać to nawet, i nagrywał koncerty. Przejmująco o tym opowiadał. Jeszcze chwila i bym się wzruszył.

– I nagrywa pan Wienia... Nagrywał go pan tak całkiem bezinteresownie? – zapytałem.

Skubał ceratę z wzorem w kratkę.

– Wie pan, co to jest magnetofon Nagra?

Jak mógłbym nie wiedzieć. Wynalazek naszego rodaka, Stefana Kudelskiego, który mieszkał w Szwajcarii. Sprzęt najwyższej klasy. Obiekt westchnień każdego z nas. Oczywiście oprócz płyt z amerykańskim dżezem, najlepiej oryginalnych, a nie w czeskiej, węgierskiej czy enerdowskiej edycji. Chociaż i takie, z braku laku, mogły być.

– Nasi przeciwnicy – chrząknął – i zarazem koledzy po fachu także korzystają z tego sprzętu.

– I na tym polega wyższość myśli socjalistycznej nad kapitalizmem.

Skrzywił się.

– Widzę, że próbuje być pan zabawny. Kudelski z naszym socjalizmem nie miał nic wspólnego. Skoro już pan pyta, szczerze odpowiem. Trochę bawię się sprzętem, takim jak Nagra, testuję w różnych warunkach, patrzę, jak zbiera dźwięk, udoskonalam, redukuję szumy, zakłócenia. Moi szefowie patrzą na to trochę jak na fanaberię, ale ją tolerują.

– Chodzi o to, żebyście, jak przyjdzie co do czego, znów nie mieli wtopy? Jak rok temu podczas strajku na politechnice? Zwykle studenciaki namierzyły was i waszą aparaturę...

Nie odpowiedział. Zawiesił wzrok na przejeżdżającym tramwaju.

– Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać? – Uniósł filiżankę do ust.

Zapatrzyłem się w kraciatą ceratę na stoliku. Zapaliłem papierosa.

– Ostatnio pożyczał pan te nagrania Wieniowi, prawda? Chciał ich posłuchać, spisać ciekawsze motywy. Człowiek improwizuje i często nie ma świadomości, że coś wartościowego rodzi się pod palcami. Albo nawet wie, ale potem nie pamięta. Nie umie odtworzyć. A tu była taka okazja...

Potwierdził, że tak, że pożyczał mu taśmy. A Wienio poprosił pewną kobietę, Jadwigę Ślusarek, żeby pomogła mu spisywać utwory. Nigdy nie mówił o niej. Ważne, że był z tej współpracy, na muzycznej niwie, tak właśnie mówił, zadowolony. A teraz...

– A teraz – wszedłem mu w słowo – oboje nie żyją. Ona zamordowana, on popełnił samobójstwo. Fatalny zbieg okoliczności?

Świdrował mnie wzrokiem. Nie potrafiłem wyczytać, ile wie.

– A pan próbuje odzyskać te szpule.

Milczał dłuższą chwilę.

– Skąd pan wie, że próbuję coś odzyskać? – zapytał wreszcie.

– Gdy wchodziłem, przyjrzał mi się pan uważnie. Czy czegoś ze sobą nie niosę. Muszę pana rozczarować, jak pan widzi, nic nie mam. Poza tym nie interesowałibyście się pospolitym zabójstwem kobiety. Jestem pewien, że w poszukiwaniu szpul sprawdził pan jej mieszkanie. I nic. Być może jestem ostatnią osobą, oprócz zabójcy, która widziała tę dziewczynę żywą. Może powiedziała mi wtedy coś istotnego? Od razu powiem, że nie. Nasłał pan na mnie swojego kolegę, nie chciał się sam ujawniać. Z kolei Wienio wyjechał. Pech. Pan czeka. Wrócił z Krakowa. Przytrafia się jeszcze większy pech. A tych szpul nie ma.

– Szpuli – dodał niechętnie. – Chodzi o jedną szpulę. Zresztą z krakowskiego koncertu.

Zduśnięciem niedopałek w popielniczkę.

– Nie mam jej. Ale znajdę. Znałem Wienia dobrze, wiem, gdzie szukać. I trafi w pańskie ręce.

– Świat muzyki tego panu nie zapomni – powiedział z namaszczeniem.

– Teraz to pan próbuje być zabawny. Z równie średnim skutkiem jak ja wcześniej. Taka przysługa kosztuje.

– Ile?

Bawiłem się zapałkami. Tych dwóch ocknęło się. Uznali, że po drzemce trzeba się napić.

– Chcę, żebyście zostawili mnie w spokoju. Cokolwiek się wydarzy, chcę mieć spokój. I wolną rękę.

Powiedziałem to wolno i wyraźnie, żeby zrozumiał każde słowo.

– Mógłby pan jaśniej?

– Nie mógłbym. – Wskazałem na teczkę, która leżała na wolnym krześle. – Nie mam pewności, czy nie nagrywa pan tej rozmowy Nagrą albo czymś podobnym. Poza tym jest pan inteligentnym człowiekiem. I bardzo wrażliwym. Czuję na muzykę. Zrozumie pan. To jak?

Milczenie uznałem za zgodę.

Wyszedłem z baru i przystanąłem. Patrzyliśmy na siebie przez brudną szybę i firanki nie pierwszej świeżości. Impuls sprawił, że zawróciłem. Właśnie majstrował przy zamkach teczek.

– W jednym zgadzamy się w stu procentach.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Wienio był geniuszem – powiedziałem. – Czystym geniuszem. To jasne.

– Jasne jak dupa anioła.

Przestał walczyć z zamkami, wstał i podstawił mi pod nos teczkę. Była pusta. Jeśli nie liczyć zapachu po kanapkach z kiełbasą.

– Zatem nie komplikujmy rzeczywistości.

Odwróciłem się, wmieszałem w tłum przechodniów i poszedłem w stronę placu Dzierżyńskiego.

Chodziłem od ściany do ściany, co chwila zerkając na szpulowiec, i zastanawiałem się, czy nie naobiecowałem temu esbekowi gruszek na wierzbie. Było dla mnie jasne, że zabójstwo dziewczyny, z którą spędziłem gorączkową i z wielu względów niezapomnianą noc, oraz śmierć Wienia, upozorowana na samobójstwo, łączą się ze sobą. Jeśli dopadnę tego, kto go zabił, będę miał przed sobą zabójcę Jadwigi. Tyle wiedziałem. I to w zasadzie było wszystko. Dalej rozciągał się las wątpliwości. Ktoś musiał być bardzo zdeterminowany, żeby usunąć oboje spośród żywych. Krył się za tym istotny powód, o wiele poważniejszy niż szpula z zapisem koncertu niewidomego pianisty. O któregoż życia naprawdę niewiele wiedziałem, choć trzeba powiedzieć: blef w barze kawowym udał mi się bez pudła. Przecież to czysty przypadek, że znaleźliśmy z Filipskim skrytkę w radiu. Swoją drogą ciekawe, co zrobi z tymi dolarami. Jeśli o mnie chodzi, nic mi do tego, major zapracował na sowite honorarium, dzięki niemu sprawa ruszy z miejsca, a to może ułatwić mi zadanie. Może Filipski podsunie mi jakieś wskazówki. Ale może też całą sprawę przekreślić, jeśli to on pierwszy złapie mordercę. O co mu chodziło z tym pisarzem Syczem? Strasznie cięty na niego. Fakt, Sycz ma w oku jakąś ponurość, ale z taką twarzą trudno udawać anioła. I niełatwo wyobrazić sobie, żeby posłał Wienia i tę małą na tamten świat, bo jaki mógłby mieć powód? A przecież major ma rację: nie takie rzeczy się zdarzały. Pal licha dolary. To, że były ukryte, rozumie się samo przez się. Ale żadnej szpuli tam nie znaleźliśmy. Jeśli byłaby taka ważna, znajdowałaby się w tym beethovenie. Uśmiechnąłem się smutno na wspomnienie słów Wienia o wielkim kompozytorze. Rozmowa ślepego z głuchym. Coraz mniej żyjących wokół, coraz więcej cieni i wspomnień. A Wienia będę pamiętał dobrze. Beethoven. Żartowniś był z niego. Znaczy z Wienia. I ten tytuł. *Kumanie Komedy*. Też wesoły całkiem. Zresztą to naprawdę ujmujące, że postanowił złożyć w ten sposób hołd zmarłemu koledze. Tylko dlaczego trzymał tę kompozycję w ukryciu?

Wziąłem dwie kartki do ręki, patrzyłem na drobno zapisane nuty, przebiegłem wzrokiem kilkanaście taktów i no tak, oczywiście, powróciło to poczucie zdziwienia, ta sama reakcja, której doświadczyłem w mieszkaniu na Koszykowej, kiedy pierwszy raz zobaczyłem ten zapis.

Coś się nie zgadzało.

Wyjąłem kontrabas, przegrałem nie tylko swoją partię, ale też te rozpisane na inne instrumenty.

Bez sensu.

Do pewnego miejsca, prawie do końca, wszystko się zgadza. Motywik rozpoczynający się od interwału septymy, zaraz jego przekształcenie. Melodię kończył atonalny pochod kwart od dźwięku A. Wszystko zgrabnie i w porządku. Ale dalej? Kompletnie bez sensu. Pięć akordów. W jednym takcie pięć całych nut. Kto tak pisze utwory? Na pewno nie Wienio. Jakby nagle znudziło mu się to, co tak ładnie zaczął. Ani melodycznego, ani harmonicznego, ani rytmicznego w tym składzie.

Bez sensu, powtórzyłem ponownie, tym razem na głos.

Stałem z dwiema kartkami i zastanawiałem się, co robić. Może tu czegoś nie widzę?

Spojrzałem na zegarek. Złożyłem nuty, schowałem kartki do kieszeni i wyszedłem z domu. Na Kamionku, naprzeciw zakładów optycznych, mieszkał nasz saksofonista. Przynajmniej on miał

wyrozumiałych sąsiadów, którzy wiedzieli, że sztuka wymaga wyrzeczeń. Ze strony wszystkich mieszkańców kamienicy. Na święta Michał odwdzięczał się sąsiadom, pięknie grając kolędy. A największą jego fanką była dozorczyńni, zasuszonej menelicy, która wpadała z flaszką na górę, przy dźwięku wchodziła w swoisty trans, zasypiała, dwa razy narobiła pod siebie, sam widziałem taką akcję, a pamiątką po niej były zacieki na kanapie z bordowego pluszu. „Można spocząć”, zwykły mawiać gospodarz, wskazując na mebel z historią, „ale nie polecam, oj, nie polecam”.

Z oddali słyszałem, że jest u siebie. Ćwiczył, to były skale zmniejszone i budował na nich jakieś wściekłe pasaże, gdy wszedłem. Nie zamykał drzwi, gdy grał. Dzwonienie i pukanie nie miałyby sensu. Można by go ukraść razem z całym dobytkiem, tyle że niewiele tego było. Stał przy ścianie z tą rurą, jak każdy porządny saksjarz, cegły odbijały dźwięk, kątem oka spojrzał na mnie, jeszcze chwilę ciągnął frazę, wreszcie odjął instrument od ust. Powiedziałem, że ja tylko na chwilę, nie będę przeszkadzał. Wyjąłem kartki z nutami. Poprosiłem, żeby zagrał. Po kilkunastu taktach skrzywił się.

– Co to jest na końcu? Ty takie gówno napisałeś?

– Nie, nie ja. Pamiętaj, że o zmarłych źle się nie mówi.

– Aha. – Zamilkł. Spojrzał raz jeszcze na zapis. – *Kumanie Komedy*. Co to za tytuł? To naprawdę jego numer?

Wyjaśniłem, że nie, że to nie Krzyś napisał. Poza tym te nuty są drobniejsze, pisane inną ręką. I że przyszedłem, bo coś mi się nie zgadza. Podszedł do pianina, które stało w rogu pokoju. Zagrał ostatnie akordy. Skrzywił się ponownie.

– No pewnie, że się nie zgadza. Najpierw płynie, a potem ta progresja akordów jest zupełnie od czapy.

Pożegnałem się i wyszedłem. Wsiadłem w tramwaj, a gdy dojeżdżałem na stare śmieci, zobaczyłem, że budka piwna jest jeszcze otwarta. Zmierzchało, siąpił drobny deszcz, ale nie przeszkadzało mi to.

– Właśnie miałem zamykać – westchnął pan Kazio.

– Ja tylko na jedno.

– Zawsze pan tak mówi. Zresztą cieszę się, że nigdy nie dotrzymuje pan słowa.

– Naprawdę na jedno. Ma pan długopis?

Zdziwił się. Zapytał, czy wygląda na sklep papirniczy. Ale miał.

Wyjąłem kartki, osłoniłem je sobą od drobnych kropel i zacząłem pisać. Kontrabasista powinien umieć liczyć. Głównie na siebie. Ale ktoś mądry, jakiś niemiecki filozof przed kilkoma wiekami, powiedział, że piękno i przyjemność muzyki tkwi w matematyce. Że słuchając jej, liczymy, tylko nie zdajemy sobie z tego sprawy. Muzycy lubią bawić się cyframi. Niektórzy, jak Bach, także literami. Taki Coltrane podobno interesował się fizyką kwantową i może coś w tym jest, bo jego ostatnie rzeczy były wystrzelone w kosmos.

Tramwaj trząsał niemiłosiernie. Dlaczego Wienio ukrył te kartki w zaimprovizowanym sejfie? Musiały być jakoś ważne. Jakoś, ale niekoniecznie z muzycznych względów. Bo tych pięć akordów w jednym takcie było jakby obok pozostałych. Wtedy pomyślałem o liczbach.

Jaki przyjąć porządek? Wienio był dżezmenem, powinien więc posługiwać się notacją amerykańską. Czyli że dźwięk „a” to numer jeden, a dalej, jak w alfabecie. Ale tych nut nie zapisywał Wienio. I równie dobrze może obowiązywać porządek europejski. Wtedy „c” jest jedynką,

„d” dwójką i tak dalej.

Zapisałem dwie kombinacje cyfr.

1 3 5 6 4

6 1 3 4 2

I miały one sens. Czyżby?

Odstawiłem pustą butelkę i oddałem długopis.

– Co? Już? Naprawdę? – zdziwił się pan Kazio.

– Już.

Z niedowierzaniem pokręcił głową. A ja szybkim krokiem poszedłem szukać budki telefonicznej.

Pięć całych nut.

Pięć cyfr.

Jak numery warszawskich telefonów?

Pierwsze dwa aparaty miały urwane słuchawki. Fierfoleni hipisi, pomyślałem. Ci nasi i amerykańscy też. I ten Paul. Jebać go. Trzeci nie miał tarczy do wykręcania numerów. Z czwartej budki telefonicznej pozostał tylko szkielet. Wyglądał jak zwierzę zaatakowane przez watahę wilków i ogryzione do kości.

Nazajutrz rano poszedłem na pocztę. Gmach na Targowej, z szarej cegły cementowej, jakiej widywało się trochę w Warszawie, był prawdziwym cackiem, przynajmniej do niedawna. Widocznie to piękno kłuło kogoś w oczy, zabudowano więc tarasy i oszpecono resztę. Wydarzyło się to niedawno, widziałem ludzi wygrażających robotnikom, pisano nawet listy interwencyjne do gazet, ale wszystko na próżno.

Odstałem swoje w kolejce i wykręciłem pierwszy numer. Nie zdążyłem się odezwać, gdy przywitał mnie tubalny głos:

– Jeśli raz jeszcze zapytasz, czy to elektrownia, to tę słuchawkę, którą trzymam w ręce, wsadzę ci w dupę.

Powiedziałem, że nie spodziewałem się powitania chlebem i solą, ale zwykłe „halo” lub „słucham” wystarczy. Mężczyzna stropił się, zaczął tłumaczyć, że odebrał już dziś trzy telefony do elektrowni. Sam już nie wie, czy to żarty, czy błędnie łączy. Wieńczysława Goszcz? Nie znał takiego. Choszcz to i owszem. Kolega z wojska. Jadwiga Ślusarek? Miał taką nauczycielkę, Ślusarek, straszna żoźła, ale kiedy to było. Na pewno już nie żyje. Życzyłem mu spokojnego dnia.

Wykręciłem drugi numer. Z myślą, że trzeciej szansy nie będzie. Pięć cyfr. Nikt nie odebrał. Po kilkunastu sygnałach dałem spokój. Wybrałem raz jeszcze. Z podobnym efektem. Za moimi plecami jakaś kobieta chrząkała znacząco. Podjąłem jeszcze jedną próbę. Odezwał się męski głos.

Nabrałem powietrza w płuca. Przedstawiłem się.

– Czy zna pan Wieńczysława Goszcza? Takiego niewidomego pianistę?

– Nie. Nie znam. – Głos po drugiej stronie się trząsał. Unosił i opadał. Musiał należeć do starszego człowieka. Bo Billie Holiday od dziesięciu lat nie żyje.

– A Jadwigę Ślusarek?

Cisza w słuchawce.

– Halo, jest tam pan?

Młaskanie. Szum i trzaski.

– Tak, znam – odezwał się wreszcie. – Moja bratanica. Tyle że...

Powiedziałem, że wiem. I że składam wyrazy najgłębszego współczucia. Zaczął się tłumaczyć, że nie pojechał na pogrzeb. Prawie w ogóle nie chodzi przez ten reumatyzm.

– Grałem na pogrzebie pańskiej żony, pamięta pan?

Młaśnicie. Coś sobie przypomniał.

– Ach, to pan? Taki z trąbką?

– Nie, ten drugi. Z takim dużym instrumentem.

– Aha. No tak.

– Czy Jadwiga... Czy ona była u pana jakoś ostatnio?

– Krótko zanim... zanim to się stało. Jakoś tak.

Serce zabiło mi mocniej. Zapytałem go, czy mogę przyjechać. Jeśli pan chce. Nie ruszam się z domu. Bo jak? A po drodze kupi mi pan fajki? Mogą być byle jakie. To może od razu dwie paczki. Czy wtedy, gdy była, zostawiła coś? A tak, jakieś pudełko. Mówiła, że z muzyką. Ale nie znam się na tym. Nie pytałem o nic więcej. Rozłączyłem się.

Odprowadzały mnie wrogie spojrzenia. Miałem je gdzieś.

– Nawija jak przekupka na bazarze – usłyszałem za plecami. – Ile można! Ludzie czekają.

I znów znalazłem się na Kamionku, tylko przystanek za moim saksofonistą, bliżej Wiatraka. Przypomniałem sobie, co mi mówiła o czwartej nad ranem. Że ma w okolicy krewnego. Że zna tę okolicę. Że wróci sama. A ja jej wtedy posłuchałem.

Mieszkał na parterze. Przynajmniej pod tym względem, biorąc pod uwagę jego schorowane nogi, miał dobrze. Załomotałem do drzwi. Bez większej zresztą nadziei, że usłyszy. A nawet jeśli usłyszy pukanie, to zanim doczłapie do drzwi, minie wieczność. Nie czekając na reakcję, nacisnąłem kłamek. Z nadzieją, że się nie zamknał na zasuwkę. Pewnie ktoś go odwiedza. Sąsiedzi robią mu zakupy, pomagają. Ludzie w takich wypadkach są nadspodziewanie życzliwi. Nie pomyliłem się. Drzwi ustąpiły i wszedłem do środka.

Spał na łóżku. Miał na sobie piżamę w paski, a na górę założony gruby sweter. Na stopach wełniane skarpety. Cicho pochrapywał i poświstywał. Podszedłem do niego, chciałem delikatnie obudzić, ale się powstrzymałem. Nie. Zacząłem się rozglądać po niewielkim pokoju.

Oprócz łóżka znajdował się tam stolik, a na nim radio. Na obudowie stało zdjęcie. Dwoje ludzi w średnim wieku, w strojach narciarskich, za nimi napis „Szkłarska Poręba”. Na etażerze z brązowego drewna dwie gazety i okulary. Położyłem obok dwie paczki papierosów. Ale moją uwagę zwróciła szafa na wysoki połysk. Gdzie dziewczyna mogła położyć tę szpulę? Co zrobiłbym na jej miejscu?

Tacy staruszkowie bywają nieobliczalni. Gdzieś coś przełożą, zapomną albo wyrzucą. Albo przyjdzie ktoś, zobaczy pudełko i połasi się na coś takiego. Schowałbym szpulę gdzieś bardzo nisko albo wysoko. Wspiąłem się na palce, ale nie mogłem dojrzeć, czy coś leży na szafie. Podsunąłem krzesło. Dźwięk, głos za moimi plecami. Na ułamek sekundy zmartwiałem. A potem rozległo się potężne chrapnięcie. Staruszek mówił coś przez sen. Stałem na krześle. Na szafie kłębił się kurz nieścierany od lat. Na ścianie pająki, które w jakiejś odległej przeszłości utkały pajęczyny. Na swój sposób piękny znak przemijania. Ale to mnie nie interesowało. Wpatrywałem się w białoszary pakunek. Ciekawe, co się w nim znajduje.

Tak. Wieńczysław Goszcz był geniuszem. Koniec kropka. To był długi, znakomity koncert. Teatr jednego aktora, zonglującego nastrojem i emocjami słuchaczy. I na próżno krakowscy melomani czekali na jakieś potknięcie. Wienio grał pewnie i bezbłędnie, z każdej frazy biła doskonałość, było w tej perfekcji wręcz coś nieludzkiego, bolesnego nawet, bo taki ból pojawia się, gdy przekroczymy granice i znajdziemy poza skalą znanych i możliwych do nazwania doznań.

W ogóle nie dziwiło mnie, że najlepiej się czułem, kiedy grał sam. Mało kto byłby w stanie mu dorównać. A poza tym w takich momentach, byłem tego pewien, Wienio znajdował się poza czasem i przestrzenią, krążył na planecie odległej od Warszawy albo Krakowa, z dala od lat sześćdziesiątych i samotności, o której raz jedyny, kiedy zebrało mu się na zwierzenia, opowiedział przy wódce.

Potrafił wszystko. Grał bluesy zadziornie, chropawo, z wyrazistym staccato, szarpał klawisze, wrywał je wręcz tak jak dentysta rwie chory ząb, aby po tej burzy roztoczyć przed słuchaczami zupełnie inny świat. Bo też najlepiej się czułem, gdy grał subtelne, zwiewne utwory, sugerował wtedy bardziej dźwięki, niż je wydobywał, podrzucał je, żeby zaraz zabrać, płynął po klawiszach i ta podróż zdawała się nie mieć końca. Tak właśnie zagrał Evansa, preludium Debussy'ego, kilka kompozycji, których nie znałem, pewnie własnego autorstwa, a nawet *Yesterday* Beatlesów połączone niespodziewanie z *Yesterdays*, dżezowym standardem napisanym przez Kerna. To było mistrzostwo. Najpierw jeden temat, następnie drugi, wreszcie w jakiś cudowny sposób wymieszane oba.

Patrzyłem na taśmę, która przewijała się na szpulach. Koncert powoli zbliżał się do końca, a we mnie, niezależnie od wzniosłych doznań estetycznych, narastał niepokój. Nie rozumiałem, dlaczego znalazła się na szafie na Kamionku i w ogóle po co tyle zachodu. Byłem już gotów uznać to za gigantyczną pomyłkę albo żart. Wymyśloną historyjkę, równie dobrą jak ta z Karolem Kotem. Oklaski słuchaczy zdawały się nie mieć końca, Wienio zagrał na bis jeszcze jednego bluesa, znów pozęgnały go brawa, a potem rozległ się trzask.

Myślałem, że to już koniec nagrania, ale nie. Usłyszałem stukanie. Jakby ktoś palcami wystukiwał rytm na stole. A potem odezwał się głos.

- MUSISZ SIĘ BARDZIEJ STARAĆ... OSTATNIO NIE JESTEŚMY Z CIEBIE ZADOWOLENI.
- JA... ROBIĘ, CO MOGĘ. NIE MOGĘ BARDZIEJ, BO SIĘ KAPNĄ...
- NIC SIĘ NIE KAPNĄ. KAPNĄ SIĘ DOPIERO, GDY TWOJE KOLEŻANKI I KOLEDZY DOWIEDZĄ SIĘ, CO Z OJCEM ROBILIŚCIE PODCZAS WOJNY. JAK WYDAWALIŚCIE ŻYDÓW I DONOSILIŚCIE NA NICH. NAPRAWDĘ TEGO CHCESZ?
- NIE... NIE MOŻE PAN TEGO ZROBIĆ! NIE PO TYM, CO DLA WAS ROBIĘ.
- RACZEJ ROBIŁEŚ. BO MAŁO ROBISZ. WYJDZIE NA TO, ŻE NIE TYLKO JESTEŚ KAPUSIEM, ALE ŻE BYŁEŚ SZMALCOWNIKIEM. TEGO SIĘ NIE WYBACZA. NAWET TERAZ. I ŻE NIE ZAWSZE NAZYWAŁEŚ SIĘ...

Taśma wywinęła się ze szpuli. Siedziałem bez ruchu, a serce waliło mi tak, że pewnie było je słychać w całej kamienicy. Przełknąłem ślinę. Wiedziałem już, dlaczego to nagranie było tak ważne.

I dlaczego nuty, z zaszyfrowanym numerem telefonu, Wienio trzymał w skrytce. Jasne się stało, dlaczego chciał ze mną porozmawiać, gdy dowiedział się o śmierci Jadwigi. Nie wiem, co chciał powiedzieć, ale ufał mi. Zwyczajnie i po ludzku. Tak czasem jest.

Z grubsza wiedziałem, co się wydarzyło i jak.

Dlaczego oboje, on i dziewczyna, musieli zginąć.

Puściłem taśmę raz jeszcze. Przewinąłem prawie do końca. Słuchałem rozmowy. I tak przez kolejną godzinę, bez ustanku, prawie do zdarcia taśmy.

Jeden głos, rozkazujący i władczy, należał do człowieka, z którym rozmawiałem wczoraj w barze kawowym. I w niczym nie przypominał ciepłego tembru melomana rozkochanego w niewidomym pianiście.

Ale był jeszcze ten drugi.

Głos mordercy.

Słyszałem go wiele razy. Tego byłem pewien.

Ale w żaden sposób nie potrafiłem połączyć go z twarzą.

Zdobycie adresu Jadwigi było kwestią jednego telefonu. Obiecałem, że wkrótce odezwę się z wieściami. To wystarczyło. Długo zastanawiałem się, co zrobić z nagraniem. Uznałem, że najbezpieczniej będzie, jeśli zabiorę je ze sobą. Do drugiej kieszeni lekkiego letniego płaszcza włożyłem pistolet. Na wszelki wypadek.

Zajrzałem do pana Henia.

– Ma pan łom?

– Łom? – zdziwił się. – Na co panu łom? Taki do wyłamania drzwi?

Nachyliłem się i szepnąłem mu do ucha:

– Taki. Potrzebny mi.

Nie pytał o nic. Poprosił, żebym zaczekał. Słyszałem, jak grzebie w jakichś rupieciach, wreszcie wrócił z żelastwem.

– Wie pan, jak to działa?

– Wiem. – Schowałem łom za pasek. Skrzywiłem się. – Mało to wygodne. – Wsunąłem łom do rękawa płaszcza.

Popatrzył na mnie ciągle zdziwiony i zamknął drzwi.

Wsiadłem w trzynastkę, tramwaj zawiózł mnie niemal pod sam dom. Mieszkała na Wroniej, zaraz przy dworcu PKS-u. Wystarczy jeszcze minąć Obozową i rozciągają się cmentarze. Najpierw protestanckie, następnie żydowski, wreszcie Powązki.

Też zamierzałem wysłać kogoś do piachu. Najszybciej jak się da. Było mi wszystko jedno, na który cmentarz trafi. I właśnie dlatego musiałem się dostać do mieszkania Jadwigi. Czułem, że tam znajdę odpowiedź na ostatnie z pytań. Do kogo należał ten głos na taśmie? W żaden sposób nie potrafiłem skojarzyć. Kilka razy podczas jazdy ścisnąłem pistolet. Szpuła tkwiła w drugiej kieszeni.

Na klatce schodowej jechało padliną. Gdzieś rozkładał się szczur albo inne zwierzę. Jadwiga mieszkała na drugim piętrze, pod szóstką. Po dwa mieszkania na każdej kondygnacji, naprzeciw, żeby ludzie mieli na siebie baczenie. I żeby było łatwiej donosić. Wizytówka pod piątką informowała, że mieszka tam „J. Dulczewska”. Obok nazwiska tkwiła kartka wyrwana z zeszytu. Przeczytałem treść. „Wyjechałam z Warszawy. Do k. tygodnia proszę nie zostawiać mleka”. Szerokiej drogi, kobieto. I przypadkiem nie wracaj w ciągu najbliższych dwóch godzin.

Drzwi z odrapaną farbą ledwo trzymały się na zawiasach. Kilka szybkich ruchów wystarczyło. Przez chwilę nasłuchiwałem, wreszcie wszedłem do środka. Mieszkanko było ładne, w przeciwieństwie do klatki schodowej i sypiącej się elewacji, czyste, schludne i na swój sposób gustownie urządzone. Zacząłem od pokoju. Moją uwagę zwróciła makatka z podobizną Lennona, upstrzona dzikimi, wielobarwnymi esami-floresami. Odchyliłem ją na wszelki wypadek, ale nic się za nią nie kryło. Potem zabrałem się za łóżko z jasną narzutą i pojemnikiem na pościel, niewielki regał z książkami i kosmetykami. Trochę klasyki, Dostojewski, Tomasz Mann, *Noce i dnie* Dąbrowskiej. Sporo książek muzycznych, coś o harmonii i kontrapunkcie. Kilka kryminałów wydanych w serii „Z jamnikiem”, a wśród nich *Żegnaj, laleczko* Chandlera. Ten cały Marlowe to

porządny detektyw, nie tak jak milicjanci z naszych książek, którzy nie klną, nie piją, nie stosują przemocy. Taki Filipowski to żyje w przykładowym rodzinnym stadle. No ale pije jak należy i rzuca mięsem zawodowo. Woda kwiatowa „Miraculum”, pomadka do ust „Filoderma”, jeszcze jedna woda kwiatowa „Sex” oraz „Biondella” do rozjaśniania włosów. Opakowanie globulek antykoncepcyjnych „Zet”. Kilka innych drobiazgów, długopis, żadnych zdjęć. Na stoliku przy łóżku lampka, marcowe numery „Ty i Ja” oraz „Przyjaciółki”. W szufladzie przeciwsłoneczne okulary, naszyjnik z nieoszlifowanego bursztynu i kilka bransoletek.

Zajrzałem do szafy. Przez chwilę stałem zaskoczony. Była pusta. Nie licząc kwiecistych spodni i kilku fatałaszków, które zapewne nie spodobały się siostrze. Byłem pewien, że to ona ogołociła szafę, zabrała tę obłądną sukienkę, w której Jadwiga przysłała do „Hybryd”, także i tę z pogrzebu Krzysia, i pewnie wiele innych. Być może w nieodległej przyszłości zamierzała zabrać resztę rzeczy po zmarłej.

W rogu szafy, pod jedną z bluzek, coś leżało. Coś naprawdę niewielkiego. Zmrużyłem oczy. Wziąłem znalezisko do ręki i podszedłem z nim do okna. Wpatrywałem się w moją zdobycz tak, jak entomolog patrzy na bardzo rzadki okaz.

I w jednej chwili wszystko zatrybiło.

Głos z nagrania zespolił się twarzą.

Twarz połączyła z tym, co trzymałem w palcach.

Pomyślałem o Jadwidze i Wieniu.

Wiedziałem, kto ich zabił.

Wyszeptałem tytuł powieści Chandlera. Tak cicho, że ledwo sam go usłyszałem.

Mieszkał na Śniegockiej i stanowiło to kłopot. Było tam wiele mieszkań milicyjnych, przyznawanych z przydziału, i przyszło mi na myśl, że być może sam dostał takie za zasługi. Albo jego stary. Trzecie piętro stanowiło kolejny problem. Gdy połączyło się te przeszkody, stawało się wówczas przed prawdziwym wyzwaniem. Nie było takiej możliwości, żeby strzał z pistoletu nie postawił na nogi kilku dziarskich chłopców. W wielu innych miejscach zignorowano by huk, uznano za przypadkowy, ale nie tu, wśród ludzi obeznanych z tym właśnie dźwiękiem, który kojarzyć się musiał jednoznacznie. Zanim zbiegłbym na dół, kilku zdążyłoby wyrzeć, zareagować, być może wybiegliby z bronią. A wtedy zrobiliby się niewesoło. Nie była to okolica zamieszkała przez przygłuchych staruszków. Niestety.

Obserwowałem go przez kilka dni. Znów czułem się tak, jakby czas się cofnął o ponad ćwierć wieku. Ale mimo upływu lat nie wyszedłem z wprawy. Tego się po prostu nie zapomina, podobnie jak pływania czy jazdy na rowerze. Zwykle wracał o piątej. Raz zdarzyło mu się to znacznie później. Przystawał przy kiosku i kupował papierosy. Zawsze w tym samym miejscu, dziesięć metrów przed wejściem do klatki, wyjmował klucze. Zawsze z prawej kieszeni.

Teraz zaczynała się trudniejsza część. Musiałem zostawić mu trochę swobody, jedno piętro odstępu, ze schodami skręcającymi w połowie, żeby nie zauważył, że ktoś za nim idzie. Słyszałem, jak zamyka drzwi na klucz. Robił to zawsze kilka sekund po wejściu. I to był ten czas, który miałem, żeby dobiec i wtargnąć do środka. Będzie kompletnie zaskoczony, a zdziwienie tym większe, gdy ujrzy znajomą twarz. I wycelowaną w siebie broń.

Był czwartek. W mieście żadnych ciekawych imprez i dodatkowych pokus, powinien wrócić jak zwykle. Padało, szedł pod parasolem i uznałem to za sprzyjającą okoliczność. Ludzie nie rozglądają się, wtuleni w kołnierze, chcą jak najszybciej dotrzeć do siebie i zapomnieć o deszczu. A on najpierw postawi parasol, dopiero zamknie drzwi. Zyskiwałem więc dodatkową sekundę. Tym razem nie zatrzymał się przy kiosku, nie chciał bardziej moknąć. Wszedł do klatki. Zrobiłem to samo chwilę później. Usłyszałem szelest składanego parasola.

Poszło łatwiej, niż myślałem. Drzwi nie zdążyły się domknąć, gdy susem doskoczyłem. Otworzyłem je z impetem. Wyjąłem pistolet i wycelowałem w głowę. Zamknąłem za sobą. Cztery sekundy. Nie trwało to dłużej.

Wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami, a ja popchnąłem go do pokoju. Na łóżku leżała walizka, do połowy spakowana.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytałem cicho.

Powiedział, że jedzie na Wybrzeże. Na trzy dni. Służbowo. I czy mógłbym odłożyć broń. Zapytał, czy coś mi się stało. Czy możemy spokojnie porozmawiać. Opanował się, poczuł pewniej między regałami pełnymi książek, obok stojącej lampy z gustownym abażurem, i to był moment, żeby wprowadzić go z równowagi.

– To ilu? – przerwałem mu. – Ilu Żydów wydaliście Niemcom? Ty i twój ojciec? Ilu szantażowaliście? Ilu?

Zbladł. Chciał sięgnąć do kieszeni, ale mu nie pozwoliłem. Wyjąłem z kieszeni płaszcz, to, co znalazłem w mieszkaniu Jadwigi.

– Chcesz zapalić? To masz.

Rzuciłem mu jedną czwartą papierosa.

Kaczka był jedynym znanym mi człowiekiem, który tak dzielił fajki. Na cztery części.

– Wiesz, gdzie to znalazłem? Jak myślisz? W szafie u Jadwigi. Pewnie powiesiła tam swoją marynarkę i musiało wypaść.

Kazałem mu usiąść.

– Wtedy, podczas stypy, wzruszyłeś mnie historyjką o bratanku, Czechosłowacji, płycie Krzysia. To teraz zrewanżuję ci się opowieścią. Wiem, co robiłeś podczas wojny, skurwielu. Co robiliście z ojcem. Byliście szmalcownikami. Takich jak wy to my wtedy... A potem, żeby się wywinąć, zaczęliście współpracować z nową władzą. Pod nowymi nazwiskami. Jestem pewien, że służyliście gorliwie, chociaż ostatnio zwierzchnicy mieli do ciebie pretensje. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie przypadek. Ten esbek... Ten, który nagrywał koncerty Wiena i który ciebie prowadził. Nagrał waszą rozmowę. Nie wiem, czy zrobił to świadomie, czy nie. Chyba nie. Coś tam pewnie majstrował i przypadkowo się nagrało. Zresztą mniejsza o to. Ważne, że tę taśmę przesłuchała Jadwiga. Ten esbek musiał jej ją dać, niczego nieświadomy. Spisywała utwory naszego wspólnego znajomego. I w jakiś sposób rozpoznała twój głos. Zagroziła, że cię wyda. Wtedy ją zabiłeś. Tak było? Mów!

Odbezpieczyłem broń i odciągnąłem zamek. Pobladł jeszcze bardziej. Odruchowo wbił plecy w fotel. Nie wyglądał teraz na popularnego dziennikarza, znającego wszystkich w mieście, brylującego w klubach, opowiadającego ciągle anegdoty.

– Byliśmy kochankami – powiedział. – Chciała, żebym załatwił jej pracę w redakcji. To prawda, obiecałem jej to. Ale ona się nie nadawała. Nie umiała pisać. Poza tym – rozłożył ręce – gazety coraz cieńsze. U nas pięćdziesiąt sześć stron, roboty mniej, kłopoty z papierem...

Nie zamierzałem słuchać o problemach wydawniczych.

– I co? Przejrzała na oczy i postanowiła się zemścić?

– Powiedziała, że wie, czym zajmowałem się podczas wojny. I że nazywałem się inaczej. Mówiła to w złości, ale przestraszyłem się. Gdyby zaczęła rozpowiadać, byłbym...

Zamrugnął oczami.

– I zaczekałeś na nią na klatce?

– Zaskoczyła mnie. Pukałem do drzwi, chciałem... Chciałem z nią porozmawiać, u niej w domu. Pogodzić się. Ale jej nie było. Schodziłem po schodach, wtedy ona weszła do klatki. Chciała krzyknąć... To był impuls... Miałem nóż... Od razu uciekłem.

– A jak było z Wieniem?

Nie odpowiedział od razu. Zapytał, czy może zapalić. Tyle mogłem dla niego zrobić. Rzuciłem mu papierosa i zapaliki. Zaciągnął się głęboko.

– Co z Wieniem? – powtórzyłem.

– Pamiętasz, wtedy w klubie... Graliście koncert. Przysiadł się ten kierownik czy jak mu tam... Coś mówił, że Wienio chce się z tobą spotkać. Że był bardzo zdenerwowany. Ja to wtedy słyszałem. Nie miałem wyjścia.

Pokiwałem głową. Koncert Kornetu Colemana. Jak mogłem to przeoczyć.

– Opowiem ci, jak było. Powiedziała mu, gdzie ma szukać taśmy, gdyby coś jej się stało. Może przeczuwała, że coś jej grozi? Tego nie wiem. Pewne jest to, że zapisała mu numer telefonu, zrobiła to zresztą dość pomysłowo. Tyle że teraz taśmę mam ja.

Uśmiechnąłem się z poczuciem tryumfu.

Miałeś trochę szczęścia. Wienio wyjechał, nie mógł się ze mną spotkać. Zyskałeś czas, ale wiedziałeś, że nie można zwlekać. Zaatakowałeś go od razu, gdy wrócił. Szukałeś u niego czegoś, co mogłoby na ciebie wskazać, ale nic nie znalazłeś. Powiem ci też, tak zupełnie między nami, że niepotrzebnie oblałeś go alkoholem. No i w ten sposób wyczerpałeś swój fart.

Patrzył na mnie uważnie.

– To ile? – zapytał Kaczka.

– Co: ile?

– Ile to będzie kosztować? Co mam dla ciebie zrobić?

Podszedłem blisko.

– Pytasz, ile kosztuje śmierć tych dwojga? – Zastanawiałem się. – Tyle.

Uderzyłem go kolbą pistoletu. Nieprzytomny zwałił się na dywan. Upadając, potracił stół i o mało nie zrzucił telewizora.

Pochyliłem się nad ciałem. Jak dobrze pójdzie, znajdą go w poniedziałek. Miał przecież wyjechać. Zastanawiałem się, czy zrobić w mieszkaniu jakiś drobny rozgardiasz, pozorując włamanie, ale zrezygnowałem z tego pomysłu. Ktoś mógł usłyszeć hałasy, zaniepokoić się. Lepsze wrogiem dobrego.

Z kieszeni płaszcza wyjąłem strunę do kontrabasu.

Mam w domu spory zapas. W większości nie nadają się już do gry, choć wyrzucam tylko pęknięte. To była struna A, druga pod względem grubości, zrobiona z jelit. Dostałem ją wiele lat temu od amerykańskiego basisty. Tego od Brubecka, który życzył mi szczęścia podczas nekrodrobów. Jeszcze w domu, przebierając struny, zastanawiałem się, która będzie najlepsza, w końcu uznałem, że jelitowa, bardziej elastyczna niż presto.

Trzymałem ją na czarnej godzinie.

I teraz czarna godzina nadeszła.

Jeszcze przed południem wypogodziło się, a koło drugiej zrobiło naprawdę ciepło. Szedłem wzdłuż torów. Po prawej ręce miałem Dworzec Wileński, lokomotywnię po lewej, przed sobą dwa stare, rozpadające się baraki. Słońce nie świeciło już w twarz, ale i nie grzało w plecy. Czasami lubię tak iść gdzieś przed siebie, na wschód, o tej porze roku tory lśnią w promieniach, dają poczucie nieskończoności, uspokajam się wtedy wewnętrznie, łapię równowagę ze światem i mogę dalej w nim trwać.

To był właśnie taki piątek. Wtedy usłyszałem stłumiony krzyk. Przystanąłem. Krzyk, a może raczej płacz, dobiegał z baraków. Ostrożnie podszedłem, starając się nie wywołać hałasu. Spojrzałem za róg budynku.

Kotłowali się na klepisku. Zresztą trudno nazwać to kotłowaniną. Przygniatał ją swoim ciałem do ziemi, miał opuszczone spodnie, a ona zadartą spódnicę. Trzymał ją za gardło. Dziewczyna charczała. Z jej oczu płynęły łzy. Jedną rękę zaciskała na kępce trawy. Przestała już się bronić.

Zrobiłem dwa kroki.

– Zostaw ją – powiedziałem spokojnie.

Przestał się ruszać. Odwrócił głowę.

– Co jest, dziadek? Chcesz popatrzeć? Czy dołączyć? – Roześmiał się.

Kolejny krok.

– Złaż z niej – powiedziałem ostrzej.

Wstał i podciągnął spodnie.

– Czego tu szukasz, rybia cipo?

Wpatrywała się we mnie pucołowata twarz z fryzurą na amerykańskiego rekruta.

– Narobiłeś sobie kłopotów, „Piękny”. Strasznych kłopotów.

Zmrużył oczy.

– Znamy się, dziadek?

Spojrzałem na dziewczynę. Przestała dyszeć. Otarła twarz. Powoli dochodziła do siebie.

– Uciekaj stąd – powiedziałem do niej. – I zapomnij, że tu byłaś.

– Zaraz – warknął „Piękny”. Zrobił krok w moją stronę.

I wtedy strzeliłem mu w kolano.

Rozległ się krzyk. Chłopak wrzeszczał z bólu, a dziewczyna ze strachu. Powtórzyłem jej, co ma zrobić. Tylko innymi słowami. Jej sylwetka gdzieś znikła, gdy pochyliłem się nad „Pięknym”.

– Tak w ogóle jestem pacyfistą. Kapujesz?

Widziałem, że nic a nic nie rozumie.

– Dlatego przestrzelę ci drugie kolano. Nigdy nie będziesz chodził. Już nigdy nikomu nie zrobisz krzywdy.

Krzyknął i odruchowo zasłonił zdrową nogę zakrwawionymi rękami.

– Albo nie. – Odsunąłem się o metr. – Zmieniłem zdanie.

Strzeliłem mu w głowę.

Ułożyłem ciało na torach.

Przy budce pana Kazia później opowiadali, że pociąg rozprasował ciało. To był taki jeden z Szembeka. Szczątki zbierali z kilkudziesięciu metrów. Zdmuchnąłem piankę i słuchałem w milczeniu.

Chłopcy tacy jak „Piękny”, nawet z przestrzelonymi kolanami, mają kolegów o zdrowych nogach i równie sprawnych rękach. Ten powód wystarczył, żebym postąpił tak, a nie inaczej. A wcale nie był jedyny. Zastanawiacie się pewnie, dlaczego miałem broń w kieszeni. Nie zabiera się przecież pistoletu na spacer. Nawet jeśli wygodnie się go nosi. Macie rację. Tyle że czasem przebiegają przez głowę ponure myśli. Te najgorsze z najgorszych. Wtedy człowiek zastanawia się, czy krótki ruch palca położonego na spuście nie jest najlepszym lekarstwem na wszelkie problemy i czy nie wyznacza drogi do lepszego świata. Czy nie warto by skończyć ze wszystkim raz na zawsze.

Nie mówcie, że uwierzyliście w to, co powiedziałem.

Naprawdę uwierzyliście?

Żartowałem.

Tajemniczy zgon Marka Hłaski

BONN, 16.6.1969

W sobotę w Wiesbaden (NRF) w niewyjaśnionych w pełni okolicznościach zmarł Marek Hłasko. Istnieje podejrzenie, iż popełnił samobójstwo. Zwłoki Hłaski znaleziono w mieszkaniu jego znajomego. Policja nie podaje żadnych bliższych szczegółów dotyczących przyczyny zgonu, wyklucza jednak możliwość odpowiedzialności za jego śmierć innych osób.

Jak wiadomo, Marek Hłasko, autor wielu opowiadań szkalujących Polskę Ludową, zdradził w 1958 r. ojczyznę i zbiegł do Berlina Zachodniego. Przez pewien czas przebywał w Izraelu, a potem w W. Brytanii i NRF.

W niewyjaśnionych w pełni okolicznościach. Autor wielu opowiadań szkalujących Polskę Ludową. Kilka razy przebiegłem wzrokiem PAP-owską notkę. Bonanza zajrzał mi przez ramię. Przeczytał wiadomość. „Krzysio. To Krzysio pociągnął go za sobą”, powiedział. Wyjął grzebień, spojrzął w okrągłe lustro i pobiegł na randkę z jakąś kucharką.

Zamówiłem piwo. Było bardzo zimne i jego chłód przyniósł mi ulgę. Lato eksplodowało niespodziewanie po tygodniowych wiosennych deszczach. Nie lubię upałów, ze skorupą na plecach trudno wytrzymać w taką pogodę, a żar wdarł się nawet tu, do piwnicznych czeluści. Siedziałem sam, rysowałem palcem nic nieznaczące kwadraty na gazecie, wokół notatki o śmierci pisarza.

Zbyszek, Krzysio, Wienio. Teraz pan Marek. Wielu ostatnio odeszło.

Pogrzeb Wiena nie był tłumny i dostojny jak tamten na Powązkach. Raptem dwadzieścia osób. Może ciut więcej. Ktoś z rodziny. Chyba siostra. Przyszedł Sycz, ten pisarz, wyglądał na jeszcze bardziej obłąkanego, ale mogło mi się tak tylko wydawać.

Przezornie starałem się na nikogo nie patrzeć zbyt długo.

Tym razem nikt na pogrzebie nie zagrał, spodziewano się tego chyba po mnie, bo przywlokłem skorupę na plecach, ale nie, odczekałam, aż wszyscy już pójdą, i dopiero wtedy wyjąłem instrument. Zagrałem *Waltz for Debby*. Utwór jego ukochanego Evansa. Na kontrabasie brzmiał tak sobie, ale nie to było w końcu najważniejsze. „Zrobiłem, co mogłem”, szepnąłem, sypiąc ziemię na grób.

Był jeszcze ten esbek. Z nieodłączną teczką. Cierpliwie czekał na mnie za murem cmentarnym. Wręczyłem mu kopertę. Lekko wybrzuszona i większą od takich na zwykły list. Obyło się bez słów.

Pan Rosenbaum umarł we śnie. Wygraża teraz suchą piąstką w swoich zaświatach. Za to Kwazi żyje. Wrócił na plac Zbawiciela. Fundnęliśmy mu nowy dywan, lepszy od poprzedniego. Tydzień temu dopadł mnie „Monako”. „Nadal interesuje cię, kto to zrobił?”. Przytaknąłem. „Trochę to trwało, ale wiem”. Przybliżył się. Połaskotał mnie w twarz bujną czupryną. Szepnął kilka słów.

Dwa dni wcześniej mogłem już oddać pistolet. „Królik” wyglądał jeszcze gorzej niż ostatnio. „Wiele ci zawdzięczam”, powiedziałem na odchodne. „Ogromnie dużo”. Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to jak ostatnie pożegnanie. Ale nie wiem, czy się jeszcze spotkamy. Widziałem się za to z Filipskim. Wciąż szukają zabójcy tamtej zakonnicy. A w dodatku miał kolejną grubą sprawę na głowie. Dopytywałem jaką, ale nie chciał mi powiedzieć nic więcej.

A z panem Markiem widziałem się raz. To było w pięćdziesiątym siódmym, krótko przed jego wyjazdem. Mieszkałem jeszcze na Wybrzeżu, ale znów dość często bywałem w Warszawie. Był późny wieczór, skądś wracałem i na finał zajrzałem do „Kameralnej”. Miał oczy nieprzytomne od alkoholu, a mój świat też był poważnie zamglony. Zamieniliśmy kilka zdań. O czym? Skąd mogę pamiętać.

Zamówiłem wódkę.

Podniosłem kieliszek do ust.

Niech panu ziemia lekką będzie, panie Marku.

Jest letnia, lepka noc, wdrapuję się po schodach i nie jestem pijany, a na pewno nie tak, jak mógłbym być, gdyby nie czekała ona. Jest tam, na górze, w mieszkaniu, mam nadzieję, że jest, światło w oknie się nie pali, ale pewnie ona śpi. Oby tak było. Powiedziałem, że gdyby jednak się rozmyśliła i zmieniła zdanie, niech zostawi klucze pod wycieraczką, którą mam od niedawna.

Graliśmy dziś jako Kornet Olemana, w większym składzie, z pianistą oraz trąbką, i przez kwadrans brzmiało to tak, jakby wymieszać dźwięki z walcowni z rykiem wodospadu i wszystkimi freejazzowymi trąbkami Jerycha. Potem wszystko ucichło, podszedłem do mikrofonu i zapowiedziałem kolejny numer. Zwykle tego nie robię, ale okazja była szczególna. „Ten utwór napisał nasz nieżyjący kolega w hołdzie innemu nieżyjącemu koledze. Nazywa się *Kumanie Komedy*. Gramy go pierwszy raz”.

Gdzieś w połowie przyszła kolej na moje solo. Zwykle tego nie robię, bo popisy kontrabasistów odbierane są przez publiczność jak przerwa podczas koncertu. Ludzie wtedy kichają, smarczą, kaszlą, składają zamówienia w barze i czekają na koniec takiego antraktu. Czasem daje się kontrze zagrać z czystej litości. Chłop stara się, przez dwie godziny skryty w cieniu innych, bardziej efektownych instrumentów, więc trzeba go choć raz wypuścić do przodu, niech ma w nagrodę. Taki już los kontrabasisty. Jego solo ma zawsze w sobie coś z żartu, gdzie mu tam do chorusów pianisty, saksiarza czy trębacza. Nawet bębniarze mają lepiej. Ale tym razem, gdy grałem, panowała cisza. Publiczność w skupieniu chwyciła niskie dźwięki, gadałem na czterech strunach, opowiadałem jakąś mroczną historię, zrobiło się całkiem podniośle, uroczyście, więc przyłożyłem się bardziej, a koledzy później poszli moim śladem. Nigdy nie wiem, od czego to zależy. W tym graniu jest jakaś tajemnica. Czasem idzie tak, jakbyś przedzierał się przez grzęzawisko, ale bywają i takie chwile, gdy porozumiewamy się intuicyjnie i nawet żadne cynki nie są potrzebne, bo każdy czuje i wie, co robić i kiedy. Nie ma co gadać, wyszło nam to granie, należałoby je opić, ale nie, całkiem szybko się wymigałem, zostawiając ich samym sobie. Powiedziałem na odchodnym, że będę się uczył angielskich słówek. Przydadzą się, gdy zacznę karierę w Ameryce. Nie potraktowali tego poważnie, uznali, że zalewam.

Jestem na górze, za drzwiami panuje cisza, wyrównuję oddech, ale serce bije mocniej. Bardzo ostrożnie sprawdzam stopą, czy coś leży pod wycieraczką. Robię to tak, jakbym się bał, że natrafię na granat, bo w istocie: to by mnie rozerwało na kawałki, ale nic takiego się nie dzieje. Oddycham z ulgą i naciskam klamkę.

– Siemanko – szepczę, stojąc w progu.

Cicho zamykam drzwi.

Dawno temu w Warszawie

Ta powieść nie jest kryminałem. Albo inaczej: jest nie tylko kryminałem. Jest opowieścią o polskim jazzie. O Warszawie. O latach sześćdziesiątych XX wieku. O pewnym kontrabasiście. O miłości. W zasadzie o miłości i śmierci, bo takie książki czyta się najchętniej. Weźmy *Wojnę i pokój*. *Okolo północy* jest snujem. Balladowym snujem. Jest to także moja najważniejsza książka. Nie mam tu żadnych wątpliwości. Najistotniejsza zarówno ze względu na tematykę, jak i sposób napisania. Chciałem, żeby miała swój rytm, a zarazem rozluźnioną konstrukcję i coś z freejazzowego szaleństwa. Jest to powieść. Oznacza to więc, że pewne motywy traktowane są swobodniej niż inne. Nie ma więc większego znaczenia, czy Jadwiga mogła wiosną czytać *Żegnaj, laleczko* Chandlera. Ważne, że powieść ta ukazała się w 1969 roku i – z powieściowego punktu widzenia – w zupełności mi to wystarcza. Podobnie należy traktować odwołania do postaci, które przywoływane są tu mniej lub bardziej aluzyjnie. Dla wielu będzie to powieść historyczna. A dla niektórych może nawet paleohistoryczna.

Okolo północy zaczyna się 28 kwietnia 1969 roku na Powązkach sceną pogrzebu Krzysztofa Komedy. Urodziłem się w tamtym roku, w listopadzie, powieść jest więc także moją osobistą podróżą w głąb przeszłości. Lat sześćdziesiątych, oczywiście, nie mogę pamiętać, ale pewien klimat z następnej dekady (odczuwany przeze mnie na Pradze, dlatego to też bardzo „praska” książka) już tak. A że skóra warszawskiego świata zmieniała się wówczas mniej dynamicznie, wiele z tych wspomnień rzutować można na wcześniejszą dekadę.

Wspomnienia i wyobrażenia zostały wsparte dziesiątkami źródeł z lat sześćdziesiątych i dotyczących tamtego czasu. Nie sposób wymienić ich wszystkich. Znalazły się wśród nich opracowania na temat Marca 1968 (z fundamentalnymi monografiami Jerzego Eislera oraz *Marcowym gadaniem* Michała Głowińskiego na czele); książki o polskim jazzie lat sześćdziesiątych (wśród nich znajduje się świetny *Obywatel jazz* Jerzego Radlińskiego, zbiór rozmów nie tylko z muzykami, wydany w 1967 roku); albumy ze zdjęciami, odcinki Polskiej Kroniki Filmowej, polskie filmy fabularne i dokumentalne, wystawy (m.in. *Obcy w domu. Wokół Marca '68* w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN), plan Warszawy z rozkładem linii komunikacyjnych, gazety codzienne. Niektóre informacje wplotłem *in extenso* w tok powieści, aby nerw życia był bardziej odczuwalny. Szczególne miejsce zajmuje tu miesięcznik „Ty i Ja”, z obłędną szatą graficzną, projektowaną przez najlepszych polskich (a zarazem światowych) artystów. Takich tytułów było wówczas kilka, na potrzeby powieści właśnie ten wydał mi się najbardziej atrakcyjny. Ważne okazały się także tropy literackie. Wspomnę o jednym. Prawdziwym odkryciem był dla mnie tom opowiadań Andrzeja Brychta *Suche trawy*. Gdyby nie względy powieściowe, pewnie nigdy bym do niego nie sięgnął. I wprawdzie mój bohater nie przepada za pewną postacią wzorowaną na Brychcie, jednak trzeba jasno powiedzieć, że ta proza, chuligańska i soczysta, nie zestarzała się ani trochę. Podobnych literackich niespodzianek, odkryć i przyjemności czekało mnie jeszcze kilka. Pozwólcie, że ich tu nie wymienię. Podążam oczywiście śladami *Złego* Leopolda Tyrmanda, lektury kanonicznej i ważnego punktu odniesienia dla *Okolo północy*.

W kwietniu tego roku minie pięćdziesiąt lat od śmierci Krzysztofa Komedy. To ponure wydarzenie traktować można symbolicznie, jako jedno ze zwieńczeń lat sześćdziesiątych, w mojej opinii (niezbyt oryginalnej) najciekawszych zarówno w światowym, jak i rodzimym jazzie. I mimo że jazz spod znaku Komedy jest nie tylko znakiem czasów, ale – ogólniej – wizytówką polskiego inteligenta i jego doświadczeniem formacyjnym, to zaskakuje nieobecność tej muzyki i tworzącego ją środowiska – jako tematu – w literaturze oraz filmie. Należy on więc raczej do obszaru fantomowego: bardziej do sfery wyobrażeń i mitologii popularnych, aniżeli do obszaru „twardych”, poświadczonych artystycznie faktów. A jeśli już powstał obraz taki jak *Niewinni czarodzieje*, to sami muzycy przyjęli go wstrzemięźliwie. Raziła ich choćby „literackość” dialogów, niemających wiele wspólnego z ich własnym językiem; trudno zresztą, żeby było inaczej, gdyż dialogi owe napisał Jerzy Andrzejewski, ze środowiskiem jazzmanów w żaden sposób niezwiązany. Filmów o polskim jazzie tamtego czasu i zapisów koncertów jest jak na lekarstwo. Na potrzeby powieściowe stworzyłem postać pewnego, jak dziś się mówi, psychofana, który ma możliwości nagrywania koncertów niewidomego pianisty. Sparafrazowałem tu historię o miłośniku Charliego Parkera, podążającym krok w krok za idolem i rejestrującym występy „Birda”. Chciałoby się, żeby taka postać, zapisująca koncerty koryfeusza polskiego jazzu, rzeczywiście istniała, ale jest, niestety, tylko moim wymysłem. Mam nadzieję, że *Okolo północy* zostanie potraktowane jako skromne podziękowanie kierowane do wszystkich, którzy wówczas tę znakomitą muzykę tworzyli.

Powieść ta nie powstałaby bez udziału wielu osób. Za poświęcony mi czas serdecznie dziękuję wybitnym muzykom: Czesławowi „Małemu” Bartkowskiemu, Przemkowi Dyakowskiemu, Włodzimierzowi Nahornemu, Zbigniewowi Namysłowskiemu, Jackowi Ostaszewskiemu i Michałowi Urbaniakowi. Z panem Tomaszem Stańką miałem możliwość porozmawiać tylko telefonicznie. Bez Was nie byłoby tej książki.

Dziękuję Mariuszowi Adamiakowi, Markowi Dębskiemu i Tomaszowi Tłuczkiwiczowi za życzliwość, cierpliwość i pomoc.

Szczególne słowa podziękowań należą się członkom zespołu Zgniłość, którzy są nie tylko znakomitymi muzykami i przezdolnymi ludźmi, ale też świetnymi kompanami po prostu. Marcin Świetlicki zachęcał mnie do pisania, inspirował, podrzucał pomysły. I nie tylko pomysły. Szczegóły niechaj pozostaną tajemnicą. Cytaty z twórczości Marcina Świetlickiego odnajdziecie w *Okolo północy*. Razem z Michałem Wandzilakiem, Zgniłościowym Dukiem Ellingtonem, skomponowaliśmy temat *Kumanie Komedy*, bardzo ważny ze względów fabularnych. Jego zapis, stworzony przez Michała, znajduje się na kartach tej książki. Maciej Sadowski podzielił się wiedzą (ogromną!) dotyczącą techniki kontrabasowej i budowy instrumentu. Michał Jan Ciesielski, Dawid Lipka i Tomasz Koper cierpliwie znoszą moje saksofonowe fanaberie. Możliwość występowania z Wami jest dla mnie dużą sprawą.

Możliwość spojrzenia na występ z tej strony sceny zaowocowała także pewnymi rozwiązaniami fabularnymi. Bez tego doświadczenia powieść ta byłaby znacznie uboższa, a może wręcz trąciłaby fałszem. A zatem: siemanko, Panowie.

Konsultacje w zakresie literatury „okołotyrmandowej” prowadziłem z Piotrem Bratkowskim, Pawłem Duninem-Wąsowiczem, Piotrem Pazińskim, Pawłem Sołtysem i Krzysztofem Vargą. Jestem

pełen podziwu dla waszej erudycji i kłaniam się Wam nisko.

Za garść marcowych wspomnień dziękuję znakomitemu historykowi i autorowi powieści kryminalnych, profesorowi Tadeuszowi Cegielskiemu. A także Zbyszkowi Gajdzie.

Pomocy udzielił mi – jak zwykle niezawodny – komisarz Paweł Leśniewski.

W dotarciu do źródeł pomogli mi moi studenci z Uniwersytetu Humanistycznospołecznego SWPS. Mam nadzieję, że podróż do przeszłości była dla Was pouczającym, a może niekiedy fascynującym doświadczeniem.

Kasia Gruszczyńska wspierała mnie na każdym etapie pracy nad powieścią. Jesteś nieoceniona, Kasiu!

Dziękuję także Ewie Waszkiewicz i Idzie Świerkockiej, które pilnie szukały błędów w *Okolo północy*.

Nad całością przedsięwzięcia czuwał – redaktorskim i przyjacielskim okiem – niezawodny Filip Modrzejewski.

Za wiele interesujących spostrzeżeń i życzliwość dziękuję Ojcu yassu – Tymonowi Tymańskiemu.

Zebrał się całkiem doborowy big band.

Mam nadzieję – zdanie to kieruję do Czytelników – że robota tylu osób nie poszła na marne.

Mariusz Czubaj
Warszawa, styczeń 2019 roku

Redaktor inicjujący: Filip Modrzejewski
Redaktorka prowadząca: Ida Świerkocka

Redakcja: Filip Modrzejewski
Korekta: Ewa Waszkiewicz, Ida Świerkocka

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Projekt typograficzny i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6870-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo